



Termin zwrotu książki:

24 LUT 1969
21 LIST 1969.

Karta terminów zwrotów.

174

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

MOGIŁY.

ABRACADABRA.

PIERWSZA

J. I. KRASZCZYŃSKI

WYDAWCA

DJANUSZ PODRĘCZNY

MOGIŁY.

2/1

WARSZAWA.

MOGIŁY.
—
ABRACADABRA.

DWA FRAGMENTA

J. I. KRASZEWSKIEGO.

ORAZ PRZEPISANY PRZEZ TEGOŻ

DJARJUSZ PODRÓŻY

Z WARSZAWY DO PETERSBURGA

Hrab. Kazimierza Konst. de Brühl Platera

STAROSTY INFLANCKIEGO, PÓŹNIEJ PODKANCLERZA LITEWS,

w 1792 roku odbytej.

WP

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

WARSZAWA.

NAKŁADEM GUSTAWA GEBETHNERA I SPÓŁKI

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE Nr. 17 (415).

—
1859.

887-3



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 4 (16) Lipca 1858 roku.

Cenzor, Rada Dworu,

STANISŁAWSKI.



821, 162.1-3+84(438), 04: 828 Ruter K.K.
CH

w Drukarni J. Jaworskiego.

MOGIŁY.

FRAGMENT.

Szary mrok chmurnego wieczora padał powoli na osmutniałą ziemię, odbłaskiem zachodu oświeconą luną krwawą... gdzieś nad wierzchami drzew i lasów przebiegł szumiąc górą wicher zapalczywie szarpiąc obłoki, ale nad ziemią ciężła jeszcze cisza ołowiana, panował tam spokój duszący, grobowy, w którym pierś oddychać nie może. Niekiedy tylko strumień wiatru przedarłszy chmury, upadał świszcząc na pola, zakręcił piaskiem na rozłogach i wydmach, ugiął drzewa, połamał gałęzie, i znowu wszystko milczało postrachem, jak przed zbliżającą się burzą, oczekując zesłanki Bożej... zniszczenia i śmierci... Pierwszy raz może świat bolał razem z wylekłym człowiekiem i nie szydził we-

Mogiły.

selem pogody z ucisku jego duszy... cały on wydał mi się wielkim cmentarzem i jedną mogiłą, z pagórka od którego rozległy kraj w szatach krwawego zachodu i cieniach wieczora rozszerzał się daleko, spowity mgłami i blaskami naszywany... liczyłem okiem groby, i jasnowidzenie ukazywało mi kości i popioły, nadzieje, dziwy i smutki, które w ich głębi spoczywały. Cmentarze ostawione krzyżami, najweselszym jeszcze były wśród tych grobowisk widokiem, bo stały na nich znamiona wiary, ubłogosławiała je modlitwa, ogrodziło wspomnienie, porastały trawy opiekuńcze, okrywały drzewa zielone... na innych mogiłach przewijały się gościeńce, powyrastały gospody, dzwoniło wesele, walały się kupy śmiecia, a zrzucone krzyże rąbała siekiera do ogniska pijanej biesiady... żadna świętość nie była poszanowaną, żadne wspomnienie nie pozostało niepokalane.

Mysł ulatująca nad tym światem, potraçała o pogrzebione boleści i zakrwawiała się niemi... bo nie było stopy wolnej, nie było szczypty nieprzemieszanej z popiołem, z kośćmi, ze łzami, a w chwili jasnowidzenia, gdy wszystko wystąpiło razem z pod warstwy co pokrywała świat wczorajszy, dzieląc go od tego, co się zwi-

a po jego powierzchni... dusza zadrżała i ścisnęła się od tego widoku.

I była we mnie chwila tak straszliwej boleści, takiego zatrucia duszy, tak krwawych łez i wielkiego ucisku, że świat znikł z przed oczów moich, a czarna zasłona pokryła mi wszystko, i obumarłem od cierpienia.

I pytałem się sam siebie, nie mogąc pojąć, zkad tyle było złego na ziemi, zkad tyle smutku? dla czego wszystko tak czarne i grobowe? a odpowiedzi dać nie umiałem... i tarzałem się w wątpliwościach.

A łzy popłynęły mi z oczów i w ich blasku znowu odkryła mi się ziemia oświecona krwawą luną zachodu i osłonięta mgłami czarnemi... Widziałem jaśniej groby i cmentarzyska i wszystko co w nich spoczywało, ale nie mógł dostrzedz aniołów pociechy, ulatujących białemi skrzydły nad padole.

I mogiły same spowiadały mi się z boleści, które kryły i widziałem je do dna, a było ich pełno i jedna piętrzyła się na drugiej, dostając do rozpalonych wnętrzości ziemi... i pierwszy człowiek leżał przy ostatnim mastodonicie jednym snem śmierci uspiony.

Drobinka wesela która błysnęła temu światu, starła się z jego powierzchni, boleść długa wypiętnowała się wszędzie, panowała sama jedna.

I pojąć nie mogłem ani celu cierpienia, ani jego końca, ani nagrody, a dusza zwątpiwszy, drżała i wstrząsała się uciśniona strapieniem wielkiem, jakby w obliczu śmierci.

Bolałem nad wszystkim co znikło i przepało bez śladu.

Naówczas po kolei wystąpiły ku mnie duchy przeszłości z grobów wywołane tęsknicą wielką, i z kolei mówiły mi dzieje swoje.

II.

— Jam jest duch ludu, co gościł na tej ziemi, mówił pierwszy... z końca w koniec jak widzisz i czego oko twoje nie dojrzy, obszary te były przez wieki pod panowaniem naszym. Dziś już i grobów nawet naszych nie znajdziesz tutaj, bo je ziemia niewdzięczna pożarła. Każda jesień przykrywała je liśćmi, każde lato kwiatami, każda zima śniegiem, każda wiosna mułem i piaskiem... szły powoli w głąb i przepaście i zasunęły się z oczów ludzkich. I umarliśmy całym ludem miljonowym bez wspomnie-

nia. A żyliśmy bez przyszłości, a życie to przerwało się jak żywot kwiatu zdeptanego nogą w chwili gdy kielich otwiera do słońca. Pojmujesz ty to człowiecze? tak żyć by zgnieć z ciałem i duszą i zniknąć z oblicza ziemi bez śladu? i nie mieć nawet grobu? głazu? szczątku, i nie bieleć kością na cmentarzysku pokoleń, i nie lśnić niczém nad ziemią, nie uskrzydlić się pieśnią, a nie upamiętnić niczém?

A życie nasze było jednym srogim bojem, bojem z otaczającym światem, który potrzeba było zdobywać, z sobą bośmy w niebezpieczeństwach tylko spajali się, a w spoczynku gryzli niespokojni... bojem z sąsiadą, bojem z namiętnością i tęsknicą... I z tych dziejów walki gorącej nie pozostało szczypty popiołu krwią prześiakiłej, nie! nie! Na ziemi rzadko boleść czyja wywoła mnie do spowiedzi, pieśni i słowa... milcząc, błędę po pustkowiu i zgrzytam zębami.—

III.

Potem przystąpił duch młodszy i odepchnął starca, który w przepaść otwartej nagle pod stopami jego ziemi poleciał.— Co jego skargi i żale rozdartej piersi mojej? Jam jest duch pobojo-

wisk myśli, duch walki bolesnej a niewidomej, walki serdecznej. Licz mogiły nieznane szeregiem, kręgami, warstwami rozsiane po dolinie i górach, i spojrzysz wiele w nich spoczęło utrapień. Jam jest duch łez niepoliczonych, westchnień wiatrem rozwianych, jęków stłumionych wstydem, płomieni co w głębi piersi gorzały a nie wybuchły — i z nich nic nie pozostało.

Milczą groby, a ptak nad nimi pieśń zawodzi, milczą piersi które zgnilizna wyjada, milczy serce pruchniejące powoli... a śmiech szatana przechadza się w całunie wichrów i burzy. Jam jest duch innej walki, w której krew się nie lała, ale strumienie bólesci, w której pot spadał z czoła i nie użyźniał ziemi; w której dusza targała się na ciało i upadała; nie mając ust by poskarżyć się i ryknąć bólem niewysłowionym. Obok mogił w których spoczywają kości, policz mogiły myśli, namiętności i nadziei zawiedzionych, i zapomnienie wiekuiste nad nimi!! A jednak to były walki szlachetne, to był bój o niebo, to była wojna Tytanów, i piersi ich roztraskująca ją skała przeżyła... a krew co ją obryzgała czerwonym motem uśmiecha się na głazach.

IV.

Aż oto duch przystąpił inny i bolał głosem miękkiem ze łzami w łkaniu i utrapieniem niewysłowionem.

— Jam duch młodości zmarnowanej i powiędłych wiosną kwiatów, rzekł do mnie — spojrz pod nogi i daleko, jak ziarna piasku groby moich dzieci w wiosnie przekwitłych, i ściętych w pączku... w jednym spoczywa obwinęta wstęgą niebieską nadziei miłości piętnastoletnia, w drugich odwaga młodzieńcza skoszona w maju na podściół bydłom... a dalej, ot dziewięćto skalane zwierzącą namiętnością i zabite śmiechem zdrady, i praca co się z głodu sama pożarła, a nigdzie na tych grobach krzyża, u stóp ich klęczącej pamięci, i cisza wielka... a w garści emętarniej ziemi, wszystko czarne jak ona... wszystko to poszło jak wody wiosny do morza zapomnienia... na wieki... i te diamenty życia siła żywota starła na lity piasek i brudne pyły.

V.

I wstał powoli duch siwobrody, zgarbiony, zmarszczony z czerwono wypłakanymi oczy-

ma, w których już żrenie nie było, tylko dwa doły krwią ociekłe.

— Jam jest, rzekł cicho, duch zmarnowanych żywotów i zniedołężniałej starości — płynęło życie i rosło w piersi; rosło i gromadziło się doświadczenie, siła, potęga, bogactwo, w nich wszystkich toczył dzieło ludzkie powoli robak zniszczenia.

— Jam jest duch genjuszów co za życia pomarły w rozrośłym cielsku, w wyschłych piersiach, w zbolałym trupie. I na co pracował wiek, to zniszczyła godzina, iskra ognia, kropla jedna, dmuchnienie powietrza, jedno wejrzenie złowrogie.... Jam jest duch starości bezsilnej, kłamiącej życiu całemu; której wreszcie zabrakło słów, wejrzenia, bicia serca i wątka myśli, a młode pokolenia urągały się jej i potraçały. I gdy przyszło kopać grób na bohatera zwłoki, rozmierzono go jak na niedołężnego trupa, gdy przyszło stawie pomnik pamięci, wzniesiono go z lodu i śniegu. Jam jest, dodał, duch tych co się przeżyli, których wypchnięto za drzwi bezsilnych i zmarzli żebrząc jałmużny... a starość ich zjadła młodości owoce, i nie po nich nie pozostało, krom szyderstwa co świszce nad

grobem, z wieńców laurowych wijąc pomiotło na mogiły.

VI.

— Jam jest duch enót zapomnianych i oplwanych zasług, mówił następny, wskazując jasną szatę, na której pełno plam było krwawych i brudnych — jam duch walk przewzanych niepocziwemi, duch zapoznanej pracy, odtrąconej ofiary i poświęcenia ochrzczonego samolubstwem, i krzyżów które osłoniono purpurą rozpusty, i skrytych a potężnych wysiłków, które spętano pośmiewiskiem.... jam duch ukamienowanych męczenników, po których zostały tylko kamienie, świętych bohaterów, których wilcy nocą rozszarpali na bezdrożu.... Spojrzyj.... nie ma mogił nawet nad któremibym płakał, proch moich dzieci rozwiały burze, rozniosły ptaki, nakarmiło się nim zwierze, wyssało z ziemi powietrze. — Ślady przejścia zamiotło urągawisko i stado bydła pasie się na popiołach, w które się obróciły dzieci moje....patrz i płacz....

VII.

Utrapieniem i boleścią ścisnęło się serce moje i wielki wykrzyk wyrwał się z piersi uci-

śnionej do Boga. A duch jeden jeszcze stanął przy mnie, i milcząc wskazał mi świat, który jak zajrzeć z końca w koniec, widziałem oczyma duszy. Świat ten był straszny, czarny, i jękami się rozlegał jak więzienie. Weselom jego urągały się pogrzeby, pogrzebom śmiechy rozpusty, nadziejom rozpacz, rozpaczom szalone zapędy. Co chwila sypano mogiły nowe wszystkiemu co żyło, i na nich stawiano domostwa dla żywych, których uśmiech młodości krzywił paraliż zgrzybienia. Wszyscy szli rozpierzchli w różne strony, potracając się i popychając, padali jedni, po ich grzbietach stąpali drudzy, dopóki ich nie wgnietli w błoto — taniec ocierał się o jęczący pochód na Golgotę, miecz krwawy krajał chleb święty, płonęły gmachy, dzieci tarzały się rozpustując jak starcy, starcy płakali okryci pośmiewiskiem, a w świątyniach targ się odbywał i rżały konie i ryczały bydłeta, i krew ich lała się na ołtarzach bożych.

Jedno pokolenie następowało po drugim szybko jak błyskawica, zakopywano je i potrząsano ziemią, kości przez chwilę sterczały z pod niej, dopóki nogi dzieci nie zdeptały ramion ojców.... I nic nie było świętego, nie wielkiego, nie trwałego. Piersi matek karmiły dzieci dwóch

ojców zmarłego razem i żywego, miłość dzievic rozdawała się potajemnie lub rozpraszała w uśmiechach, przysięgi wierności kończyły się wiarołomstwem szalem, płacz pośmiertny pijaną pieśnią a wszystko i zawsze ... zapomnieniem.

Ponad sercami latała niedoperzowemi skrzydły tęsknica, zaglądała w nie, i siadała ssąc z nich odrobinę młodości.... Ludzie byli jak ptacy co mają dwie na dwóch świata krańcach ojczyzny, tęsknią zawsze za tą którą opuszczają... i trują i w szczęściu wspomnienie stracono.

Odwrociłem oczy aby nie patrzeć, tak znówu ścisnęło się serce moje — i nowy wykrzyk, ryk raczej, wyrwał się z piersi zgniecionej do Boga....padłem na ziemię brocząc ją łzami krwawymi i wołając: Panie! na coś nam dał życie?

VIII.

I nie czułem jak padłem, nie wiem jakem tak leżał, nie pomnę jak powstałem, aż otwierając oczy, ujrzałem istotę w bieli i promieniach, która białem ramieniem objawszy mnie, tuliła głowę zbolalą, i z cicha szeptała słowa pociechy, pieśnią spokoju płynące mi do duszy.

A gdy się obejrzał odrywając źrenicę od blasku oczów które mi świeciły, nie byłem już na ziemi. Widziałem ją jeszcze u stóp moich rozciągniętą szeroko, daleko, owianą mgłami, ale krzyki nie dolatywały uszów moich, i z za chmur świeciło na nią słońce pogodne poranka.

Cisza wielka owiewała nas, a głowie mojej tak było słodko spoczywać na ramieniu anioła, przytulonej do czystej piersi w której nie ziemskiego nie było, żem ust nie śmiał otworzyć, by snu uroczego nie przerwać.

A nie był to sen, ale jaw zachwytu. — Boleść podniosła mnie nad ziemię, a anioł który trzymał mnie nad nią w swoich objęciach, i słowa jego, ziemskimi nie powtórzone, powoli balsam lały na rany długiego żywota, i potargane myśli sploty i rozrانیone serce.

Długom tak spoczywał w objęciach anioła, a nic słyhać nie było tylko szelest skrzydeł jego srebrzystych, tylko słodki szept ust jego, tylko oddech śpiewny, i szatę którą powiew lekki poruszał — a szata szmerem się swym modliła.

Miedzy niebem a ziemią, nieubłogosławiony jeszcze, ciałem śmiertelnym i nieoczyszczonym podnieść się nie mogąc wyżej, czułem już spo-

kój szczęścia lepszej krainy, której byłem bliżej, i widziałem cały zastęp białych aniołów, unoszących się w różne strony koło mnie..... Z uśmiechem lecieli z niebios na ziemię, a z ziemi ku niebu.

IX.

Jak w ulu pszczoły robocze, cicho a żywo przesuwały się białe postacie, posłańcy Boży... i oko moje rozeznawało powoli braci tego, którego ręka podtrzymywała mnie nad ziemią w półuspieniu potrzebnym biednej zbolakłej duszy mojej.

Wszyscy braciszkwowie witali się z uśmiechem i spotykając czystym na chwilę łączyli pocałunkiem, kładąc sobie ręce na ramionach — wszyscy podobni byli do siebie, a blask niebios jaśniał na ich obliczach i szczęście z nich promieniało, i spokój ich otaczał.

Jeden niósł w objęciu białych ramion duszę przeznaczoną do jasnego spoczynku u nóg Bożych i przyciskał ją do piersi, jak matka tuli dziecinę, skroń jej ocierał z potów śmiertelnych, lzy ustami osuszał, krew szaty dotknięciem obmywał.

Inny na promyku leciał z naczyniem rany gojącego napoju, gdzieś ku czarnej naszej dolinie, a spieszno mu było i oczy jego pół płakały, pół uśmiechały się radością.

Inni polewali ze złotych konewek, świeżo zasiane pola deszczem urodzaju, rosą użyźnienia, inni szaty swe białe rozpościerali osłaniając łany od burzy, inni odgarniali niewidome duchy złoczyńce mieczem ognistym i krzyżem jasnym, ci ściągali promienie, tamci rzucali cień chłodny.

Inni nieruchomi zdawali się oczekiwać rozkazów, patrząc po morzach i łądach, po lasach i polach....z założonemi na krzyż rękami, ze zwieszonemi głowy, tuląc się po dwu do siebie od chłodu którym na nich wiała ziemia.

Jeden niósł matce sen o dziecinie co śpiewało chwałę Bożą, i śpiewając w niebiosach, po niej tęskniło, a sam Bóg mu się litował;— drugi z obrazem matki na szacie, leciał ku dziecku do nieba.

Inny z ziemi westchnienie boleści do krzyża Chrystusowego rozpiętego w niebiosach, dzwigał co żywiej podnosząc się wysoko, a szata biała migiała na nim długą wstęgą.

Trzeci prośby i modlitwy zabrawszy w pole

dalmatyki, jak żniwiarz z pola wracający, spieszyl z niemi do Bożej stodółki, a oko jego spoglądało z litością na szare i czarne, na świecące i starte prośby ust ludzkich, z których mało było czystych i całych. Jedne podziurawiły namiętności, drugie splamiły łzy ziemskie, inne w proch się rozsypały, tak były lekkie i błache.

Anioł nad jednemi płakał, nad drugimi wzdychał z litością, a ciężko mu z niemi było, i zginał się pod ich brzemieniem, aż zbliżył się do strumienia łaski i obmył w nim modlitwy i poniósł czyste i świecące.

Byli co niesli palmy zielone na ziemię i krzyże na ziemię, narzędzia męki i krople pociechy.

Był jeden co promyk nieba jak kwiat jasny piastował w ręku, aby nią czyjaś boleść oświecić i wonią niebios ją orzeźwić.

Był co łzę jak perłę czystą niósł na dłoni do góry.

Był, co pot pocziwój pracy od Boga odnosił, inni niesli słowa dobre na czystych kartach złotemi głoskami pisane. A spojrzawszy na ten ruch posłańców, ziemia wydała mi się mniej straszną, i życie nie tak nierozwikłaną zagadką, gdy zastęp duchów zobaczył—i zapytał anioła: zawsze ci jest tak?

X.

Usta jego uśmiechnęły się z politowaniem macierzyńskim.

— Biedne dziecko, rzekł całując wypłakane powieki moje, jakże ci gorzko musiało być w życiu, gdyś tak zwątpił o Bożej mądrości i opiece? przez jakie przeszedłeś próby? ileś przecierpiał po cichu i niesprawiedliwie?

— Ja? rzekłem — ja? a cóżem ja jeden? maluczki pyłek na małej ziemi naszej... jedno nie, wśród tego tłumu, co cierpi cały! Serce zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, widokiem męczarni otaczających... i słysząc jęki, zawróciła mi się głowa... zwątpilem o świecie, pojąć świata naszego nie mogąc. Tyle w nim złego, tyle brudu... tyle czerni, leż tyle... a tak krótko trwa wszystko?

— Wolałżebyś, by boleść dłuższą była?

— Ale jedna ona nie ustaje nigdy — a co najszlachetniejszego, najlepszego, co jaśniejszego, to znika i ginie w chwili jednej... powiedz mi, dla czego wszystko ściera się i ginie.

— Aby żyło i odrodziło się w niebiosach? Dziecię moje, ty się uskarżasz na ziemię, ty tęsknisz nad jej znikomością..... a sam ten ból

twój jest nieba pragnieniem i stopniem do niego. Dziecię moje, z ziemi na ziemię patrząc, mgły ją zasłaniają, ztąd na nią patrz ze mną, a inaczej ją zobaczysz.

Wszystko tam znikomością, ale nie cała ona tak żalobą pokryta, tak bolem przesiąkła i ciemnościami osnuta. Są i tu chwile jasne, są i tu ludzie bieli, ale nie żądaj nieba bez chmury i z ludzi czystych aniołów. O! nie ma u was ani szczęścia bez goryczy, ani istot w którychby sercu nie czerniała plama grzechu... chciałżeś od ziemi co tylko niebiosą dać mogą? Chodź ze mną dziecko moje, a inaczej świat zobaczysz, ja cię prowadzić będę.

XI.

A gdy to mówił anioł mój, podniosłem głowę nieco, pokrzepił mnie uśmiechem, uczulem siłę w sobie, i po boleści nastąpiło jakby odetchnienie spoczynku, powieki jeszcze nie oschły, serce bić jeszcze nie przestało, ale gwałtowne cierpienie ustępowało zwolna, i z rezygnacją spojrzałem teraz na kolebkę naszą, na cmentarzysko... Skrzydła anioła poruszyły się i poczęliśmy się zbliżać ku ziemi, a on wskazał mi ręką znajomą okolicę.

— Wszystko tu zmienne, przechodzące, nie-
stałe... smutek wieje od chłodnego oblicza ma-
tki waszój, ale nie rozpacz... Patrz jak z wię-
zienia tego ulatują dusze wyzwolone, jak tu
wszystko splata się, spaja, słońce i burze, u-
śmiech i smutek. Nic nie ma trwałego, ale i bo-
leść nie żyje wieki. Całe życie wasze to chwilka
i gdy zamkniesz powieki, błyskiem ci się wyda,
co sądziłeś wiecznością, gdyś cierpiał. Nie masz-
że się czém pocieszyć choć chwilę? Z tych sere
skalanych, strzelają niebieskie uczuć kwiaty,
w najzepsutszém jest jeszcze białe ziarnko po-
prawy... tęsknoty... zgryzoty... A taż właśnie
młodość cała jeszcze niebiosami woniejąca, a
też serca i oczy płaczące towarzyszków podróży?
a toż przywiązanie ofiar pełne? nie sąż to obra-
zy złociste, którym się i anielskie radują serca?
A boleści wiele i kału wiele...ale możnaż rozpa-
czać o ziemi...i odpychać to pobożowisko pogar-
dą? Nie — dziecię moje.... niebo jój strzeże....
i czuwa nad nią...ażadna łza nie ginie, żaden jęk
nierozprasza się, żadna kropla krwi męczeńskiej
darmo w ziemię nie wsiąka.

Widziałeś ten rój duchów ulatujący nad nią
w obłokach? Oko ledwie może ich dojrzeć
w chwilach gdy cała dusza oderwana od świata

wpłynie w rozszerzoną źrenicę, jak w białej ja-
sności słońca nie widzi siedmiu tęczy kolorów,
póki mu ich łza nie rozłoży na siedm wstęg od-
dzielnych. Ale duchy są wszędzie, otaczają was,
wspierają, przynoszą myśli, dźwigają tęsknice
wasze i zawołane stają w pomoc niewidome.
Człowiek sobie to przypisuje co im winien...
i woła, z kąd mi ta siła? i pyta: z kąd mi myśl
taka?

Otwórz oczy twe i patrzaj jaki rój istot ró-
zno-barwnych zwija się nad wami? Wasza po-
sługa to ich życie, są to siostry miłosierdzia
niebios, jak wasze siostry miłosierdzia są anio-
łami ziemi... nie żyją dla siebie, służą drugim.
Te duchy jasne zesłańcy niebiescy, te szare po-
kutujące za to, że nadto ukochały ziemię i od-
dzielić się od niej nie mogące, te czarne duchy,
którym Bóg dozwolił, jak narzędziom zbawie-
nia dokuczać ludziom, by z nich cnoty wywo-
łać i do boju wyzywać... pełne ich powietrze,
wody, pustynie i miasta, ich głos słyszycie
w wietrze, ich mruczenie w strumieniu, ich mo-
wę w szumie drzew, ich śpiew w tej pieśni, któ-
rą dusza wasza śpiewa w osamotnieniu. Z nie-
mi rozmawiacie, mówiąc z sobą, oni wam od-
powiadają pociechy uczuciem na modlitwie,

przyciskają powiekę wezbraną, gdy sami płakać nie możecie, by z niej łza wytrysła, zwieszają uśmiech niespodziany na ustach, kołyszą do snu dzieci wasze i towarzyszą starcom znękanym do trumny. Od jednych ulatują płacząc w niebiosy, gdy czarni niemi owładną, do drugich zbierają się gromadnie w chwili boleści.

Im winniście uczucia szczęścia i spokoju, ten chleb niebieski, który wam po części przynoszą posłowie niebios; jeden wam kładzie na sercu szczyptę nadziei, drugi zapala miłość, inny gasi gorzkie wspomnienie i goi powoli ranę serca głęboką. Niewdzięczni odpychacie ich często; a zapieracie się zawsze. Los, mówicie, człowiek, przypadek to zrządził, a aniołowie uśmiechają się niewidomie nad wami z słów waszych, bo nie ma istoty tak strzeżonej z woli Bożej, jak człowiek. I krok jego każdy obrachowany i każda myśl otoczona, i każde udręczenie serca naprzód wypielegnowane; a gdy wśród dwóch wpływów, wola i dusza, pójdą choć częścią za lepszym, ku Bogu, ku niebiosom, wszystko się tu rachuje, i do kosza zasług waszych zanoszą, i do skarbca waszego zamykają, by w dniu uroczystym powrotu, utkało szatę zwycięzcy, dało mu listek do wieńca, klejnot

na piersi ... i o włos zbliżyło go do światłości niebieskich.

XII.

— Świat wasz, mówił dalej anioł, nie jest dziełem przypadku — patrz, rzekł, wskazując na ziemię, — oto drzewo, które rosło wieków kilka, a na nim liść jeden rozwinęła ostatnia wiosna, liść jeden ze stu tysięcy, które objadło robactwo i oberwały burze; biedny liść maluczki, co go ledwie oko dostrzeże. I żółkł jesienną posuchą, oto na włosku już zawisł na gałęzi — nareszcie przychodzi ostatnie dmuchnienie wiatru, porywa go, unosi i rzuca w przepływający strumień. Liść czekał tego powiewu, pada, przypatrz się ... W strumieniu tonęła mrówka, którą on przeznaczony był ocalić. Liść ten nie upadł przypadkiem, ale od wieków przygotowaną wolą Opatrzności, aby istotka biedna, którą dzieci czekały, dziatki głodne ... przezeń ocalona została. ... Drugi liść gnijąc, podsycił kwiatek, który ocalił człowieka. ... Mądrość przedwieczna wydała dąb ten przed stami lat, aby liść jego jeden mrówkę, drugi człowieka ocalił. Tak dzieje się tu wszystko, i nie ma losu a trafu, jest obmyśle-

nie opatrzone... ziarno niesione wichrem, nie pada bez woli Bożej, serce nie bije i miłość nie przychodzi, i zapomnienie nie okrywa całunem bez niego. Miljony jestestw ocierają się i spotykają z sobą, a wszystko tak obrachowane, aby każde przyszło w porę drugiemu karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną, aby wzajemnie wspierały się, osładzały, budziły.

Zadne spojrzenie nie leci bez woli Bożej, ani przychodzi daremnie, żadne uczucie nie wyraża w sercu bez przyczyny i bez skutku, i to co ludziom zdaje się niczém w życiu, jest czasem wszystkiego nasionkiem.

Patrz, oto dwie istoty nieznane, dwóch życia pielgrzymów, idąc drogą, spotykają się trafem, na chwilę, raz tylko w życiu. Nie przemówili do siebie, spojrzeli tylko, oko czarne kobiety utkwili głęboko w piersi człowieka, obraz mężczyzny podniósł myśl kobiety — zatrzymali się, westchnęli, i poszli dalej. Ale nie było daremném spojrzenie, ono podniosło duszę mężczyzny zachwytem ku pięknemu, ku dobremu, ku wielkiemu... w duszy kobiety zrodziło tęsknicę pobożną... oboje tchnęli na siebie czystością, zapalem, i dali sobie siły i wymienili skarby i poszli... nie znając się więcej. Tylko

dwaj aniołowie, przewodnicy ich, lecąc nad nimi, zbliżyli usta i uściśnęli dłonie białe, mówiąc — do zobaczenia!

Któż policzy, ile to wejście cnoty zrodziło w nim wstydu i miłości wniewieście, ile on stał się przez nie lepszym, a ona czulszą, ile niebieskich tęsknic wylało się z promieniem źrenicy, którą Bóg na to zapalił ogniem świętym? Ile dwie grzeszne istoty wylały z siebie cnoty, której były naczyniem? Aleście wy ślepi i lekkomyślni, rzekł tęskno anioł — i gwar własnego żywota dojrzeć wam, dosłyszeć, zrozumieć nie daje... biedne dzieci! płaczcie, gdzie dziękować-bycie powinni, dziękujcie gdzie lękać-by się potrzeba, a idziecie kierowani więcej prawicą Bożą i tchnieniem aniołów, niż własną wiedzą i siłą.

XIII.

Powoli zstępowaliśmy ku ziemi, a dzień nad nią przelatował to słońcem obłany, to chmurami ocieniony, schodząc z jednego kręgu, wstępując na drugi, tu do snu kołysząc, tam budząc do życia. I widać było jak stworzenie wszelkie otrząsało się ze snu i kwapiło do krótkiego żywota, lub znużone szukało schronienia, by

nowych sił w snach zapomnienia zaczerpnąć. A oblicze ziemi miało całą rozmaitość życia, wszelkie jego żywioły, kolej niezbadanych pogodnych i burzliwych chwil, wypełniała całość niepojęta zmian tysiącem, zawsze obok śmierci wskazując życia drugiego początek.

— Wiem, rzekł mi anioł, przytulając znowu głowę moją do swój piersi — gdzie twój wzrok leci i serce cię pociąga; oto zbliżamy się do tego zaczarowanego kąta, w którym uwiązłeś duszą... Nie wskażę ci innej krainy, bo byś tam życia ni ludzi nie pojął, polecim nad twoją rolę czarną owianą mgłami smutnemi, a tobie najpiękniejszą i najdroższą, choć ją także tysiąc odwiecznych mogił zasiało.

Poznałem po dymie który mi wietrzyk przynosił, żeśmy byli nad ziemią naszą, z której dotąd ani na chwilę stopa moja, ani serce nie zeszło.

Dojrzałem lasów szeroko zielonemi gronami rozciągnionych wśród równin, które złote pasy zbóż przerywały... Gdzie niegdzie wila się niebieska wstęga rzeki, na żółtych piaskach, na wierzb i łoży zaroślach, gdzie niegdzie siedziały wioski przytulone do matki ziemi, i strzelały w górę białe kościolki i piętrzyły się ubogie

miasteczka jak nieczyste mrowiska. Ten kobierzec kraju naszego wydał mi się uroczo pięknym i zabiło ku niemu stęschnione serce, a lża z oczu padła na szatę anioła, na której czarną wystąpiła plamą — płakałem za ziemią, a duch to był z niebios czysty i we łzie mojej choć niewinnej, znalazł się zaród grzechu, który ją pokalał.

XIV.

— Patrz, rzekł duch, oto ci pokażę kilka żywotów ludzkich z miliona... one cię może z życiem pogodzą. Wszystko to mija jako sen, znika jak cień od chmury, jak marzenie widma.... jak mgła poranku; ale wśród tych snów ciężkich i czarnych, są jasne i piękne. Nie płacz że ludzkie oczy ich nie widzą i pamięć nie obejmuje, wszak ci woń ich ziemi niosą do niebios aniołowie do tronu Ojca, i każde go dochodzi westchnienie, każdemu zwycięztwu nad światem, poklaskują chóry serafinów, i zastępy anielskie.

Jeżeli co pocieszyć i uspokoić powinno, to widok cichego żywota, który cały płynie cnotą i poświęceniem. Czém obok niego hałasliwe życie i innych ludzi, całe w kłamstwach i samo-

lubnym pokazie, które się rozchodzi, pamięta, zadziwia, ale gdy je aniołowie uniosą do góry... lekkie będzie i nie nieznaczące. Inne są sądy Boże a inne wyroki wasze, to co wam potężnem się zdaje, tam grzechem jest może, co tu niewidoczne, tam wielkie i święte, a im ciszej się cierpi, im więcej boleść ukrywa, im więcej też z ofiarą, tém świetniejsze w niebiosach czekają palmy i wieńce.

XV.

Mówił, a szmer głosu jego lał mi w piersi spokój jakiś niewysłowiony, inaczej spoglądałem teraz na ziemię, z za łez które stał dłońią białą, wzrok mój oschły, głębiej coraz sięgał w ziemię, widział jaśniej i przenikał nietylko pod zakryte miejsca ale w najzamkniętsze piersi tajniki.

I spostrzegłem między mogiłami wśród kości spalonych na stosie namiętności i pocerniałych od złego...białe niewinnych całuny i szczątki przemienione w drogie kamienie, nad którymi stali geologowie tłumacząc ich pochodzenie ogniem i wodą, gdy one wszystkie były dziełem dusz wybranych, co pył ziemi w klejnot przeistoczyły, co ziemski proch brudny,

w dziwnych barw i piękności przemieniły kształty.

Widziałam tam tajemnice nieodgadnione dla oka co się nie załzawiło i nie podniosło z aniołem do niebios, i nie oświeciło cierpieniem wielkiem, a gdy zapatrzony dumał, rzekł anioł do mnie:

— Chcesz żeby prochy wskrzesił i przywiódł je przed ciebie, aby ci mówiły o sobie? Wy patrzycie na złomki życia ze świata — chceszli obejrzyć całość jego, podniesiony ku niebiosom?

I nie czekając odpowiedzi, której mu dać nie śmiałem, anioł złożył ręce i począł się modlić ku źródłu światła, które jaśniało nad głowami naszymi, a modlitwa jego widomie jak promień biały wstępowała wysoko, pieła się w górę, aż utonęła w wiekuistej aureoli zawieszonj w srodzinie swiatów.

I po chwili na promieniu, który z jasności nazad odstrzelił ku nam, widziałem zstępującą ze smutném obliczem i złożonemi na piersi rękami, duszę jak śnieg białą. Szła powoli po promieniu ku ziemi, jak wygnanka stęskniona a posłuszna wyższej woli... i spuściła się ponad chwa-

stem porosłą mogiłą cmentarza....okrytego drzewy i gąszczą.

Było to stare pole spoczynku, na którym już dziś zwłok nie chowano nowych, bo dla nich miejsca między starymi nie było, i rydel grabarza rozbijał się o popruchniałe trumny i niedognię kości. Groby okrywały jeden przy drugim całą tę przestrzeń, ostatni wyraz życia kilkunastu pokoleń. Tu i owdzie sterczały jeszcze na nich krzyże, wałyły się gruzы cegieł, kamienie porozbijane i starte, szczątki drzewa, i zdziczałe, niegdyś pielęgnowane żalem rośliny, ciężko z chwastów wybijające się ku światłości dnia Bożego. Ze stu drzew może zasadzonych ręką pobożną, kilka wzrosły w grube konary, niesiane i niesadzone przybiegły z litością okryć od wiatru grobowiska ubogich.

Gdzieniegdzie na świeższych wzgórzach darnią porosłych, chwast nawet nie miał się czasu rozplenić... stały nagie i odkryte...W rogu tego pola umarłych zapomnianego i opuszczonego przez żywych, w koło którego obalił się parkan, i furta wiodąca doń upadła; ujrzałem ducha zlatującego na niedawną jeszcze mogiłę i powoli przez warstwę ziemi zbitęj przeciskającego się do jej wnętrzości. Tam w przepruchniałej tru-

mience trochę leżało popiołów i kości ściśniętych ziemią i zmartwiałych. Gdy duch wionął na nie, powoli poruszyła się garść prochu i z lekka zarysowała się przed oczyma moimi postać niewiasty spoczywającej w trumnie, odzianej szatą białą, ze złożonymi rękami i krzyżykiem na piersiach.

Błada i martwa z razu postać ta dźwignęła się, a ziemia rozsunęła i roztopiła dźwigniona ramieniem ducha, który panuje wszystkiemu... i z otwartego grobowca powoli wysunął się posąg marmurowy niewiasty, która z westchnieniem znużenia siadła na brzegu czarnej przepaści.

Nie ziemskie to było zjawisko i na licach upiora, znać było że duch co go ożywiał, niedawno z niebios powrócił. Stopniami ożywiało się białe lice i powracało życie, drgało ciało wskrzeszone, i jakby ze snu wychodząc kobieta podniosła oczy na znaną okolicę, zdając się chcieć i nie mogąc przypomnieć świata na który chwilowo wracała.

Naówczas dopiero ujrzałem to cudowne zjawisko, z bijącym sercem poglądając na nie. Była to niewiasta w całym blasku dojrzałej idealnej piękności, biała jak lilia, promieniejąca,

uśmiechnięta smutnym uśmiechem zagrobowym i zaświatowym nieziemskim. Owal jęj twarzy miał ten niepościgniony wdzięk linii, którego żadna dłoń artysty odtworzyć nie potrafi, a ręka tylko Boża zarysować jest w stanie. Na białém tle lica, jak dwie pochodnie paliło się dwoje oczów czarnych, ognistych, ale smutnych i załzawionych, a powieki co je otaczały jakby wypłakane ciemniały barwą smętną, brunatną, wśród marmuru lica. Wysokie czoło białe, nieprzecięte jedną zmarszczką jak sklepienie świątyni duszy, wznosiło się nad smutnemi powiekami; dumało ono myślą nieśmiertelności i tęsknotą za wiekuistą ojczyzną. W ustach był uśmiech i płacz razem, ale te usta milczały.

Anioły tylko śnią się takimi artystom mollanditwą natchnionym, jaką się zjawiała ta dziewczyna — kobieta — wielka, wspaniała, silna, a czułym i łzami przejęta. Pierwsze jęj spojrzenie w świat było podziwieniem smutnem, objęła nim horyzonty dalekie jakby na nieznany kraj patrzyła; powoli rozbudziło się w niej wspomnienie jak się rozpała lampa, i oświecało twarz nabierającą barwy życia — krew napelniała żyłki i rumieniła lica. Jak wschodzące słońce du-

sza zaróżowiła niebo jęj twarzy, przed chwilą jeszcze blade i martwe. Z pamięcią wróciła boleść i rozesłała się na czole, w ustach, w wejściu, wytrysły łzy przywykłe gości na powiekach, załamały ręce białe. Już nie z obojętnością ale z cierpienia wyrazem poglądała na cokolice jak gdyby każdy przedmiot był dla niej wspomnieniem przecierpianej chwili, i podniosła oczy do nieba. Jeszcze tęsknica do niego ogarniała ją, gdy już nowa tęsknica ziemi mieszać się z nią poczęła i goryczą, przed chwilą próżne serce zapelniać.

Wracało życie i ona wracała do życia... anioł smutnie patrzył na nią.

XVI.

— Gdzież jestem? przemówiły jęj usta — co było ze mną? gdzieś była? śniłaż mi się wielka jasność Boża, w której tak błogo zatopiona spoczęłam. Na łonie Boga tak mi było szczęśliwie i spokojnie. Byłoż to marzeniem tylko? Grób otwarty, więc umarłam? i świat znowu? dla czego wracam do niego? żyć potrzeba znowu tém starém życiem niewoli, ciężkiem i błędnem, skutem w łańcuchów tysiące? Zdawało mi się, jakby już raz pękło serce i skończyła

się próba, a śniło mi się, że anioł uniósł zranioną duszę do Tronu miłosierdzia, do podwojów łaski, i położył ją u stóp Pana, który w nią tchnął zapomnienie boleści i żywot nowy. W tamtym bycie wszystkie moje sny ziemskie cudnie wykwitły rzeczywistością niebieską — serce było pełne, szczęśliwe, bez pragnień i niepokoju. Byłże to sen tylko? A! powoli przychodzi mi na pamięć wszystkie zabyte... kajdany... zawody...

I odszedł duch z mogiły stępując powoli, aż wyszedł po za obręb cmentarza i zwrócił się ku jednej stronie, w której drzew massy zieleniały, przesunął się ku wzgórzu otoczonemu jakby zapomnianym ogrodem. Miejsce to było piękne nad brzegiem rzeczki, na niém ślady jeszcze niedawno obalonych budowli, ale już tam nie mieszkali ludzie. Jak na cmentarzu siało na pustkowiu chwasty zapomnienia, a ptacy swiergotali na ruinach. Widocznie był to dwór niegdyś zamożny, który spłonął czy zniszczał, a wkoło niego wspaniały ogród i budynki, w gruz i zarośla się zmieniły. Parę chat zlepiionych ze szczątków pańskiej wspaniałości dymiły na rumowiskach ubogim kominem.

Wśród parku i powycinanych pni dębów,

gdzieniegdzie snuły się grędy warzywa i płoty suche i zagony ubogie. A jeszcze wśród resztek zieloności rozsadzonej symetrycznie, znać było ślady przepychu, altany grobowe, długie szpalery, kamienne mosty, i świątynki poobracane na kurniki.

Duch wszedł na najwyższe wzgórze gdzie stał pałac a dziś kupa rumowisk nad lochami rosła burzanem badyłów i zadrzał. — Nic, rzekł nie! ani śladu!! i załamał ręce.

— Gdzież kaplica? gdzie mój pokoik dzieciwicy, z którego widok był tak piękny? gdzie pokój siostry i braci, gdzie matki? gdzie nasze grządki dziecinne?

Jedna kupka bratków i trawy rosła na opustoszoanym klombiku, duch płacząc zerwał z nich listek. I tu cmentarz, rzekł — i wszędzie tylko cmentarze... Nikogo, gdzie oni? w mogiłach!

I siadłszy rozwinął karty swojego życia, a gdy z nich czytał powoli anioł mi je tłumaczył... i tak rozsunął się przedemną żywot ów skończony już, którego ostatnim aktem była cicha łza boleści co okupiła grzechy i ducha do niebios uskrzydliła.

— Pamiętam, mówił duch, było nas dwoje,

Mogiły.

dwie dziewcząt u boku matki; śmiał się do nas świat i przyszłość, roiliśmy szczęście i kołysały do niego. Ileż to prześniłyśmy obie chodząc po tych ulicach, biegając za kwiatkami po ogródkach, odpoczywając w téj cichéj izdebce naszej, gdzieśmy stroiły majowy ołtarzyk Maryi.

Gdy duch mówił jam cudem jakimś postrzegł przemieniającą się okolicę... znikła z przedemnie otwarta mogiła; i owa ruina, i ów opuszczony ogród, a ujrzałem w miejscu stosu gruzów, wspaniałe domostwo ciche i poważnie siedzące wśród żyznego kraju kątką. Był to stary dwór pański, otoczony sadem i ogrodem cienistym, a ożywiali go ludzie mnodzy i życie wielkie i zamożność. Duch ów przemienił się w młodziuchne dziewczę tak piękne jak anieli bracia aniola, z dwoma czar-nemi warkoczami na ramionach przebiegające ogródek; siadające to na kolanach matki, to przytulające się do młodej siostrzyczki. Obie razem były jak dwa kwiatki na jednéj łodydze z których jeden rozkwita, drugi w pączku pół otwartym się kryje. Jeszcze chwila, jeszcze promyk słońca a oto się już otworzy.

Widziałem je połączone uściskiem serde-

cznym u kolan matki, której oczy zawczasu płakały.. gdy dzieci śmiały się jeszcze niepojętemu życiu i światu.

XVII.

Nagle dwór mi światłami mnogiemi zajaśniał jakby przygotowaniem weselném, ludzie kręcili się żywo, ale na ich twarzach nie było wesela.... tylko zajęcie jakieś i smutek. W głębi pokoju spostrzegłem ducha, który klęczał przed poważną postacią macierzyńską obleczoną powagą—i płakał, i posłyszałem wyrazy niewiasty, która córkę przytulając do piersi tak mówiła:

— Przygotuj się być dobrowolną ofiarą i nie buntuj przeciw losowi kobiety.... dziś, jutro nią być musisz. Nikt nie posiadał czego pożałował i nie złożył życia jak je wymarzył, ani miał tego co ukochał. Naszem przeznaczeniem cierpieć po cichu, modlić się, płakać, uśmiechać usta choć przepełnione goryczą, i umierać z krzyżem w piersi wbitym. Kobieta rodzi się do niedoli, a jeśli marzenie przejdzie ponad czołem jęj białem, otrząsnąć je musi jak wieniec uwiedły.... by nie przyrósł do skroni. Czyż nam pragnąć szczęścia, tutaj gdzie dzień

żaden nie kończy się jak zaczął, a jutro najeżone kolcami? Gdzież szczęście? dziecię moje! chyba w snach z kolebki niebieskiej wyniesionych, chyba w widzeniu młodej duszy, co jeszcze palcem ziemi ni stopą nie tknęła! Dziś czy jutro potrzeba spełnić kielich ofiary i gorczyży usta gotowemi, a kto mu się opiera traci zasługę i co dobrowolnie nie spełnił, przymocą wychyli do dna.

XVIII.

Dziecię klęcząc u nóg matki spytało—Co mi każesz uczynić?—Widzisz ten zbytek co nas otacza, ten dostatek w którym wychowaną zostałeś? To są pokrywy tylko ciężkiej rzeczywistości, pod niemi leży zimne i straszne ubóstwo, upokorzenie. Wychowane do świata blasku będziecie ubogiemi, jeśli z siebie dla nas nieuczynicie ofiary; dla braci z któremi dzielić się niemacie czém, dla starości naszej, która wam chleba powszedniego dostarczyć nie może. Niepytaj serca, a podaj rękę komu wskaże Leoni, spełnij obowiązki życia jakby cię ku nim wiodła miłość.

Dziewczę zadrżało... a matka mówiła chłodno.—Nie szczęście ale krzyż Chrystusów kła-

dnę na ramiona twoje dając cię dziś temu człowiekowi—ale ty go podźwignąć możesz i siebie zbawić i jego. Nie kochasz go, wiem, ale serce twe wolne.

Twarz Leoni oblała się rumieńcem i spuściła ku ziemi i jak marmur zbladła.

— Nie prawdaż? ty niekochasz? jabym o tém wiedziała? surowo dodała matka.

I pierwsze w życiu kłamstwo wstydlive przeszło usta dziewicze, a stłumiony głos odpowiedział: Nie Kocham matko.

Ale ile w nim było boleści i poświęcenia, ile siły w tém kłamstwie! Powoli podniosła oczy dziewczyna i skryć je musiała tak były łez pełne, a gdy wstała pobłogosławiona przez matkę, drżała jak liść i blada była i lkała w duszy. Krzyż matki nad głową jej drżącą ręką skreślony, namaścił ją na ofiarę... i wstała silną i wielką.

XIX.

Księżyc wschodził na niebie podnosząc się powoli i bledniejąc w miarę jak się posuwał ku górze... krwią obłany, rumiany, złocisty, srebrny wreszcie martwił jak człowiek co się starzeje. Cisza była w ogrodzie uroczysta, cie-

mno w ulicach, dwór tylko płonął światłami. W alei przechadzał się z załamanymi rękami mężczyzna młody i szarpał na sobie odzież która piersi mu się gniesć zdawała. O nie suknia to ale boleść je gniotła a téj odjąć nie mógł — patrzył w okno płonące światłami i płakał a łzy połykał.

— Wszystko się skończyło, mówił do siebie po cichu, sny, nadzieje, szczęście, młodość, jeden krok a będę na progu rzeczywistości, w świecie rachuby i ludzi. Ona niechce mnie choć kocha, odpycha i dobrowolnie oddaje się drugiemu, w nic więc nawet w serce dziewczęcia wierzyć nie można. Nawet w serce piętnastoletniej dziewczynki, której ledwie wczoraj skrzydła anioła z ramion opadły. — O to straszliwe, to okropne! I załamał ręce, gdy na nich uczuł dotknięcie białej znanej dłoni, drżącej jak woda przebiegająca po kamykach.

— Adamie, rzekł głos cichy — czułam że cierpisz i przyszedłam cię pożegnać, dać ci ostatnie słowo otuchy, prosić o odwagę.

— A ty ją masz szczęśliwa, boś niekochala nigdy.

— Mam ją bo kocham inaczej i silniej może od ciebie, odpowiedziało dziewczę. Powiedz

mi, dodała podnosząc oczy na księżyc, a w nich przejrzała się jasność i odkryła łzę której w głosie słyhać nie było — co ty nazywasz miłością. Alboż się czyście i święcie na wiek wieków kochać nam bronią?

— Ale ty będziesz cudzą żoną i zaprzysięszes mu wiare.

— I wiary dotrzymam, rzekła kobieta — jak jej odemnie wymagać będzie, przysięga, obyczaj, ludzie, ale nie wyrwie ono z serca miłości stałej i wiekuiestej dla ciebie. Gdyby nas los z sobą powiązał i zbliżył tak, byśmy do jednej taczki przykuci, naprzykrzyć się sobie musieli ciągnąć ją nierównymi siłami, nie jednakowo — któż wie czyby nie ostygło to przywiązanie nasze zrodzone w dzieciństwie wesołym — rozdeleni, zmuszeni patrzeć na siebie z daleka i wiecznie być godnemi siebie, widzieć w sobie będziemy ideały młodości i kochać się możemy, musimy na zawsze.

— A nie żyć z sobą? a rozstać? podchwycił młody człowiek.

— Z kimże żyjemy? z kim się nie rozstajemy? codziennam coś umiera, czego nie przedstawiamy kochać pogrobową miłością? codziennam coś tracim i tęsknim za straconym... Ale my

Adamie nie przestaniemy kochać się wielką i świętą miłością, z Bogiem, w Bogu, która świecić będzie życiu naszemu. Mąż mój mieć będzie tylko ostatek tego serca; które bije dla ciebie, i nie będę się z tem tać przed światem bo się nie wstydzę tego; bo miłość moja nie jest przechodzącą namiętnością, ale ukochaniem ciebie.

I z czystym wzruszeniem rzuciła mu się na szyję.

— A! rzekł Adam—to nie to com marzył, żyć z dłonią w dłoni, razem, w ciszy, w pocałunku i uścisku, kochać tylko ciebie, mieć twoją miłość wielką i całą.

Leonia uśmiechnęła się boleśnie. — I ja tak marzyłam, rzekła—ale to miłość co źródło swe wysusza może, co upaja i szal daje, i trwać nie może... Zresztą, dla ciebie byłabym czembyś chciał, stałabym się czembyś kazał, ale wola Boża inaczej mną rozporządziła. Będę ofiarą dla nich, rzekła wskazując na okno dworu... a kochać cię nie przestanę.

— A! a życie moje! rzekł rozpaczliwie Adam.

— A może? uśmiechnęła się boleśnie Leonia—spójrz na nie i powiedz mi czego byś mi mógł zazdrościć? Tyś wolny i pozostaniesz

sobą, ja własnością cudzą, ja niewolnicą człowieka, ja sługą tego którego nie kocham a któremu żoną i towarzyszką mi być każą... Nie dzielam myśli jego, uczuć, nie między nami nie ma wspólnego... Adamie...

Ten niesłuchał, lży mu po mężkiej łały się twarzy, choć je chciał stłumić w sobie, i znowu dziewczę rzuciło mu się na ramiona—Adamie! mężtwo! rzekła, tyś mi je dać był powinien, a odbierasz, ja cię o nie proszę dla ciebie... wytrwania i mężtwo. Stałość nie wybuchu potrzebuje, miłość nasza, związek dwóch serc to rzecz droga i święta, pracujmy by go nie zerwać, by być godnymi siebie, by się nie zmienić, nie ochłodzić, nie zapomnieć.

XX.

Ale czemu są słowa, gdy z dwojga serc jedną nutą brzmi zgodnie uczucie jedno w chwili rozstania? Starczą one za jedno serce uderzenie? zastąpią ten dreszcz który przebiega po człowieku? złamią one choć jedną boleść? zetrą choć jedno gorzkie wspomnienie? Ona mówiła mężnie ale drżała, on płakał, i w milczeniu przybliżyli się do siebie, przytulili, radzi tam umrzeć w swoich objęciach lub czyści

przejść do niebios na skrzydłach aniołów stróżów, których dwie białe postacie widać było w górze w uścisku zjednoczone z sobą. Chcieli tak umrzeć a żyć musieli rozerwani... Szelest i hałas szukających narzeczonej dał się słyszeć w koło; Leonia wyrwała się wołając—Mężtwa Adamie! i uciekła, on pozostał wkuty do miejsca, pragnąc ciągle śmierci, tak dalej nie pojmował życia.

I nie rychło poszedł trawiony gorączką, z miłości pocziwój i spokojnej przechodząc w zwątpienie i posądzenie anioła, który płakał nad nim i nad sobą.

XXI.

Dwór stary znikł mi z oczów, znowu się zmieniając w ruiny i pustkę jak przed chwilą, ulica w której się żegnali zarosła chwastem, i samotne bydle pasło się na miejscu, gdzie ostatnią łzę Leonii wypił pocałunek Adama. Duch w szacie białej powoli przesuwiał się przez pola i lasy do pałacu który stał opodal na dolinie szeroką rzeką przeciętą, szedł tam jakby żelaznym mimowoli ciągniony łańcuchem, łkając i oglądając się za siebie. Adam znikł mi z oczów.

Tu znowu zaczęło się życie i piękna twarz Leonii z za łez uśmiechnęła się wyrazem przymuszonego szczęścia, potrzeba było udawać i kłamać wesele przed światem, aby świat nie mówił że ją rodzice poświęcili i sprzedali swą córkę, aby na nich kamieniem nie rzucano za dziecie. Leonia pojęła to i podniosła się do ideału w poświęceniu. Z gorzką tęsknotą w sercu dźwignęła czoło schmurzone i kazała uśmiechać się ustom, poczęła ten dramat szczęścia który miała grać całe życie z wyznaczonym jej od losu współaktorem. Oczy moje padły na jej towarzysza, który jak ciemna plama wystąpił obok tej czystej i jasnej gwiazdeczki. Człowiek to był, niestety! z mięsa i kości, ale bez ducha, ale bez serca i uczucia, nierozbudziło się w nim żadne pragnienie czegoś lepszego, większego, wyższego nad to co ręką ująć i przygarnąć było można. Dosyć mu było tego co go otaczało i ciało jego żywiło strawą codzienną. Iluż to tak pospolitych ludzi po świecie? ale się w nich czasem wieszcza ozwie tęsknota do niebios i czegoś wyższego, choć zachmurzy się czoło? choć zabije serce, choć przeleci pragnienie nie skreślone, choć podnieś ich uwielbienie ku czemuś wielkiemu i świę-

temu... ten zaś człowiek nie miał iskierki duszy w rozpasłym ciele, a wiekuisty uśmiech głupoty na ustach.

Dwóch istot z przeciwniejszych biegunów nie mogły losy spoić dziwniejszej — ta cała anielska i niebieska, ten cały ziemski i chłodny ta wzniosła i pogodna jak oblicze aniołów, on szyderski wśród wesela, pochmurny w smutku znużenia, i samolubny zawsze.

Ona zawsze tęskniąca za niepoścignioną doskonałością, on nie wierzący nawet w ideę doskonałości i brzydzący się wszystkim co usiłowało podnieść od ziemi, ona święta i cierpliwa, on despotyczny i gniewny. Często tak w świecie zwiążą się dwa ogniwa dwóch żywiołów, aby wzajemnie w sobie życie budziły, ale tu z jednej strony była ofiara niewinna, z drugiej kat bez litości, z jednej uśmiechnięta owca, z drugiej zwierz krwią niesyty. Małżeństwo to na oko szczęśliwe było świętokradzkim związkiem w głębi, ale nikt tego nie dojrzał, bo niewiasta broniła czci domowego ogniska i okryła sztytem płaszczem swojego szczęścia i występek mężowski i swoją niedolę.

A gdy noc przyszła i modlić się jej pozwolono, klękała dopiero płakać, modlić się, my-

śleć o cichych, czystych rozmowach z Adamem i ścigać dumą ukochanego swego po szerokim świecie... A kiedy jej serce rozboleło do śmierci, anioł stróż przynosił sen i marzenia i sypał je z szaty swiej na spoczywającą.

XXII.

Żadne upokorzenie nie minęło Leoni, towarzyszy jej doli nie oszczędził żadnego, śmiał się gdy płakała, łajał gdy była wesolą, wyszydział gdy się unosiła, zadawał publicznie kłamstwo jej szczęściu lub chlubił się miłością, która ją tyle kosztowała. Nielitościwy odgrywał swą rolę kata jakby się do niej urodził, niepożalował nigdy, nie wstrzymał się językiem, rozżerał coraz bardziej gdy go oczyma błagała. A wszystko to czynił zimno, dla rozrywki, gdy biedna kobieta konała prawie pod ciężarem bólesci nie mogąc jej podolać. Ale z ust jej uśmiech nie schodził i pogoda z czoła... ofiarując Bogu męczarnie szła dalej nieszczęśliwa... myśl o Adanie i łaża cicha krzepiła ją w siły na dalszą wędrówkę. Adama widzieć nie było... na długo znikł jej z oczów; nareszcie ukazał się... Niepoznałem go niestety. Ona była jaśniejszą niż kiedy lilie, on zczerniał i upadł...

Z rozkwitłego młodziana stał się pospolitym spasyłym na duchu człowiekiem... Z uśmiechem zadowolenia zbliżył się do niej i w imię czystej miłości dziecinną, nieczystą gorzał namiętnością. Twarz jej zbladła jak marmur gdy go ujrziała... Sądziłem że padnie trupem, patrząc na swą ostatnią nadzieję i wiarę zawiedzione tak boleśnie... Człowiek który był dla niej ideałem, stał się podobnym temu z którym żyła zamiast się podnieść, skarłał i ostygł, był szczęśliwy i życie mu starczyło powszednim chlebem swoim, uśmiechał się nie tęsknotą ale zadowoleniem...

Naprawdę szukała w nim obietnic przeszłości... woń którą go namaściła młodość rozwiała się i uciekła, został człowiek wbity w ziemię, pospolity i rad sobie. Wy coście przetworowali marzenie ideału i już je schwytali w ziemskie objęcia, a mniemając zaczerpnąć życia poczuli w niem trupa chłodnego, wiecie jaka to boleść gdy serce ukocha to co kochania niegodne, jak trudno mu się wyrwać z tych kajdan, jak z niej do politowania i zapomnienia przejść trudno, jaka potem... pustka piekiel zostaje w sercu. Leonia załamała ręce słuchając go i padła zemdlona, nie miała siły za-

nieść swęj ofiary do stóp krzyża... i po chwili łzów niepohamowanych ukłękła dopiero na modlitwę ofiarną, na błaganie służebne przed ołtarzem.

W sercu pochowała Adama i nad mogiłą jego postawiła krzyż wspomnienia... ideał spoczął na dnie pamiątek młodości... na świecie już go nie było.

XXIII.

Jak mgła przesuwały się lata nad duchem, który na nowo przeżywał ubiegłe życie w starzej szacie swojej... i odsłoniły się przed oczyma mojemu dzień po dniu, godzina po godzinie wszystkie męczarnie istoty której męczeństwo nie miało rozgłosu, widzów, cyrku i chwały. Nie broczyła ani krwią ani łzami areny, nie poklaskiwała tłuszcza rozdzierającemu ją zwierzęciu, nie poniosła śmierci wśród ekstazy w chwili podniesienia ducha, nie odebrała jej z rąk kata szybko i litościwie zadanej, ale cicho cierpiała w ciszy zakryta przed oczyma świata, uśmiechnięta, opłonią, a gdy ją pytano czy cierpiała, musiała kłamać swobodę i pokój... nikt by męczarni nie uwierzył. W istocie czego jej brakło do pospolitego ide-

alu tego co się szczęściem zowie? Nie a nawet kolebki dziecięcia o którego losy zawcześnie się trworzyła, choć inni widzieli w niem pociechę przyszłości. Ludzie znali ją bogatą, pieśzoną, piękną, rumianą gorączką, ożywioną bojem codziennym i mówili: Jaka ona szczęśliwa? Łez jój nocnych nikt niewidział, kolebka była tylko nową trwogą, czy wychowa dziecko świata czy Bogu? czy zeń uczyni anioła do cierpienia, czy człowieka do rokoszy? Nie wiedziała czyj tu wpływ przeważy, ojca co mu miał dać ciało, czy matki co wlać chciała z łzą na kolebkę spadająca, duszę. A tym czasem próżnia była w koło niej i pustkowiem... ani siostry, ani tego brata przybranego, którego tak dawniej kochała! Ludzie obcy, zimni zawsze, ledwie na chwilę umiejący się podnieść myślą nad ziemię, by znowu spaść w tok powszechnej prozy i błota. Nikt prócz anioła stróża nie opiekował się sierotą, którą uciskały więzy rzeczywistości, jak ryba w sieci miotała się w niej wygnanka.

Na ten widok żalem zdjęty zapytałem cicho anioła.

— Czemu i ty nad nią nie płaczesz?

— Alboż to nie jest wielki i potężny obraz

mocy Bożej w człowieku? alboż nie trzeba spiewać Hosanna i wielbić tego co w maluczkim stworzeniu taką złożył siłę? Patrz... ta istota odosobniona, walcząca ze wszystkim co świat i ziemia na zezwierżenie jój zebrać mogły, wystawiona codziennie na pociski szyderstwa, na obwiewający ją chłód, nie jestli wielką i majestatycznie piękną w tej koronie, nie z ciernia, bo ciern jest jeszcze poezią męczeństwa, ale z pokrzywy z pod płotów i z badylów śmieć...

Ta kobieta tak wyższa od wszystkiego co ją otacza nie jestli wielką, wspaniałą, piękną? Byłaby taką w szczęściu, i nie na placu boju, w ciszy ubłogosławionej miłością i cichym marzeniem u boku ulubionego? Nie stałaby się pospolitą niewiastą, matką szczęśliwą? nie zdrzemnęłaby się uspokojona? gdy dziś jest wielką i świętą męczennicą! Na tę rycerkę chrześciańską patrzą aniołowie i święci z czcią i miłością, gdy kryjąc się od męża wynosi ubogim swe mienie odkradzione skąpemu oku; gdy broni dziecka od wpływów co by je w kolebce struć mogły? gdy własną pierś od zgubnego tchu zwątpienia krzyżem osłania? Patrz w górę jak chór aniołów ulata nad tą niewia-

Mogily.

stą świętą, i jak każdy krok jój męczeński, jest wielkim widokiem dla górnego świata.

XXIV.

Zdumiałem się życia znaczeniu, które w pospolite ramy ujęte, pięknym, tylko powszednim było dla mnie obrazkiem... znikły z niego barwy pospolite, które nań zlewał cień męża i otaczających ludzi, przeistoczyło się to w wielki wizerunek męczeństwa.

I patrzałem dalej jak leciały lata, jak mężniała i dojrzewała kobieta z sercem wyschłem od potrzeby kochania, otoczona ludźmi których umiłowac nie mogła. W tém nowa postać zjawiała mi się obok niej, i zdało mi się że to był Adam lat młodych. Bratnie z nim miał podobieństwo twarzy, ten sam co on dawniej uśmiech rozpromieniony marzeniem, też same oczy w widzeniach utopione zaziemskich, to same pragnienie poezyi i miłości.

Widziałem jak Leonia spotkawszy go wzdrygnęła się jak gdyby ujrzała upiora, chciała mu się rzucić na szyję i cofnęła przerażona. On to był i nie on znowu, dojrzalszy, piękniejszy, taki jakim by był Adam gdyby dobrowolnie nie

upadł. Wzrok biednego ducha witał go jak wskrzeszonego z mogiły... i była to chwila w życiu niewiasty może jedyna szczęśliwa choć łzawa.

Zbliżyli się, poznali, zgadłem że się pokochać musieli miłością wielką i świętą—ale było przeznaczeniem jój w każdej kropki i godzinie życia napić się żółci ilekroć pragnęła. Ten człowiek tak pozornie wielki, tak czysty, tak duszą górujący nad innemi, tak sercem młody, był niestety wielkim tylko mistrzem w téj sztuce, która jest utworem człowieka... w kłamstwie słowa i czynu. W świecie Bożym nie kłamać nie umie krom jednego człowieka, wiele rzeczy ludzi, wiele istot uwodzi, jeden człowiek kłamie. Nie on nie stworzył krom tego, ale fałsz jest jego dziełem. Zwierzę jest zawsze tém czém jest, sobą, człowiek sam przebieira siebie, serce, uczynki, słowa swoje w barwy fałszu, on jeden zabija wiarę w to czem jest, nigdy prawie nie będąc szczerze sobą. Jedni kłamią dobre, drudzy złe, inni stwarzają z siebie nowych ludzi, mało jest takich co są jakimi ich Bóg uczynił. Szczérość i prawda najrzadsze z cnót ludzkich. Człowiek dosztukowuje się i łąta do ideału lub własnego o niém

pojęcia na szczydłach kłamstwa... ten dorabia sobie serca, drugi duszy, ów męstwa, tamten szlachetności, i jak malują twarze i włosy, tak barwią serca i charaktery! Cnotliwy wstydzi się swój pocziwój cnoty, namiętny swego zapału, występny swój zbrodni, a wszyscy kładną jakąś maskę na twarz, aby ich niepoznano. Z zazdrości pierwszego zabójcy na ziemi zrodziło się pierwsze kłamstwo którym Kain zakryć się chciał przed okiem Bożem, a synowie Kaina choć nieoszukali Boga, ludzi i braci chcą wiecznie uwodzić.

Udaje się to czy niepowodzi, kłamstwo jest nieustannym wyrazem życia, a prawda najdroższą cnotą. Ów Adam nowy, był najumiejętniejszym na scenie ludzkiej aktorem, Leona najprawdziwszą z niewiast, ona niepojmowała fałszu, ani się go domyślała na świecie, i widzieć go w nim nie chciała. Miłość jego, wielkość pozorną, przywiązanie wzięła za prawdę, i z oczów wybuchające uczucie przyjęła do serca spragnionego; wskrzeszając dla nich tę miłość pierwszą, której niedoschła gałązka zieleniała gdzieś w zakątku.

Kochała go jak aniołowie kochają się w niebie, on ją jak ludzie kochają się na ziemi, ona

jak ideał męża, on ją jak pospolitą a piękną niewiastę. Nikt lepiej nadeń zapału i poezyi grać nie umiał choć nie miał ich w duszy, sam aktor i widz śmiał się z tego co mówił, a słuchając go rzekłbyś że krwią i łzami płynęły słowa. Umiał płakać, umiał rozpaczać, umiał umierać na zimno; i grał dla niej dramat w którym ona płaciła uczuciem czystym jak złoto, on fałszywą monetą próżności ludzkiej i lodowatego serca.

XXV.

Smutny to był i rozrzucający widok, tego czystego uczucia z jednej strony, tej niepościwój i szyderskiej miłości z drugiej, i anioł teoryj płakał z załamanemi rękoma nad jej głową. Drżałem myśląc że czysta niewiasta upaść i skalać się może ofiarą wielką dla istoty, która nie była jej godną; widziałem jak rozplamieniało się jej serce, jak w niej obudzał litość, jak ją rozczulał męczarnią, której niedoznawał, jak kłamał przed nią poezją, której w duszy nie miał i kropli, którą pożyczal z kolei z podań, z ksiąg, ze wspomnień — jak się dla niej przebierał, istny zwierz dziki, któremu zima daje suknie śniegu, aby ofiara po jej barwie niepoznała wroga.

— Żadenże z aniołów w pomoc jój nie przyjdzie! zawołałem zrozpaczony, żadenże syn niepowie jój o niebezpieczeństwie? czyż do końca pozostanie ślepą i ufną ofiarą?

Duch który mnie utrzymywał w górze, wstąpił ze mną i wskazał mi ręką ostatnią scenę tego dramatu, co serce boleścią przejmował...

Był chmurny wieczór jesieni, dwóch ich zimnych aktorów siedziało w pokoju zabijając nudy chorobą, ten porost zgniłych umysłów — rozmową szyderską i śmiechu suchego pełną. Kłamanym Adam i drugi mu podobny zwierzali się sobie pustych żywotów swoich, wywlekając czemby się pochlubić mogli. Czem się chlubią ludzie tacy? nie zwycięstwem nad sobą, nie ofiarami, nie wielkim czynem i myślą potężną, ale małuczkami podbojami nieuczciwości, triumfy nad słabością czyjaś, zdradą i chłodem bezlitosnym.

W téjże chwili gdy Leonja płakała w swoim kątku myśląc o głębokiej miłości jaką czuła i wzbudziła, gdy uniesiona uczuciem litości gotowa była na wielką ofiarę dla człowieka co uwieść tylko ją pragnął, gdy łzy jój spadały na kolebkę, a serce rozerwane pękało między

obowiązkiem a miłością, obok — ten któremu się chciała poświęcić, po cichu szydził z biednej niewiasty.

— Słuchaj, mówi do przyjaciela — znasz Leonję, prawda że cudna, jak anioł piękna i święta... otóż co do kobiety... Ja jój nie kocham, ale rzucony w tę pustynię chciałem spróbować jak też niezwykłą jest ta cnota. — I zwyciężyłeś? spytał przyjaciel niedowierzająco lecz szydersko. — Nie jeszcze, ale już prawie zwycięzca, zawróciłem jój głowę, szaleje za mną, wezmę ją gdy zechcę, wiem jak do kogo przemawiać, byłem poważny, przejęty, czuły, zrozpaczony, biedne kobiecisko, uwierzyła mi i kocha.

— A ty? zapytał przyjaciel. — Ja — bawię się, cóż chcesz, musiałem się czém zająć na téj pustyni... ona tak piękna, ja tak znudzony — sam jeden. Boję się tylko żeby na serjo tego nie wzięła, ona mi wierzy i może wymagać.

— Ale godziź się to? przerwał drugi z oburzeniem.

— Pojadę, zapomni, one mają pamięć krótką, im serce czulsze, im boleść zrazu większa, tém później przechodzi.

— Krótko trwa czy długo? znasz że ty kobiety? kto wie? może jej strujesz życie całe.

— Śmieszny jesteś, rzekł przyjaciel, alboż nie codziennie tak na świecie się dzieje, że się uczucie odegrywa choć go w sercu niema.

— Ale jeśli obudzisz prawdziwe?

— Trwać ono? zapytał pierwszy, trwać ono w sercu kobiety, które chwyta gorąco coraz nowe, oplakuje straty i uśmiecha się zaraz przybywającemu gościowi.

Słuchając tych słów stygłem... ale w tej chwili ujrzałem anioła, który się spuścił ku niej, rozbudził ją dotknięciem sukni i przywiódł nie myśląc pod drzwi przez które miała posłyszeć dwóch przyjaciół rozmowę. Ona szła z postanowieniem poświęcenia się temu, którego kochała, z sercem pełnem miłości, zapłakana drżąc i stanęła wryta usłyszawszy szyderstwo z ust, które pocieszać ją miały. W ucho jej wpadł zrazu dźwięk którego nie zrozumiała, któremu uwierzyć nie mogła, widziałem ją jak żonę Lotową stojącą posągiem osłupienia... nie miała siły uciekać, stała, słuchała i napawała się goryczą, która z tych ust ukochanych spływała na nią powoli. Śmiech

kochanka rozległ się w sercu jej wzdętym — krzyknęła i upadła.

— Ocalona! rzekł Anioł, i widok ten znikł mi z oczów.

XXVI.

Drżałem gdy nowy obraz przed nami się odsłonił — męczennica siedziała znowu samotna u kolebki swego dziecka drugiego, modląc się, ale spokojna. Jej piękność powiększyło cierpienie, podniosła duma zwycięstwa i odwaga bojów codziennych. Obok niej ujrzałem tylko dzieci i tę istotę, do której została przykuta przysięgą zimną, szyderską... Weichłej izdebce spoczywała płacząc, a obok w oświetlonej sali szumiała zabawa, migaly światła, gospodarz domu przyjmował gości jak on szukających rozrywki, nasycenia, odurzenia się. Wzdrygnąłem się na widok zetknięcia tych istot tak różnych, czystej duszy zbolalej, i odrzutków ciemności, co po kolana w kale ziemi chodzili. Co mogło ich zbliżyć?

Do samotnego pokoju wszedł zarumieniony mąż niewiasty, widać było, że tylko co wstał od stołu, który słudzy sprząтали... w salonie kobiety nieczyste gwarzyły, siedząc i leżąc po

sofach, obok nich obok nich szeptali mężczyźni podpiłi i weseli...śpiewano, grano, a ta pobiesiadna chwila przypominała rzymską ucztę z czasów Cezarów. Kobiety były piękne, uśmiechnione, a smutne, mężczyźni wycieńczeni, a znudzeni, ale wszyscy udawali wesołość, nie mogąc jęj przywołać.

— Czemu nie jesteś z nami? zapytał mąż surowo.

— Jestem słaba, rzekła kobieta ... a miejsce moje u kolebki dzieci.

— Przy dzieciach nianki, odparł surowo mężczyzna, twoje miejsce, jako gospodyni z nami, z gośćmi, u boku mojego.

— Jestem chora. — Tak, bo ci moi goście nie mili.

— Szczerze chcesz wiedzieć? tak — oni mi się nie podobają. ...

— Co to jest? zaryczał mąż — jak? dla czego? że nie grają komedij cnoty? że nie spuszczaają oczów i ust nie sznurują? — to są moi przyjaciele. ... — Ale któż oni są, te kobiety — ci panowie.

— Dostyc że ja ich przyjmuję — a więc, zawołał głośnie, proszę z nami, pójdź pani, jeśli nie chcesz bym ją gwałtem poprowadził, i na Boga — z wesołą twarzą! proszę!

To mówiąc, schwycił ją gwałtownie, z wściekłością prawie.

— Dość tego, rzekł, dość tych scen i udanych płaczów, czynisz się nieszczęśliwą, by mnie obwinieć, cóż ci braknie?

Kobieta złożwszy ręce, milczała.

— Zaraz mi bądź wesołą, chcę — i każe!

I nie dając jęj rzec słowa, wciągnął ją do sali.

Weszła jak męczennica do cyrku, a zwierzęta pobladły przed nią, choć szyderskim mierzyły ją wzrokiem — ona nie śmiała podnieść oczów, bo rozpustę choć pozornie okrytą, wszędzie jęj wzrok spotykał. Ścisakały się ręce, szeptały usta przyrzeczenia jednodniowe, a w powietrzu woń jakaś sybarytyzmu polatywała ... wstyd purpurą okrył jęj czoło.

Mąż sztydził z tego rumieńca niewinności.

— Zabawciez ją, wołał do przyjaciół, na ciebie kolej, odezwał się do najwstydlivszego i najslabszego z młodzieży, ręczę że tego dopniesz, jest w tobie zaród exaltacyi, ona to lubi, serca się wasze zrozumieją. I rozśmiał się popychając wybranego przez siebie kochanka, który z poszanowaniem stanął przed tym zbladłym

posągiem — Iza może ostatnia w życiu, zaiskrzyła mu na powiece.

— A! daruj pani! rzekł.

— Myślisz że nie ładna, zawołał mąż — ale oczy zapłakane, ubiór zaniedbany, przypatrtno się tylko... co za kształty! żadna z pań, zakład trzymam, nie ma tak utoczonej nogi jak ona.

Biedna kobieta znowu oblała się rumieńcem, przytuliła do kątka, błagała napróżno litości wzrokiem pokornym, któryby rozbroił kata, ale nie mógł zwyciężyć oszalonego namiętnością człowieka. Jój wstyd wydał mu się udaniem, smutek przeciwieństwem umyślnem, i zmusił ją do pokazania nogi, przed którą nie godzien był ucałować prochu po którym stapała. Chciała uciec zapłakana, ale drzwi były pozamykane, a kielichy szampana na cześć jój podniosły się ze stron wszystkich, ze śpiewem z szyderstwem z jój lez i wstydu.

Z boleścią przypatrywałem się temu pastwieniu nad biedną istotą, w której ci ludzie wzbudzali wstręt i przestrah, i zamknąłem oczy....

XXVII.

Znowu mgła szara zakryła mi to zjawienie, nie widziałem nic, alem drżał. — Czegóż jeszcze

w przyszłości spodziewać się dla niej mogłem? Ziemia nie już dać jej nie miała, a wstęga życia długą jeszcze była; bo śmierć nieprzychodzi rychło tym, co się modlą o nią. Anioł milczał i czując znużenie moje, bom się znów do piersi jego przytulił, dał mi spocząć i odechnąć.

— Koniec to jój żywota? zapytałem.

— O! nie! rzekł — to dopiero początek — nie wyczerpała jeszcze czary goryczy do dna, a każde cierpienie zbroi ją i zastala na przyszłe. Spójrz, dodał rozpedzając obłoki skinieniem ręki — jak silna i promienista, jak wielka i mocna, choć ją jeszcze większe bóle i straszniejsze czekają ofiary.

Wśród tłumu ludzi, na który padł mój wzrok jaśniała ona blaskiem nadziejskim, młodość jój zdawała się wiekuistą, nieprzeżyta...i była piękniejszą jeszcze. Macierzyństwo obwiodło ją wieńcem odwagi, bo o swe dzieci codzień walczyć musiała ciągnąć je ku Bogu, gdy ojciec porrywał do świata. — I widziałem chwilę tej walki nieustanniej, której ogromu domyslałem się tylko, walki skrytej, by ojca w obliczu dzieci nie upokorzyć i nie ohydzić, a niemowlęta z pod wpływu wyrwać zgubnego, by uleczyć co cho-

robliwego wlewało w nie życie powszednie, widoki codzienne, przykład, słowo, duch domowy.—A było ich dwie w tym domu: męczennica w płaszczu purpury, walcząc za dzieci przyciśnione do łona, i zalotnica kochanka, która do dzieci uśmiechała się zwodliwie macoszynemi pieściznami, i żonie prawej kazała kłaniać się przed sobą. Potrzeba było uczynić ją przyjaciółką, by męża oczyścić przed oczyma ludzi, trzeba było dozwolić jej dzieci, a potem z serca ich wyrywać kąkol, który w nich zdradnie zasiała. Były chwile rozpacz i znużenia, ale w modlitwie i widoku dzieci czerpała siły Leonja i upadłszy na chwilę, gdy o śmierć błagała, wstawiała dla dzieci prosząc o życie. Sieroty z tym ojcem gdzie i jak zająć miały wiedzione ręką zalotnic po drodze różami słanej? Trzeba było żyć i oddechem świeżym gasić truciznę wyziewu ust nieczystych, a czynić to tak, aby ojca nie oburzyć i przed światem nie potępić. Cudów dokazywało macierzyńskie serce pełne tajemniczój siły—słowa zwyciężało wejrzeniem, naukę zgubną uściskiem, pokusy dzieciom stawiane modlitwą. I dzieci ciągnięte własnemi namiętnościami w jedną, siłą cnoty w drugą stronę, choć uśmiechały się ojcu, sercami szły za

surową matką; bo je wiodła nie moc i potęga ludzka, ale siła łaski zesłanej w pomoc tej kobiecie.

I widziałem anioły jak zlatywały posłuszne jej, kierując krokami drobnymi dziełek, osłaniając je skrzydły swemi, odpychając od uszów ich mowy zgubne, od serc namiętności zarody, od piersi niepokój żądz. Zatulowały im oczy, zamykały usta, a przed wzrokiem otwierały niebo, by odwieść od ziemi.

Gdym tak zatopiony w tym widoku cierpiał z nią i modlił się, przeżyłem żywotem jej lata długie, które w mgnieniu oka przeszły dla mnie widomo w najdrobniejszych szczegółach, policzyłem jej łzy i chwile zwątpienia, wartość odwagi i walki, całe to pasmo nici złotych, z których utkana była wstęga jej życia krwawemi wzory przeszyta. Ile tam było poświęceń, ile upokorzeń, ile ofiar cichych, ile zaparcia! któż policzy? a wkoło wciąż szyderstwo, obojętność tylko i uśmiech litości, jak nad słabością, jak nad omyłką! Omyłki te były bohaterstwa i poświęceniami, były pobożnemi kłamstwami i upodleniami dźwiganemi mężnie na wysiłonych barkach.

XXVIII.

Widziałem ją znowu osamotnioną, potem wrzuconą w świat, wśród którego on swobodniej mógł namiętnościom dogodzić; unikając zarazem téj smutnej twarzy, której wszystko mógł nakazać prócz uśmiechu i wesela. Ta twarz przerażała go wiekuistym milczącym wyrzutem, budziła gniew i złość, które w dzieku namiętnych, rodzi zawsze surowsze oblicze cnoty.

Potem znowu została sama z dziećmi, opuszczona ale swobodna całe dnie, noce całe. On powracał niekiedy oszalony namiętnością przynosząc z sobą z tego świata w którym przebywał, wóń dziwną, wrażenia i mowę niepojętą. Jakąś wesołość niezdrową, graniczącą z wybuchami gniewu, jakiś śmiech szyderski i zimny, jakieś odurzenie zwierzęce, lub osłupienie martwe. Wbiegał do żony i onieśmiałony jęj powagą i spokojem: przy których gorączkowy stan jego dziwnie jeszcze odbijał, wysilał się aby ją nastroić do siebie, ściągnąć z błękitów ku sobie, gniewając się, że nie chciała, że nie mogła być jak on dzieckiem ziemi. Naówczas wszystko

go w niej gniewało, drażniło, jęj powaga stawała się dlań chłodem, jęj przywiązanie uprzykrzeniem, słowa natręctwem, milczenie obelgą a im z większą przystępowała pokorą, tém więcej się rozjadał zowiąc komedją, co było nie-
szczęściem i rezygnacją. Dzieci mu się przykrzyły, dom zdawał nudny, i w téj atmosferze cichęj wytrwać nie mogąc, biegł znowu za domem w nieczystém źródle rozpusty szukać nasyceń, którego nigdzie dlań nie było. Namiętności są jak trucizny pałace wnętrzości, które budzą pragnienie nienasycone i wywołują śmierć; ale nie ma napoju coby żar ich ugasić potrafił. Leonja łajana milczała, chłostana urągówiskiem spuszczała oczy jak winowajca, a jeśli ła pokazała się na jęj powiece, kryła się z nią, bo wiedziała, że dla tyrana i ona przeciwnie będzie orężem. W téj walce niestworzonych dla siebie istot spływały dni długie i straszliwe, a dramat ten pokryty dla oka ludzi cieniem pokoju i szczęścia tém był straszliwszy, że chodził w szatach wytwornych i stroił się, a uśmiechać musiał.

Jęj już nie szło o siebie, chciała tylko ocalić dzieci, tuląc je do piersi czystej, ale i tego jęj broniono, one widziały, czuły, a wybrać jeszcze

nie umiały między spokojem religijnym płaczącą matki, a burzliwą wesołością i pieśczętami ojca. Słowa jego psuły w chwili robotę lat długich, zabijały świętości pielęgnowane, chwiały najczulsze osłonki cnoty.

Każdego dnia człowiek ten powracał pod dach niechętniejszy i bardziej znużony, i co było w nim skutkiem jadu namiętności składał na karb téj kobiety, męczył się i mękę swą ręką własną rzucał jęj w oczy. Ona milcząc cierpiała. Nareszcie ujrzałem go padającego na łóżę boleści, złamanego chorobą okrutną i przerażającego zniszczeniem, jak Łazarza okrytego wrzodami, walczącego z pragnieniem życia. Wszyscy go odstawili przyjaciele i przyjaciółki, przestрах ogarnął towarzyszków swawoli i współbiedników życia, jedna żona pozostała przy nim stróżem i towarzyszką.

Pusto było w tym domu, który przed chwilą wesołemi śmiechami się rozlegał, gorzkie owoce żywota ziemskiego napełniały spalone usta człowieka co cierpieć nie umiał, a wśród boleści zżymał się, porywał, rozpaczał, do modlitwy dojść nie mogąc. Męczennica jedna z nim ten kielich podzielała bez wstrętu, bez szemrania, z radością prawie, że nareszcie potrzebna

mu się stała. I jakby sobie u Boga wyprosiła zamianę cierpienia w miarę jak on się dźwigał i zdrowiał, ona słabnąć i boleć poczyniała. Wstał, a jego łóżę zaległa niewinna istota, która oddechem wciągnęła w siebie jad choroby— przy niej nie było nikogo prócz aniołów co nad łóżem czuwali. Z poddaniem się przyjęła zesłańce i przez chwilę uśmiechała się jęj śmierć, śmierć bliska... ale godzina prośby ostatniej nie wybiła, mimo konania, nie umarła, wstała wycieńczona tylko, by żyć i cierpieć jeszcze.

XXIX.

Wszystko co może przecierpieć człowiek przebyła, zdawało się że nic dla niej nie pozostało na dnie kielicha goryczy; opuścili ją rozpędzeni krewni, osamotniała, jedną dziecinę porwał anioł i przeniósł do niebios zawczasie, nie miała przyjaciół, a prześladowcę zawsze u boku, patrzałem na każde poruszenie jęj serca, na uśmiech omdlałe rozjaśniający wargi, i z uczuciem poszanowania schylałem głowę przed tą istotą, tak nieznaną, a tak wielką.

— Oto jedna z istot, zawołał anioł, jakich na okręgu ziemi kona co chwila tysiące; nikt

ich imion nie wie, nikt grobu ich nie zna, a nikt prócz Boga nie policzył co cierpiały. Wśród tłumu obojętnego ziemi towarzyszami ich anioły, opieką ich święci, a gdy wylecą z powłoki, wprost idą spocząć na łono ojcowskie, u tronu wiekuistego spokoju. Królestwo ich nie jest z téj ziemi, pojmujesz-li dla czego cierpiały... aby się nie pokalały ziemią, aby się nie przywiązały do niej, aby się oderwały od żywota i rozpromieniły ofiarą, obmyły łzami na ucztę nieśmiertelności. Daj im szczęście ziemskie a zabijesz ich i upokorzysz, słabi ulegną mu i upadną, dolina próby będzie dla nich przepaścią zatracenia. Bolesć jest dla nich lekarstwem i zbroją.

Mówił a jam płakał po cichu jako dziecko ziemi, które okiem wyżej podnieść się nie umie, a liczy tylko chwile znikome i razy poniesione i krew sączącą się powoli — bolałem nad tém co było zbawieniem dla męczennicy, bom inaczej nie mógł. Słaby nie podniosłem się jeszcze nad wyziewy doliny z którą łączyło mnie ciało, i oko po nad nią nie sięgało wyżej. A gdy mgły rozbiegły się znowu i nowy obraz okazał się oczom moim, drżałem jako woda w strumieniu,

obawiając nowego widoku męczeństwa, gdy i tak przesycona niem była dusza moja.

I dano mi było po tych dziejach próby, ujrzeć godzinę wyzwolenia godową, wybranéj istoty. Chwila jéj ostatnia odpowiadała życiu, łoże samotne, cisza i pustki otaczały, dzieci sen zmorzył, a ona ich budzić nie chciała dla pożegnania, choć czuła śmierć odrętwiającą powoli. Piękność jak szata oblubienicy okryła oblicze jéj białe, czyste, pogodne... modliła się, modliła za dzieci stojące nad przepaścią, nad któremi Boga i aniołów widziały jéj oczy. Jeden kapłan starzec czuwał u wezglowia z torebką podróżną, w której przyniósł jéj... ciało Pana: jedna lampa gorzała w kątku, męża jéj nie było... pociągnął go świat i powiedział sobie odchodząc: że ona nie umrze, że udaje chorobę, aby go odciągnąć od zabawy.

Anioł i kapłan byli przy niej, przez otwarte okna uśmiechała się wiosna, dochodził śpiew słowika, woń bzów dokwitających, jaśminów i rosą oblanéj trawy skoszonej... nie nie słychać było prócz rzeźwych głosów poranku wzywających do życia, i kapłana modlitwy i pacierza umierającéj. Konała powoli z przytomnością i siłą... oczy jéj zapalały się blaskiem po-

teżnym, usta układały się w ostatni uśmiech do trumny, czoło wypogadzało się jak niebo nad zachodem, krucze włosy rozplątane strumieniem czarnym oblewały do koła cudny ten ował, który co chwila bledszym i podobniejszym do marmuru się stawał.

— Dzieci moje, wyszemrały usta — Boże mój, dzieci moje!

A kapłan podał jęj w tej chwili krzyż, i pojęła całując go, że one mają ojca, że się do świata nawet miłością dla nich przywiązywać nie była powinna, gdy duszę jęj wołał ojciec wspólny na łono spoczynku. Przyciągnęła do ust Chrystusa i powieki jęj spławiające oczy pełne życia jeszcze przymknęły się, wyciskając ostatnią łzę, która na zziębłym obliczu potoczyła się jak perła. — Widziałem wówczas z powłoki ciała zastyglęj a cudnie jaśniejącej czystości rysów niepokalanych ulatującą duszę i anioła, który ją przytulił bratersko i promień jasny po którym strzałą wznieśli się ku niebu.

Z temi samemi rysy, które miała na ziemi poleciała do Boga — ale weselsza, rozpromieniona, jasna i ścigając ją oczyma widziałem długo, długo, białym cieniem, potem gwiazdką jasną, potem punktem błyszczącym, aż jasność

jęj zlała się w niebiosach z luną bijącą od tronu Bożego, i stopiła się w światłościach. Znikome zwłoki, „ten posąg wniesiony zgaslęj duszy ¹⁾ pożarła ziemia i zieloną okryła mogiłą.“ Wiatr przeleciał i starł szczątki tego smutnego obrazu, jam pozostał w zachwycie sił smutku, sił wesela i płakałem. Czemu? niewiem.

Żal mi było tej istoty, do której się przywiązałem, której już nie miałem ujrzeć na ziemi.

XXX.

Anioł uniósł mnie dalej za sobą, pod stopami naszymi kłębiły się mgły, obłoki, wyziewy, a z między nich kiedy niekiedy ukazywał się to uśmiechający kątek świata, to czarna rola krwią zbroczona, to ktoś żywy sam w pustyni, to tłumy ludzi popychające się i walczące z sobą.

Skrzydła anioła niosły mnie dalej, a dalej, i nie zatrzymały się aż nad porosłą chwastem mogiłą, na której przed laty ręka czyjaś przygotowała była pomnik zmarłemu. Jakby naszyderstwo te glazy wyciosane, zrzucone były

¹⁾ Jean Paul.

bezludnie obok kupy ziemi, którą litościwa wiosna pokryła zielonym kobiercem. Ten pomnik nowy nigdy nie został wzniesiony, wśród pracy około niego pamięć ostygła, czy ludzie zubożeli i bryły te pozostały tak przy grobowcu okrywając się mechami, i rozsypując w gruz nim się wzniosły.

Inne przeżyły choć tyle ile żyją groby i pamiętniki, ten w kolebce umarł i rozsypał się, nim był postawiony. Na tablicy nie było imienia, znaku, daty, a dziwne hieroglify śmierci wyjadła wilgoć, powygryzały mchy, pokreśliły spływające wody, pisząc słowa które Bóg tylko potrafiłby wyczytać. W stosie kamieni, które jeden dzień zrzucił na jutro odkładając budowę pomnika, co nigdy istnieć nie miał i stał się od razu ruiną — bujne rośliny powyszczyły do góry liśćmi zielonemi, przeciskając się przez szpary, wijąc się w wieńce, splatając w wiązanki, pochylając w różne strony, jakby się ulitował gruzom i ocienić je a oszczędzić chciały. Grób to był nienarodzony a zniszczony, a obok niego to miejsce, które życie człowieka zamknęło w sobie, wklęsłe i zapadłe... było jako blizna, która powoli zaciąga się i goi. Przy nim stały pomniki różnej wielkości i bu-

dowy, różnego pozoru i znaczenia, proste krzyże drewniane obok spiżowych tumb, marmury i cegły, pruchno i błyszczące złociste ozdoby, jedne świeże jeszcze i połyskujące, inne zczerniałe i pochylone... otoczone kwiatami, opasane chwastem.

Gdym okiem smutném spozierał na to pole pobożowiska, a nie mógł przebić okiem skorupy ziemi, co tyle żywotów pochłoneła i pożarła — wiatr się zerwał nad cmentarzem i rozwiął tułacz unoszący się nad nim, w blasku promienia który padł z góry zobaczyłem gdzie niegdzie unoszące się postacie białe napróżno usiłujące od grobów dźwignąć się ku niebu. Jeden powiew podnosił je nieco, drugi strącał na ziemię, nie miały skrzydeł lub złamanymi próżno podnieść się pragnęły, strącone upadały na mogiły i leżały na nich znużone.

U niepostawionego pomnika w kupie rozsypujących się kamieni leżał duch zgnieciony bezsilnością, niemogąc od niej się dźwignąć; nie widziałem jego oblicza, bo je miał osłonięte całunem, słyszałem tylko wśród ciszy jak ciężko rozbita pierś jego dyszała, i wyrazy przerywane dochodziły uszu moich.

— To jeden z tych rzekł anioł, co żyjąc na ziemi sercem się do niej przywiązali, namiętności do niej przykuli, i choć dusza ich pragnie spokoju, i powrotu na łono Boże, nie ma siły podlecieć ku niemu. Patrz jako się męczy ten człowiek w zapasach z pamięcią żywota i jasnym niebios widzeniem. Otwiera się przed nim to niebo, spogląda w raj, a więzy które sam ukuł trzymają, go przy kupie zgnilizny i rozsypanej szacie znikomiej.

Gdy podniósł głowę ujrzałem piękne ale znużone oblicze człowieka jakby mi od wieków znajome, jakby braterskie, nie mogłem przypomnieć gdzieś je widział, czy w wędrówce po ziemi czy w snach niebieskich, czy przeczuciem żywota i téj chwili. Była to mara człowieka co cierpiał wiele,—bo się nigdy od stworzenia ku Bogu podnieść nie umiał, choć Boga pragnął, choć prawdę kochał, choć piał się ku wielkiemu i czystemu. Życie przeszłe malowało się w rysach widma jak w księdze i czytałem je jasno jakbym całe jego pasmo rozwinął.

— Codzien, rzekł anioł, męczennik na nowo przeżywa żywot swój i przechodzi jego koleje — patrz i ucz się.

XXXI.

I stał się poranek chmurny, a duch zwlókłszy się z grobu swojego posunął daleko od cmentarza, aby się dręczyć odnowioną przeszłością. Życie to nowe dziesięćkroć było straszniejsze od dawnego, bo przez nie z końca w koniec widział skazany następstwa, zawody, koleje fałszu i to co miał ściągnąć na siebie — i w stare idąc błędy szedł chłodno pojmując że grzeszył. Taka była kara i oczyszczenie jego na które sam się wskazał żywotem; ale zakresłona mu miara wyczerpywała powoli te męczarnie.

Za każdym zwrotem do starego życia ubywała zeń chwila, skracala się przestrzeń między kolebką a grobem, każde nowe przejście było lżejsze...a jednak ilekroć powtórzone życie, jak być musiało ciężkie i z jaką tęschniką powracał duch do niego, z jakim wysiłkiem je kończył, by na nowo z jutrenką rozpocząć.

Był to jeden z rycerzy ducha. Widziałem go rodzącego się z płomykiem u czoła i gorącym wejrzeniem. z roztwartymi ku światu ramionami, i bijącym sercem, młodości jego poklaskiwał

ogromny orszak otaczający. Dziecię z drugiej rozpawite kolébki wybiegło w świat otoczone staraniami, karmione i pojone czém ziemia miała najwybrańszém, chciwe wiedzy, rozkoszy, wrażeń, wszystkiego razem najczystsze i najpłomienistsze. Pukle włosów jasnych otaczały mu skroń wydętą, jakby myśl co w niej mieszkała. Był to maluczki król stworzenia co się czuł zawczasu panem i dla gospody w której panował zapomniał o wiekuistej ojczyźnie. Z dziecka wyrosnął młodzieńcem i z podniesioną skronią poleciał w świat, który doń wyciągał ręce.

Wszystko co los może dać szczęśliwemu on miał, co inni zdobywają powoli i mozolnie, jemu przyniosła dola w darze do kołyski, imię, bogactwo, znaczenie, nawet płomyk genjuszu. Namaściła mu usta poezja, rozjaśniła oblicze piękność, urok czarowny twarz opromienił, urok mu okolił serce, słowo jego porywali, płomień co go palił rozgrzewał najzimniejszych — zdawało się że jak zwyczajca na wozie tryumfu przejedzie przez tłumy do wielkiej akropolis nieśmiertelnych....

XXXII.

Ujrzałem go najprzód promieniejącego tą wielkością i mówiącego w sercu — jam jeden z wybranych — wdziwającego na się purpurę dumy i podnoszącego czoło po nad gmin a głos po nad wrzawę, gotującego się wywoływać prawdy wielkie.

Ale w nim дума struła wszystko, samolubstwo rzuciło go o ziemię, słowo co miało proste a wielkie lecieć z duszy, odziało się też samą szatą purpurową dumy co on i z niej się rozdziać nie mogło. Mówił już dla oklasku nie dla apostołstwa, śpiewał nie uczucie ale próżność swoją, a gorączka panowania w świecie ducha i słowa, objęła go płomieniem pożerającym.

A była iskra świętsza w tej istocie upadłej zbyt siłą, i były dlań chwile porywów wielkich, w których się odzywał słowem natchnioném, z serca wytrysła łza, tęsknotą potężną, zgryzotą mozną — ale tuż zaraz zawracała mu się głowa uwieńczona i śpiewał sobie hymn chwały, gdy powinien był ukorzyć się Bogu — a gdy ludzie nie słuchali go sypał słowy i obrazkami, dźwiękami i przekleństwami, aby ich ku

sobie pociągnąć, i stawał się przez dumę dzieckiem ziemi, gdy pokora byłaby go uczyniła synem Bożym.

Widziałem go przeżywającego tak na nowo chwilę, która mu dana była, silnym młodzieńcem, potem dojrzałym mężem... co rozpoczęła młodość dopełniły lata późniejsze, zamiast oczyszczenia dumniał tylko i rósł chorobliwie jak owi ludzie których ciało wzdyma się, obrasta duszę w nich zaślepioną i czyni kalekami ociężałemi. — Tak duma czyniła go kaleką na duchu i zamiast wyrosnąć w olbrzyma, przerabiał się na opuchłą istotę, co się dźwignąć nie umiała...odziana co dzień grubiej narastającą skorupą.

— Cóżem ja, mówił sobie wielkimi stąpając krokami i uderzając się w czoło — anioł upadły? zesłaniec Boży? istota znamieniem wielkiem napiętnowana w kolébce, posłannik apostoła? czemu ci ludzie nie klęczą przedemną? czemu nie zegną karków? Czuję w sobie ogień święty i jasne widzenie świata i dłoń do steru stworzoną i usta do rozkazywania stworzone. Dla czego sprzeciwiają mi się i kto godzien stać przy mnie, obok mnie, ze mną? Jam wielki jako żaden, a zwyciężyć ich nie mogę.

Zapomniał, że tylko potwora zwycięża, tylko ofiara podbija.

XXXIII.

Szedł tak i padał i podnosił się — aż oko w oko spotkał się z kobietą, która mimo niego przeleciała, pochwycił ją wejrzeniem i przytulił do siebie. — Była piękną lecz krasą nieziemską która jest jakby niebios wspomnieniem, w oczach jej błyskał promień miłości ożywiony łzami, w ustach uśmiech dobroci niewyczerpanej. Spotkali się i rozstać mieli, bo ich dwa silne łańcuchy pociągały w dwie strony przeciwne, ale on stanął i rozkazał się jej zatrzymać. Posłuszna niewolnica ukłękła przed panem, a pan upadł przed niewolnicą i śpiewać jej począł pieśń miłości, panowania, swe sny, swą dumę, nadzieje i wielkość swoją, a świat umilkł i słuchał chwilę tej pierwszej pieśni, która się we wszystkich rozległa sercach.

Co ona zwiastuje? pytano — czy wielkiego poetę, czy wielkiego męża? Ona zwiastowała tylko namiętność wielką i dumę olbrzymią; ale szaty jego były tak świetne, blask tak wielki, dźwięki tak brzmiące mile.

U nóg kobiety poczęte, u stóp jej powoli pły-

nęło to życie, chciał wstać i nie mógł pójść dalej, ale rozklęczały dźwignąć się nie miał siły, — śpiewał co miał czynić, a nie czynił nic.... roił co jutro wstawszy pocznie, jutro znowu te same oczy więziły go w kole marzeń i przykuwały do tegoż co wczoraj pręgierza. Jutro, mówił, pieśń skończę a życie rozpocznę — ale życie było skończone, a pieśń jedna i jedna powtarzała się codzien.

I siedzieli tak w milczeniu, utęsknieniu i znużeniu oboje; miłość ta była wielkiem cierpieniem, lecz gdy jęć pęta chcieli potargać, łańcuch bolał więcej jeszcze, ostygłe nadzieje ożywiały się, wspomnienia chwytaly ich swemi szpony i niedawały im się rozstać.

Piękne czoło poety pokryło się zmarszczkami przedwczesnemi, oczy zagasły, ale duma świeciła w nich jeszcze, I jak do barłogu Hio-ba przyszli doń przyjaciele i mówili:--Tyżci to wstań, a idź i czyn.

A upadły odpowiadał im oblakany:

— Miłość moja sama czynem jest, życie moje miłością, słowo nasieniem, czego więcej chcecie odemnie? Nie pójdę dalej, bom u celu i kresu.

Wówczas osmucili się druhowie i stali w koło z opuszczonemi rękami mówiąc: — Tyżci to czy cień twój? gdzie wielkie twe czyny, gdzie siły? gdzie panowanie nad sobą? gdzie królestwo i berło twoje?

A słowa te nie do jego serca, które duma zasklepila, ale do duszy kobiety trafiły, i powiedziała sobie, że jest dlań brzemieniem, zawadą, że powinna uczynić ofiarę z siebie i odejść, by go uczynić silnym. Wstała więc targając więzy i uciekła, ale oswobodzony padł w tém miejscu które zajmował szczęśliwy, i nie poszedł już dalej.

Chwila ta namiętności wyssała zeń skarby życia, nogi drżały, czoło się chyliło, dłoni zmiękła, nie pragnęła pracy, usta powtarzały jedno słowo, a serce dumą tylko wzbierało. Pieśni próbował i dawną tylko nucił ustami nie duszą, bo w nią już sam wierzył, a im chłodniejszą była, tém więcej stroił je i wdzięczył, i jak do trumny dziecięcia sypiał kwiaty, tak on ją w najpiękniejszą odziewał sukienkę.

XXXIV.

Przeszła chwila długa, gdy mi znów nań anioł wskazał, był to szkielet przeszłości, istotna mu-

mia zeszcła na sercu, zbiedniała, a czująca się jeszcze wielką, choć czynem nie mogła już dowieść posłannictwa swego. Rozdrażniony rzucał jeszcze słowa, ale chłodne choć wielkie i błyszczące, potem umilkł obwijając się szatą, którą uszył na całun grobowy. Życie za karę stało się dlań pasmem maluczkich, i pospolitych powszednich męczarni, w sprzeczności stając z pieśnią, którą głosił. Pieśń opiewała miłość, życie dało mu za towarzyszkę istotę, co wielkiego i gorącego przywiązania pojąć nie mogła, cichego anioła bez skrzydeł, truchlejącego przed panem, lecz niepojmującego pana; pieśń pragnęła dramatu, życie osnuło mu pospolite i chłodne sceny pokoju i ciszy; śpiew zwiastował uczucie, a w sercu ono wygasło, obiecywał czyn, a dłoń go dopełnić nie mogła — i otoczony wszystkiem, co na ziemi nazywa się szczęściem stał się męczennikiem słabości i dumy.

I rozdziwił się biedny na powszednią istotę i wielkiego męża, w pieśni będąc olbrzymem, w życiu najpospolitszym z ludzi, a w sercu jego rozpoczęła się ta walka nieskończona niewiary i dumy, wielkości i znikomości, upokorzenia i żądzy sławy, ciszy grobowej i pragnienia rozgłosu. Z każdym dniem tylko dźwigał się my-

ślą i stawiał sobie wyższe coraz ołtarze, przed któremi codziennie ubywało czcicieli...jedna tylko niewiasta cicho podsycala płomienie gasnące. Życie marniało i roztopiało się w tém morzu łez niedopatrzonych, i oblicze schło i oko gasło, aby wejść na drogę działania nie było już mocy, odwagi, może nad wszystko pokory.

— Ja miałbym mięszać się z tłumem! mówił w duchu! ja wybrany! Niech mnie otacza, niech przyjdzie pod stopy moje, ja ku niemu wyniść nie mogę...jam prorok i wieszcz, głos mój siłą i czynem moim, słyszą go z za chmur.. niech przyjdą i biją czołem.

Ale nikt nie przychodził i wielka pustka roztaczała się wkoło tego stosu rozpalonego próżnością i pożerającego się powoli. Wiekuistym monologiem płynęło to życie, które się rozpoczęło hymnem zwycięstwa i obietnicami niepoścignionemi... ten Hamlet nowy jak lew w klatce chodził i pytał siebie—czém jest? czém będzie? co przed nim? co w koło? Palił się dumą swą a łzą zgasić już tego pożaru niemógł. O! gdyby łza jedna! i jedna chwila pokory... one by okupiły życie całe i odrodziły go może.

Widziałem go chodzącego samotnie, oddzielonego od rodziny, obwarowanego wielkością

swoją od przystępu ludzi i chwytającego się za skroń wyłysiałą, szukającego na niej wieńca poety, cierni męczennika, a znajdującego tylko nagą czaszkę wycieńczonego życia w człowieku...Wieńce się opsywały, cień nawet rozplótł i upadł...boleścią wielkim być nie umiał.

XXXV.

— Wy nań patrzycie w zdumieniu, rzekł anioł, a stróż jego niebieski płacze — spojrzysz jak odepchnięty unosi się nad nim ze złożonymi rękoma usiłując mu poszepnąć słowo które od uszu jego odlata i pada. Dla was to istota wybrana, dla niebios nieszczęśliwy obląkaniec, w waszych oczach ta duma to uczucie siły, dla nas to oznaka słabości, wielkie pragnienie i niemoc; dla was to bohater niepojęty, dla aniołów to dziecię oszalałe.

I gdy maluczki a pokorny którego on popchnął w swą drogę, uleci czystą duszą ku niebu, on się tu błąkać będzie musiał, dopóki nie spożyje grzechu pokutą ducha który zawinił.

Patrz jak upada powoli, jako milknie, jako zapomnienie go odziewa, a miłość własna zżyłma się w tych okowach nieznośnych, opuszcza-

ją go wszyscy, a zimny uścisk ziemi obejmuje, umiera z boleści nieznannej, czując się już małym a głosząc wielkim i potężnym.

XXXVI.

Otóż ostatnie słowo tego życia, rzekł anioł pochylając się ze mną ku ziemi, nad którą wieczór letni w chimurach porwanych w szaty czarne przelatywał.

Niebo było straszne, zaiskrzzone, czerwone, miedziane, złociste...na jego ognistém tle jak plamy rozpierchły się obłoki ciężkie, dziwnie pozrywane i podarte. Tu i owdzie daleki błysk jakby pożarnej łuny jaśniał z pomiędzy tych czerni ruchomych żeglujących po niebie. W samotnym domie, na którego czole nie napisane nie było krom troski o ład i czystość, ubezpieczające jutro w domu chłodnym i pospolitym, w ciemnej izbie na bogatém łożu konał powoli ten człowiek co żyć nie umiał. I nie mógł się skarżyć na życie, bo mu ono dało wszystko co dać mogło... odmówiło tylko ubóstwa, ciernia i boleści, a otoczyło na przekór dostatkiem, ciszą i miłością. Cierpienie byłoby go zbawiło, podniosło, uczyniło bohaterem, szczęście odjęło siły, zabiło. Ilekroć chciał się wyrwać z objęć

jego, ciało niedopuszczało rozpieszczone i umysł szukał dla brata wymówki. Jutro miał być wielkim dopiero, ale to jutro coraz się dalej usuwało..mówił potem, nareszcie i słów zabrakło — duma już go niepotrzebowała.

— To życie jednego ze szczęśliwych i wielkich, rzekł anioł—od kolébki otoczone tém, co tylko zamarzyć można na ziemi! ale je rozkosz łamie, ale je szczęście zjada i rozgryza na szczątki...ale go duma pożera i ryje...człowiek schnie, wyżywa się, ginie.

Znaszli teraz wartość boleści? zapytał duch — spojrzij i ucz się jako niepojmujecie świata, tego co nim rządzi, co się złém i dobrém nazywa.

XXXVII.

Nadeszła chwila zgonu uroczysta... łoże jego otaczały istoty ciche, maluczkie, przywiązane, milczące, ale ich uczucia nie wystarczały człowiekowi, któremu okłask świata i żaloba narodów były jeszcze za małe, bo się w swém sercu ukoronował za władzcę i pana. W téj chwili zbliżania się do Boga, cały żywot przesunął się fantasmagorją, przed oczyma jego, młodość, ukochane istoty, obietnice życia, pieśń, marze-

nia, i powiedle wianki i szczątki wszystkiego co żyło. Wszystko miał, wszystkiego użył, wszystkiém wzgardził, nic nie uczynił...konał znużony sobą...brzydząc się wreszcie bałwanem którego wykuli, milczący, zasklepiiony, duszą się jeszcze nie mogąc podnieść do pokory...A konać nie było powolne,, i ciężkie, młodsza od ciała dusza wyniść zeń nie mogła, nie chciała...pękły więzy...i duch uleciał w przestrzenie, ale upadł z wyżyny i uwiązł przy grobowcu, na którym ani bluszczu, ani monumentu nie było, ani odgłosu pieśni co miała być nieśmiertelną.

Staliśmy jeszcze w powietrzu nad mogiłą upiora który powrócił do niej, i przyrosłe do ziemi stopy próżno chciał od niej oderwać—chciał krzyknąć, usta nie dały głosu, westchnąć, piersi mu brakło, lecieć, a skutny upadał na grobowisko swoje...Litościwy anioł stróż odepchnięty za życia spuścił się nad to łoże boleści i przytulił do piersi skroń rozbitą, szepcząc mu słowa leczebne pokory i modlitwy...Mgła biała obwiała obu i straciliśmy ich z oczów.

XXXVIII.

Podniesliśmy się wyżej i ulecieli dalej, a wszędzie w przestrzeniach niezmiernych napotyka-

liśmy zastępy duchów krzyżujące się nad światem widowym, niewiedomie dla ziemskiego oka im wyżej, tem czystsze one były i wybrańsze.

W różnych warstwach eteru, spoczywały i oczyszczały się podróżujące dusze, którym służyli aniołowie jako im służą na ziemi i ożywiali ich teńieniem swém, i kołysali modlitwą. Ulatujące z ciał znikomych dusze potrzebowały téj kąpeli niebios, aby zmyć z siebie pleśń ziemi i pozbyć ję zaprzatnień i myśli, ję przywiązań i słabości.

Jedne już rozjaśniał uśmiech niebieski szczęścia, drugie jeszcze obłoczek smutku ziemskiego otaczał i oczy ich usiłowały przebijając przestrzenie dalekie, sięgnąć na ten świat, na którym pozostawiły drogie sobie istoty i miejsce i powłokę śmiertelną, z którą się nie potrafiły obejść bez żalu. Za niemi leciały jak wyziewy wspomnienia, jak para, łzy ludzi, i obciążały im skrzydła i wstrzymywały w polocie.

Prąd wielki podniósł nas wysoko, i od jasnych przestrzeni tron Boży otaczających, odlecieliśmy z nim w sine głębie dalekie, wśród których coraz rzadziej a rzadziej spotykaliśmy dusze błędne. I ciemno było w tych eteru głębach, i ciemno, oko tonęło w niezmierzonych ich prze-

paściach, cichych, zastygłych, graniczących gdzieś z nicością..... Tu już nie było ani aniołów, ani duchów, ani życia, cisza grobowa, nieskończona... pustynia bez krańców. Zastygłem rzucony na światy i objąłem anioła przewodnika, bojąc się by mnie tu nie rzucił nieszczęśliwego w stronę, od której się oko Boże odwraca i duchy nawet nie lecą, a nie przerywa ciszy umarłej i ciemności nieprzebitej. Strach wielki mnie ogarnął aż drżęć począłem i pot zimny oblał skroń moją, a anioł promieniem oka, wskazał mi w téj pustyni żywą istotę wygnańca.

XXXIX.

— Czem jest to piekło i czyściec, rzekł anioł które wy sobie waszemi barwami malujecie, przy tém, które dusze same gotują sobie życiem i grzechem? spojrzij a powiedz mi jestli męczarnia nad tę? Do koła pustynia i milczenie, ani dachu, ani duszy żywej, ani węzła, coby z jakim łączył światem, odrzucenie, zapomnienie, samotnia w grzechu i upadku.

Sprowadź tu roje szatanów, zadaj mu tysiąc męczarni, a one nie wyrównają temu odepchnięciu wiekuistemu, w jakim zostaje ta dusza.

— Jest-li to piekło, zawołałem.

— Nie! rzekł, uśmiechając się anioł — piekło to nicość, to śmierć wieczna, to zniszczenie nieśmiertelnego — jest to kraniec piekła, mijasz próby, stanowisko oczyszczenia dla duszy upadłej. Ona się tu trawi w sobie i pożera, aż dopóki wszelkiej słabości nie pozbędzie, nie oczyści, nie usposobi do zbliżenia ku Bogu. Powoli i z téj głębiny zstąpi w jaśniejsze strefy i ujrzy duchy i uczuje się nie samą jedną, ale znów w ogniskach żywota. Największe męczarnie będą dla niej słodkimi po tém odrzuceniu i ciszy śmierci, w której godziny zdają się wieków milionem, — a lata nieśmiertelnością piekielną.

Duch skazan na oczyszczenie przez ciszę i milczenie zawieszony był w przestrzeni siłą niewidomą, oślepy, głuchy, nieruchomy... w głębi niego tylko kłębiły się myśli i wspomnienia ziemi — zgryzoty i pragnienia.

— Cóż to za wielki zbrodzeń? — spytałem zdumiony.

— Ten ci to sam, którego widziałeś na mogile, przeniesiony tu prawicą Wszechmocnego, dopóki dumy swój nie pożre, i nie przetrawi się, osnuty nią, a nie wyleci z niej jako motyl, z okrywającój go skorupki. Ale ile lat potrze-

ba, aby jad co duszę przeżarł, wypić pomału i oczyścić się w osamotnieniu z dumy, odepchnieniem i ciemnością z próżności, ciszą grobową z chwały? i co się tam dziać będzie w téj duszy nieszczęśliwej przez lata próby i oczyszczenia?

— Módlmy się za niego.

Kłękliśmy w obłoku i modlić się zaczęli, anioł złożył mi ręce i usta nastroił, i widziałem jak modlitwy nasze poruszyły te nieme, zastygłe sfery, wietrzykiem doleciały do odepchniętego i ochłodziła mu skroń — poczuł się nie tak samotnym i zadrgał.

— Lećmy, rzekł anioł, aby się nie sprzeciwiać wyrokowi Bożemu, który go skazał... otosmy i tak przerwali ciszę, i kto wie? może odnowili ranę, może zwiększyli boleść?

Odetchnąłem, gdy stopniami z ciemni szafirów spuszczać się poczęliśmy znowu w jaśniejsze, choć mgłami ziemi odziane przestrzenie oświecone słońcem: powoli pierś znanego nabrała powietrza, i woń dolin, woń żywota doleciała do nas, a ziemską moją naturą upoiła się nią, jak najczystszy z napojów. Jeszcze oczy nie postrzegły padołu, a jużem go miał

w piersi i odgadywał zbliżenie jego, i wszystkie węzły, które mnie z nim łączyły, zadrgały.

XL.

Stała się noc gwiazdzista i spokojna... niebo nad naszymi głowami osypało się milionami różnobarwnych światełek, które wisiały bliżej i dalej do koła, drżąc wśród fal powietrznych promykami, które ich życie zdradzały. Gdzieś-niegdzie jak pasy srebrzyste i drogi wysypane były po niebie, jak pył diamentowy uścielał szlak jakiś bez początku i końca rozplywający się w ciemnościach... to znów po kilka światel błyskały jak znaki dróżne tu i owdzie różnemi blaski; — i niebo wyglądało jak tajemnicza karta, na której głoskami ognistemi Bóg wypisał niepojęte słowo bytu. Wśród gromad światel różowych, zielonawych, krwawo i sino błyszczących, kiedy niekiedy jakby na znak życia wśród nieruchomej jednostajności zrywała się ze sklepień niebieskich gwiazda, szalała w przestrzeni, a życie to począwszy, kończyć je musiała, gasnąc natychmiast... płacąc śmiercią za trochę swawoli. Smuga ognista zostawała na chwilę, jak warkocz rozpleciony w przestrzeni,

rozplywała się, rozwiewała i gasła. — Dalej białły obłoczek wędrowny, mieszkaniec różnych krain, strażnik ziemi, jak nocny wartownik, powoli się przesunął i ospale szedł gdzieś gnany niewidomą prądów siłą, póki się w powietrzu nie roztopił. Nad widnokresem z wyziewów i par ziemi dobywały się jak z morza głębiny powoli wschodzące gwiazdki, i postępujące ku górze coraz jaśniej błyskały, jako duch, co się ku niebu podnosi.

Widok niebios wśród milczenia był majestatyczny i wielki, a ta sieć ogni rozwieszonych na niem nieprzeliczonemi węzły związana, wprawiała w zadumienie przestrach... Ni początku, ni liczby, ni końca... Im trwałej zagłębiało się oko, tém więcej tam czytało tajemnic i głosek niepoliczonych, a rachując je, mordowało się i upadało pod ciężarem nieskończoności. Anioł wygnaniec wzdychał ku Bogu, ja ziemi dziecko tęskniłem za ziemią ojczyzną, i boleść moją ukojoną widokiem niebios, zastąpiło pragnienie ziemskie, zstąpienia i dotknięcia stopą padołu wygnania. A chociaż milczał z ruchu mój piersi zrozumiał anioł żądze co mnie trawiła — i z litością znowu skroń moją przytulił do siebie.

— Biedny człowiecze, rzekł — tak że ci żal ziemi, że już wyniesiony łaską i miłosierdziem tęsknisz za nią i wyrывasz się do niej? Cóżes tam porzucił za sobą prócz boleści i zawodów, prócz trumien i cmentarzy, wszystkiego coś ukochał i co żywo w sercu pogrzebłeś? Posłuchaj, czy cię kto woła? spojrz, czy kto płacze po tobie? I ani tam stąpają po śladach twoich, i fale morza życia zamknęły się już za tobą.

XLI.

Nie wiem co się stało ze mną, alem się zbudził, gdy na wschodzie jaśniała jutrzienka różowa, której krąg światła roztaczał się powoli, krwawiąc obłoki, rozlewając się strugami po chmurach, rozpromieniając i roznosząc przebudzenie do życia stworzeniu. Wśród ciszy nocy powstał szmer tej jutrzni dnia, ażeśmy się spuścili ponad samą ziemię i kapali w jej ciepłym wyziewie, doszły do nas dzwony poranne, szelest lasów co się budziły gałęzmi, strumienie wiatru przelatującego po nad polami na dzień dobry i swiergot niespokojny ptaszat, i nakoniec jęk boleści ludzkiej.

— Spojrz, rzekł anioł, jako się cieszy wszystko stworzenie, jako raduje życie, jeden tylko

człowiek mający przecucie lepszej ojczyzny, otoczony nawet szczęściem, tęskni i płacze, spogląda w niebo i pragnie. Dla tych istot nie ma śmierci, bo jej nie widzą ani przeczuwają, nie ma postrachu przyszłości, bo ich byt cały się zamyka w garści ziemi i prochu;— w człowieku drga dusza nieśmiertelna i czyni go wiekuistym wygnańcem.— Rzuca się on, nie wie jako i czego ma pragnąć, a jęczy i pragnie, przychodzi do źródeł z pragnieniem i odchodzi nienasycony, kosztuje wszelkiego owocu, a głód mu dokucza, próbuje miejsc wszystkich, i wszędzie mu tęskno, —i zawsze czémś boleje. Najnieszczęśliwszy ze stworzeń, gdyby się byt jego kończył na ziemi, ale w tém znamieniu boleści Bóg mu dał objaw żywota i szczęścia, powiedział mu, że tu nie koniec jego doli, że bez rozwiązania w niebie życie dlań zawsze zagadką... Niepokój duszy jest pokoju niebios zwiaśtunem.

XLII.

Gdyśmy przelatywali po nad ziemią, wysoka mogiła zwróciła oko moje, a stała na drodze w pustym polu, przy wijącej się drodze i krzyż jej żaden nie ocieniał, a pamięć ludzka

nie mogła dobać, czy była grobowiskiem, czy kopcem co dwie rozdziałał granice. — Oku ziemskiemu niewidomy był duch, co siedząc, płakał na wierzchołku. . . . Myśmy go widzieli z wyżyny, w szacie białej poważnie zamysłonego na grobowcu, podpartego na dłoni zamulonej i wyczekującego chwili powołania z tej strażnicy. Po nad nim w górze unosiły się dwa anioły, jakby czekały chwili, aby go dźwignąć do nieba. Na tej wyłysiałej czaszce, w oczach przymkniętych cierpieniem, w ustach skrzywionych i zapadłych, tyle mówiło do mnie znaków boleści, żem wzrokiem upadł u stóp tego ducha, co tak siedząc na ziemi patrzył smętny, a od ziemi nie był widziany. Spytałem anioła prośbą oczów o nieznane widmo.

— Zbliźmy się, rzekł anioł, — a usłyszysz z ust jego skargę i dzieje. I zleciliśmy ku mogile, a duch podniósł ku nam blade oczy i ręce drżące.

— Czy godzina wyzwolenia nadeszła? spytał głosem grobowym, czyście posłańcy lepszego kraju, czy wędrowcy powietrzni? Tyle tu ich przeleciało nad głowy mojemu, a zwiastuna swobody mojej nie widzę. . . . Długie lata, długie. . . nie masz-że i nie będzie końca? zawsze

tak mi tu siedzieć na tej mogile i patrzeć na opłakaną ziemi znikomość?

— Któż wie wolę Bożą? rzekł anioł z nieba — azali wy sami nie wskazujecie się na te kary grzechy wasze, które duszę obciążają i w chwili zgonu ulecić jej nie dadzą? Azali Bóg nie jest sprawiedliwością i miłosierdziem? Ty ukochałeś ziemię i uwierzyłeś w nią, przez cóż skarżysz się, że ci na nią patrzeć dozwolono?

— Ziemia, rzekł starzec spuszczać oczy — o! jej widoku mam dosyć; to widowisko zniszczenia i śmierci, a żywota pragnę, jam dość już umierał! Niczem ta chwila, w której rozstawałem się z życiem w obec tysiąca zgonów, na które patrzę, którymi konam codzień. Bo wszystko moje pomarło, wszystko com posiał zeszło i znikło, na com pracował zwiędło marne i rozsypało się w proch.

I potrząsł ogołoconą czaszką i długą brodą siwą i milczał. A myśmy także stali w milczeniu czekając, rychło-li przemówi znowu.

Znać było, że gdyby był miał łzy, byłby zapłakał gorzko, ale z pod powiek umarłych nic nie pociekło, choć pragnęły, by je zwilżyła łza żywa. . . . I począł się miotać starzec i drzeć na

sobie całun biały, a po chwili tak się odezwał powoli.

— Grzéchem moim żem w ziemię i ludzi uwierzył więcej niż w Boga i niebo, i przywiązał się do świata i budował na nim, — a pokutą widok tego jak się dzieło rąk moich rozpełzło i niszczało. Byłem głową rodu mojego i ostatnim wielkiego imienia potomkiem — cały żywot poświęciłem dla imienia, dla sławy, dla ziemskiej wiekuistości, której tu nie ma i być nie może. Stawiłem gmachy, obwarowałem następców, aby utrwalić byt rodziny i uczynić ją niepożytą... Dałem synom mienie wielkie zdobyte w pocie czoła i zabezpieczyłem je od utraty, obwarowałem się prawem, ostrożnością, wszystkiem co człowiek obmyślić może, aby dzieło jego żyło.

Podniósł się na mogile, i wyciągając rękę kościstą, żółtą a drżącą, wskazał na lasy i doliny.

— Oto tam, gdzie szumią lasy dębowe stał zamek nasz... na wałach jego rośnie puszcza i huczy sowa... ani cegły, ani gruzu, ani wspomnienia... spytaj ludzi, nic ci nie powiedzą o nas, imię wymazane z pamięci, ślady zatarte... nic! nic! cisza i milczenie! Oto tam były

sioła i dwory synów moich... a dziś orze skibę obcy człek służebny i nie wie nawet, że pług jego orze mogiły, zbutwiałe druzgocąc kości. Te kościoły myśmy stawili, te drogi myśmy trzebili, te stawy napełniliśmy wodą... ten kraj winien nam życie... a nie błogosławi... Nieraz w tęsknicy wielkiej, kiedy mi samotność wiekowa jak kamień młyński ciąży na wyschlęj piersi, wstanę i lecę i słucham, azali się gdzie nie odezwie i nie zapłacze kto i nie uzali — ale nie! Cisza i milczenie. Wnuki wnuków moich rozsypali się w grobach bez śladu, ostatnia kropła krwi żywej nie wie, że z biodr moich płynie.

I mówiąc to wzleciał, ciągnąc nas za sobą, a biegliśmy powietrzem szybko jak strzała z łuku puszczone i zawieśliśmy nad nędzną chatą w lesie. Była to chałupa budnika wśród gąszczy leśnych, z ciernisk sosnowych sklecona, maluczka, okopcona od dymu, na progu jej z twarzą wybladłą siedział człowiek i szczepał drzewo w milczeniu. Starzec stanął słupem przed nim i bolał. Na licu żywego mniej było życia niż w umarłego twarzy, znać w nim było istotę, co się wlokła do trumny drogą nieznaną, nie wiedząc celu, bez ochoty, bez zapалу,

w utrapieniu i udręce. W obliczu tego potomka wielkich rodzin, nie było śladu dziejów krwi, ni wielkości dusznej, ani potęgi i sławy — kilka pokoleń w upadku wypiętnowały tylko na nim ucisk i cierpienie. Rysy stały się pospolite i jakby zgniecione, piękność cielesna nie zwracała ku nim oczów... iskra ducha nie ozlacała aureolą promienną głowy, w której myśl zmarła nieprzebudzona.

— Oto ostatni potomek rodu! rzekł duch, łamiąc dłonie... na własnej niegdyś ziemi oplakający zagon przybyszom, często bez chleba kawałka, bez pamięci pochodzenia, nie umiejący wypowiedzieć nazwiska, i jarzmo nędzy dźwigający od urodzenia. Dopóki ostatnia kropla krwi naszej płynie w żyłach żywej istoty, ja muszę błdzić i patrzeć, i boleć z nią. Modliłem się, by na nim ten szereg nieszczęść się skończył, — Bóg chciał inaczej.

W tej chwili ujrzelśmy bose dzieciaki wybiegające z chałupy i idące się ze psy bawić na śmiećku — duch zadrżał.

— O! rzekł, ziemio! ziemio! znam teraz żeś prochem i nikiemnością, że człowiek kochać cię nie powinien, ani na tobie budować. Wszystko trwa tylko chwilę i nie ma prawa przeciw

wyrokom Bożym...co żyło umrzeć musi, co świeciło zgasnąć...Jedno godzinę, wiek żyje drugie, a wiek i godzina równe w nieskończoności.

Kiedyż me więzy opadną? kiedy ostatni z nich umrze i ja z mogiły jego oswobodzony polecę?

Mówiąc to padł a jęczał, a myśmy po cichu żeglowali dalej w świat od tego nieszczęśliwego.

XLIII.

A lecąc, gdy spoglądał na ziemię; anioł mi groby wskazywał — było ich tyle, że stopy jednej w którejby pokoleń proch nie był wmięszany, nie znalazłem. Świat cały był jedną wielką trumną, po której przegniłych deskach chodzili żywi, a to wesele ich straszne było. Pytałem każdego pyłu o jego dzieje zapomniane i stawałem co chwila, a leż mi na oplakanie tyłu nieszczęść brakło, bo więcej było niedoli i męczarni niż szczęścia! — a raczej tego co myślimy imieniem zowiemy.

Anioł znowu wskazał mi niebo, aby boleść moją uśmierzyć, i żeglowaliśmy dalej ponad ziemią czarną.

Wtém jak w piekle Dant, gdy dwa uściskiem połączone ze sobą ujrzał duchy i wielką był

zdjęty litością, aż wysłuchawszy ich skargi martwym bólu padł na ziemię—i ja wstrzymałem się nagle przejęty politowaniem ujrzawszy postać wietkłą i przejrystą, która gonila za nami.

Młode miał rysy ten człowiek głębokiemi napiętnowane cierpieniem, długi włos jasny i miękki polatywał mu na ramionach, oczy niebieskie we łzach utopione pływały, czoło jego przedwczesnemi okryte było fałdami a na ustach mieszkalo narzekanie. Nie mogłeś nań spojrzeć byś z nim nie zabolął, tak strasznie długa męka wyryla się na licu, które nią było uświęcone. Nie skarżył się i nie jęczał, nie modlił, ale tak leciał z wiatrem i prądem ponad ziemią, czegoś na nią szukając oczyma i sercem. A duch to był tak czysty, jakgdyby za chwilę miał odlecieć do nieba, a jednak coś go trzymało nad ziemią i ciężar jakiś niedawał mu się od niej oderwać.

Stanęliśmy gdy się przybliżył, i milczeniem zdawał się błagać litości, a anioł mój spytał go

— Czego pragniesz?

XLIV.

— Słowa pociechy! szepnął duch nieśmiało, i końca męczarni. Powiedz mi gdzie ona?

W niebiesiech, to się do nich wmodłę, w piekło to po nią zstąpię, na ziemi? to zejść do niej raz drugi, gdzie ona?

— A anioł uśmiechnął się i rzekł mu z litością:

— Biedny obłąkany,—alboż wiem? gdzie ją wyroki Boże posłały?

— Lecz kto ty jesteś biedny człowiecze? spytałem, powiedz—albowiem zdajesz się cierpieć wiele.

— Ginę z bólesci a jęku mojego nikt nie słyszy, jęć niema! jej niema! jęć niema!

Któż ona? spytałem.

— Słuchaj, rzekł—dwóch ich nie było na świecie, jedna była. Serce moje ukochało ją nad wszystko, poświęciło jęć życie, dla niej zapomniało o Bogu—a ona!

I przerwał milczeniem boleśnieszem nad słowo, i skończywszy, przypadł do ziemi tarzając się jak ranny w pierwszej chwili nagłego bólu. Myśmy stali nad nim zwieszani i poglądali z boleścią.

— Wszelka miłość świata tego tak się kończy, niema w niej jeno nasienie utrapienia, rzekł anioł—oto ten człowiek istotę ziemską ukochał miłością niebieską i cierpi. Bóg tylko tak być ko-

chanym powinien, ziemia tego uczucia niewarta.

— Cicho płynęło życie moje, odezwał się duch, powoli płynęło jak rzeka szeroka wśród głębin lasów poważnie i spokojnie — młodość zieloną przebyłem bez szwanku i namietności. Od rannéj dzieciństwa godziny snił się méj duszy ideał kobiety niepokalany, a oczy go nie widziały na ziemi i serce było spokojne, czułem że tęskność za nim chwytała i pędziła ku przechodzącym ceniom. Zdala zdawały mi się nią, ale gdy oblicze ujrzałem, posłyszałem mowę, zbliżyłem się do nich, urok pękał i córki ziemi ledwie mnie na chwilę ku niej ściagały, I myślałem że kochać niepotrafię, a umrę niedoznawszy uczucia, którego nie pojmowałem. Ludzie mówili żem zimny, jam szczęśliwy był i spokojny. I minęły ranne lata, i prześniła się młodość i kończył prawie wiek dojrzały...gdy przy gasnących światłach pogrzebu, w blasku pocho-dni spostrzegłem tę postać anioła zesłaną na męki i rozkosze moje. Nigdy w snach nie widziałem takiej postaci...ale odarta z tych wszystkich promieni któremi ją Bóg otoczył, jeszczeby dla mnie miała urok czarodziejski, co duszą zawładnął moją. Jój głos, ruch, postać mia-

ły dla mnie potęgę niepojętą, niewysłowioną... Widziałem plany w tém słońcu a kłęczałem przed nim. I miłość ta stała się męczarnią żywota i jego osłodą. Szarpałem więzy gdy mój nie widział, padałem przed nią gdy zobaczył, dręczyłem się oddaleniem, obawiałem widzenia i rozstać nie umiałem. A téj namietności szalonej wszystko stało na drodze, ludzie, losy, przysięgi...sama to istota uwielbiona która miała trochę litości dla mnie, miłości dla nikogo mieć nie mogła. Jój serce przecierpiało tyle, tak było wielkie, że kochało zarówno wszystkich i wszystko, a coraz nowego pragnąc pokarmu, coraz innéj żywności, wyssawszy trochę życia z jednego, rzucało się ku drugiemu.

I była to istota różnobarwna, zmienna, dziwna, niepojęta, niepochwyciona; jednego dnia czuła i łzawa, drugiego zimna i szyderska, przejęta modlitwą i niewierna... litościwa i chłodna, snop kwiatów i kolców, ziela i liści suchych, dziś młoda jak dziecię, jutro zestarzała i zdrętwiona, dzień każdy czynił ją inną, każde wrażenie świata zmieniało jój barwę, ale tło było czarodziejskie...a ja szalony...Całą mą duszę oddałem téj istocie i wzięła ją uśmiechem i podniosła z sobą i nie mam jój...bo ją gdzieś rzuci-

ła w otchłań po drodze jak zwiedły kwiat balowego wieńca.

— Żaden z was nie widział jój, dodał duch, niepojmiecie jój władzy a mojej niewoli i męczarni. Wszystko czém żyłem wprzód pozostało zapomniane i odrzucone, spełzło i znikło dla mnie, ona sama stała przedemną, celem, Bogiem, niebem, i piekłem. Życie, los, przyszłość oddałem w jój ręce i czekałem wyroku, ona się mną bawiła, jak psem dziecię popsute, przyzywała gdy chciała, odpędzała gdy ją nudził. Sto razy zwiedziony patrzałem na niewierną, obojętną, zimną, nielitościwą, a zawołany wracałem zadając fałsz oczom moim, fałsz uszom, fałsz sercu co się burzyło wśród walki.

Stary, na barki złamane wziąłem tę namiętność ciężką do dźwigania, pękało od niej serce wzdęte, a wyżyć bez niej ani z nią żyć nie mogłem.

I niebyło na to lekarstwa, przerażony badałem siebie i uczulem nieuleczonym,—ludzie się śmiali, jam niesłyszał ich dojmującego szyderstwa.... ja ją tak kochałem i kocham ją tak jeszcze.

I zerwał się duch i zleciał z miejsca tego wiodąc nas za sobą.

— Oto drogi mojego życia, rzekł — nie licząc tego com przeżył wprzód, lata te były stracone, tum się urodził, bom tu ją ujrzał raz pierwszy ... postawiłbym ołtarz na tém miejscu gdzie ona mi się zjawiała!

Miejsce to było pustką tém smutniejszą, że śmieciem i gruzami nieczystemi zarzuconą, po nad tym progiem gdzie mu się ów jasny obraz królowej jego życia objawił, jak szubienica stał uszak drzwi wylamanych opalony i zwęglany.. on złożył ręce jak gdyby widział ją jeszcze.

Tędy szła, mówił lecąc—to ślady jój kroków, to droga jój—tu żyła, tu spoczywała, tum obok niej spędził jedyne godziny pamiętne jeszcze—tu pierwszy raz żądło zazdrości przebiło serce moje, uśmiechnęła się innemu jam cierpiał szatańskie męczarnie...Jój wzrok odwrócił się odemnie, usta jój mówiły do innego, dłoń zbliżyła się i zadrżała w cudzej dłoni, chciałem umrzeć porzucić, oddalić się—niemogłem. Niewolnik stałem patrząc i konając.

Nie wiecie com przebył, Bóg by się powinien zlitować temu cierpieniu i grzechy moje przebaczyć. Czulem że nie mogę być kochanym a potrzebowałem jój miłości, we mnie było jakby dwóch ludzi—jeden co się urągał namiętno-

ści, drugi który nią szalał, na chwilę przema-
gał jeden, to znowu zwyciężał drugi, i w tój
walce z samym sobą spaliły się ostatnie godzi-
ny... nie wiem co się działo ze mną, ze światem,
z ludźmi, nic nie wiem, prócz żem kochał i był
nieszczęśliwy.

Dopóki ostatni ślad jój stopy nie zetrze się
z tój ziemi, póki nie rozsypie się w proch jój
ubóstwione ciało, póki w pamięci ludzkiej po-
zostanie jój imię, ja tułać się muszę, ja odejść
nie mogę. Codziennie wstaję z jutrzeńką i idę
drogą cierniową wspomnień nędznego życia,
i staję w każdym miejscu, bym odbolał na no-
wo, przypomniał i odświeżył rany, szukać jój
i nie znaleźć, ani cienia, ani obrazu, ani pamię-
ci... Przeszła, uśmiechnęła się, znikła... a ży-
wa jeszcze stoi przedemną... Powiedźcie mi
gdzie ona!

— Biedny obłąkany, rzekł anioł — nigdzie
jój nie ma, ona była promykiem co zaświecił od-
dłoni Bożej odbity na kałuży ziemi... jedną
iskierką słońca, które nad nami jaśnieje, zwróć
się duszo ku światłu wielkiemu, a tam ją znaj-
dziesz... Ale duch biedny nie słuchał, płacząc
suchemi łzami strasznój rozpaczki nad życiem,
którego koniec namiętność pożarła — rozpo-

czynął na nowo pochód żałobny wspomnień
swoich od progu w którym ją zobaczył, do mo-
gily co ją zamknęła... a nad którą ducha jój
nie było.

— Czy za tyle miłości dała mu choć krople
litości? spytałem.

— Miłość ziemi nie nasycy, rzekł stróż mój
z łagodnym uśmiechem — jest to tylko odbłask
tego uczucia, którym żyją w niebiosach, ale
słaby i nietrwały. Tu wszystko u nas chwilą
i chwilami żywot znikomy, — nic nie trwa jeno
Bóg. W każdym waszém pragnieniu jest po-
czucie wieczności i jój pragnienie, którego nie
nasyci źródło mętne zjakiego wy pijecie. Miłość
kobięty chwilą tylko w życiu, rodzi się, rozkwit-
ta, przechodzi w westchnieniu... Szczęście wa-
sze chwilą maluczką, wy sami nią tylko, cnota
wasza trwa chwilę, a wyście jako nieznaczący
pyłek, w którym ulatuje ziarenko niebieskie
Jakże od ziemi pragnąć żywota, gdy na niej
śmierć mieszka? jak od kobiety miłości, gdy
im większa miłość, tém bardziej nienasycona?
Co życie dać może? przecucie chyba innego
żywota... sen przyszłości.

— Nie ulituje się Bóg cierpieniom jego?

— Wieki niebieskiego spokoju je zapłaca —

odparł anioł, i ta wędrówka męczeńska jest chwilą jak wszystko, Bóg grzechy miłości zbłąkanęj łatwiej przebacza nad inne... nienawisć tylko zabija na duszy, ona rozprzega węzły, odosobnia, wyłącza, niszczy; miłość jednoczy i żywi. A im więcej dusza kochać umie, tém silniej tą potęgą połączyć się potrafi z tym, którego imienia anieli wymówić nie śmieją. Jeszcze oczy odwracał za nieszczęśliwym bratem w boleści, gdy anioł odniósł mnie daleko na skrzydłach swoich w stronę nieznaną.

XLV.

A lecąc minęliśmy szeregi mogił, i gdy lot nasz się wstrzymał, ujrzałem u stóp moich grobowiec ze spiżu i marmurów wykuty, wysoki i wspaniały, na którym odłam strzaskanego pionem krzyża polyskiwał.

Wspaniały ten dom śmierci, otaczały chwasty i trawka wysoko rozrosłe, znać noga ludzka od dawna tu niepostała, ani żywy przyszedł człowiek. Zbudowano pomnik ale nikt go nie odwiedza, i wróble w jego gżemsach pozakładały gniazda, a jaskółki polepiły swe błotniste koszyki, chodując dzieci na głoskach złotych, które imię zmarłego przypominać miały. Jakiś

chłód wiał od tego grobowca zapomianego, na którego stopniach leżała istota ze wstrętem i ochydą odpychająca oczy moje. Duch to był czarny, prawie bezkształtny...zbliżając się uczuliśmy śmierć od niego, jakby nigdy nie miał być oczyszczonym i powróconym na łono Boże. Zwinęty w kłęb nieforemny kręcił się w boleściach niemych, tak, że głowy jego rozpekłój od reszty cielska trudno było rozróżnić, białe krwią nabiegłe zdradzały ją źrenice, gdy niemi rzucając się błysnął. Czarne ciało tego potwora padało kawałami z kości obnażonych i sterczących, a potępieniec zbierał je jak szmaty i ścisnął bojaźliwie. Czerep czaszki roztrzaskanęj dymił jakimś wyziewem...w obliczu potępienca było coś podłego i złośliwego tak, że się wzdrygnął i odskoczył i cofnął przerażony jak przed szatanem, a anioł objął mnie jak tarczą białymi ramionami swemi.

Weiaż z przestrachem zwrócone miał w jedno miejsce i utkwione wejrzenie, a gdy głowę przychował na chwilę, z bojaźnią później porywał się i spoglądał, azali to co go dręczyło, stało jeszcze przed nim.

W koło grobu zdawało się pusto i idąc dopiero za oczyma potępienca postrzegłem opo-

dal odeń w milczeniu i nieruchomości posągów stojące postacie, które przed nim trwały jak widmo grzechu i wyrzut sumienia. I ujrzałem starca siwowłosego, podpartego na kiju, i niewiastę zapłakaną i dziewczę blade z głową schyloną ku ziemi, i dziecinę maluczką umarłą w pieluchach, leżącą na piasku, a przed nimi rzucony krzyż Chrystusów i zdarte szaty nasze stare. Istoty te zdawały się cieniami wśród duchów nawet, nie były to widma ani upiory, ale obraz namalowany ręką zgryzoty, za karę stojący przed oczyma wyrzut wiekuisty. Potępieniec siłą wewnętrzną zmuszony patrzył na nich i udręczony, odwracał oczy co chwila, gryząc sam poszarpane ciało swoje. Wzdrygnąłem się i spytałem oń anioła.

A ten nic mi nieodpowiadając, przesunął się ze mną na inne miejsce, i odsłaniając mi obraz nowy, milczeniem wskazał życie strasznego ducha.

Oczy moje nie łatwo się oswoiły z widokiem który miałem przed sobą, zdało mi się jakoby widział kraj własny, ale kilkudziesięcią laty dawniejszy; wielki pokój panował w tym zakątku, zasłoniętym lasami i pooblewany wody wielkimi, odsuniętym od gwaru świata i ludzi. Na

brzegu rzeki stało domostwo szlacheckie ubogie i małe, dwór z gankiem w ławy ubranym, gołębnikiem w dziedzińcu i studnią, obok budowy gospodarskie i wielka lipa z bocianem na gnieździe i pasieczka w rozkwitłym sadzie. Dwoje ludzi już niezbyt młodych, siedzieli na ławkach i modlili się cicho, a w twarzach ich poznałem widmo grobowe, starca i niewiastę. W progu stało dziewczę wesole i uśmiechnięte... też same którym widział stojące w oczach potępionego. Ale wszystkie te twarze i cały obraz tchnął jeszcze niezmqczonym spokojem i szczęśliwością wonną, a prostą. Na podwórku szumiało gospodarskie życie wieczora, wracało bydelko z pola, układało się do snu ptastwo, śmieli się powracający z pola ludzie, a oko gospodarzy błogosławiło pomyślności stworzeń nawet, i radowało się w pokoju i modliło dziękczynnie. Z tych tysiąca głosów, które zdawały się dochodzić do ucha mojego, składał się jakby hymn modlitwy wieczorniej, pieśń pełna majestatycznej prostoty i przejęcia głębokiego, w której harmonijnie grały nawet głosy zwierząt poddanych człowiekowi, i szmer lip starych i poważne klekotanie bocianów karmiących dziatwę. Nagle tuman

wzniósł się na gościńcu zdala i wzbił szeroko w powietrzu i począł zbliżać się do dworu. Wszystko umilkło przed niespodzianem zjawiskiem, jakieś powozy ciężkie przez ciasną drożynę polową toczyły się do dworku szlacheica i wpadły w ciche jego podwórko. Zamęt powstał dziwny, i pieśń pokoju przerwana została przestraczem, ciekawością. W koło powozów powstał gwar, otoczyli je ludzie z poodkrywanymi głowami dopytujący się drogi, pomiatający otaczającymi. Starzec i kobieta powstali z uszanowaniem naprzeciw zesłanego im gościa, dziewczę uciekło, lecz zjawił się z ciekawością na twarzy młody chłopak, z czarnym okiem ognistym i rumianym licem lat dwudziestu.

Z powozu wysiadł stary podpierający się na lasce mężczyzna, w peruce, z workiem włosów i sukni niemieckiej, którego otaczający zwali Wojewodą, powiódł okiem podziwienia i prawie pogardy po ubogim dworku i pokornych gospodarzach, i pytać począł o drogę, z której znać zbił się winą ludzi. Słońce tymczasem zachodziło krwawo i wieczór zapadał, dalej jechać nie było można po drogach ciasnych i po lasach ciemnych, Gospodarstwo zaprosili gościa do niskiego dworku. Traf czy wola Boża spro-

wadziła tu starca — pana do zagrody człowieka, który nieznany mu, ubogi, jedno z nim imię i znak szlachecki nosił na tarczy. Pan się zgorzzył i oburzył niemal ubóstwem imiennika, szlachcie nie poczuł ani zadziwienia, ani upokorzenia, z czołem pogodnym przygarnął tę wielkość jak przygarniał nagiego i bosego przychodnia w imię Boże. Nie rodziła ona w nim ani zazdrości, ani niepokoju, może ledwie litość nad człowiekiem spętanym niewolą bogactwa i dumy.

Ale chłopię młode, ów czarnooki syn gospodarza, który śnił znać w kolebce o innym losie i pragnął innego życia, stał z żarzącym wzrokiem zazdrości w progu, wpatrując się w magnatę, i znać było z oczów jego, że mu biło serce, do świata z którego ten zesłaniec przybywał.

Do późna w nocy dworek świecił i dymił przyjęciem gościa, a nazajutrz rano, gdy go pan opuszczał, młode chłopię pakowało się z tłumoczkiem swoim za nim do stolicy; ojciec, matka i dziewczę płakali w progu.

Starym nie uśmiechała się wcale ta przyszłość, której syn ich pragnął tak gorąco, chcieli go mieć przy sobie, on im się wyrывał z uśmie-

chem, chłodno, bez żalu. Cały swą wielkością marzoną zajęty, obiecaną mu przez pana, który płacąc za nocleg obiecywał chłopcu noszącemu jego imię — wielkie łaski i wzniesienie wielkie! — W młodzieńcu paliło się i wrzało, miał przeczucie innego jutra, a chata ojcowska, zagon i ta cisza wstręt w nim budziły. . . . Nie miał łzy na powiece przy pożegnaniu, ani tęsknoty za laty młode, ani miłości dla tych, co go ostatkiem sił cisnąć do serca, żegnali i błogosławili. I jak ożywna rosa nie przystaje do kamienia, tak błogosławieństwa ich zsunęły się z dziecięcia.

Z uśmiechem, pewien siebie, wsiadł na koń, machnął ręką, i rojąc wielkość przyszlą poleciał w świat, skinąwszy ledwie płaczącemu dziewczęciu, staremu ojcu, nieprzytomnej z bólesci matce. A żaloba była w dworku osamotnionym i cisza oczekiwania na długie w nim zamieszkała lata.

XLVI.

Gdym ujrzał go znowu, chłopak się przeistoczył do niepoznania w stolicy; ledwie w nim czarnookiego młodzieńca z pod słomianej strzechy poznać mogłem, tak rychło i łatwo przyjął

barwy świata nowego i w niego się wcielił. Imię torowało mu drogi, słowo pana prowadziło go wszędzie, a dowcip i gotowość do ofiar czyniły go ulubieńcem ludzi, co sług potrzebują bez woli, godności, czci i wiary. Adam gotów był na wszystko dla wzniesienia się, nie zastanawiał się gdy mu upodlić się przyszło, upaść i zwać, byle krok dalej tym kosztem poszedł na drodze znaczenia, byle się szczeblem wdrapał wyżej. Wszystko dlań tańcem było, a nie świętém, w duszy cześć i pustkę nosił z pragnieniem władzy i wzniesienia. Szedł też na swój drodze szybko i przeistaczał się w blade widmo pożerane żądzą nienasyconą . . . a sięgał wyżej i wyżej. Ubogie dziecię szlacheckie wpadł między pany i stracić się z raz zdobytego nie dawał stanowiska. Piękne imię, twarz piękna i usłużność bez granic dały mu wstęp między ludzi, którzy go za swego przyjęli. Chłopię przeodziało się w suknię nową, w pychę dla słabych, uniżoność dla możnych, i szedł drogą nie pracy i znoju, ale pochlebstwa i próżności. Wiare, sumienie, uczucie godności stracił powoli za szatę mieniając brudną lecz błyszczącą. Połykał upokorzenia, aby je niższym oddać z nawiązką, padał by gnieść, i w tym

wirze zbłąkany, stał się jednem z tych stworzeń co w społeczności miejsca oznaczonego nie mając, bojują o nic, wszelkimi środkami i sposobami.

A na wsi płynęło starym rodzicom zapomnianym przez syna, życie cicho, tęskno i spokojnie, modlili się, pragnęli, wołali go, ale dziecię nie się od nich spodziewać nie mogąc, milczało. Matka tłumaczyła je sercem macierzyńskim, ojciec gryzł się lecz nie obwinał, pragnęli go oboje z utęsknieniem, ale doczekać nie mogli, nie wracał... lat kilka czekali na próżno. Dziewczę, co go kochało, wyszło po nim z żalu, szły listy i nieczytane butwiałły.

XLVII.

Później ujrzałem znowu ciche podwórko wiejskie i w ganku staruszków dwoje, a na progu dziewczę blade, ale wieczór ten niepodobien był pierwszemu; — osmutniało to wszystko; zgrzybiał ojciec, upadła na siłach oczekująca matka, do tęsknoty ich nastroiło się wszystko otaczające, bo człowiek panuje temu, z czém żyje i odbija się w kręgu swoim. Nie widać już tu było wesela, starania, ale opuszczenie i za-

niedbanie bez jutra. Gniazdo bocianie stało pustką jak dworek bez dziecięcia, czeladź chodząca ze spuszczoną głową i mrok z szaremi chmury zawisł nad dworkiem podupadłym. Na gościńcu, jak dawniej ukazał mi się powóz w tumanach pyłu, jak czarne posuwając się znamię, powiększał się, zbliżał, a z nim niepewność, oczekiwanie, niepokój. Oczy wszystkich zwrócone były na drogę, a ujrawszy pojazd wielki i bryki ładowne, osmutniały, nie spodziewały się w nich syna. Przybliżyło się to do wrót, zatoczyło przed ganek i wysiadł człowiek, w którym swego dziecka nawet oko matki poznać nie mogło. Wyszedł ztąd świeżym młodzieńcem, powracał zbladłym mężczyzną innej twarzy, obyczaju i mowy. Gniazdo się do niego przyznać nie mogło, on go prawie nie poznawał, ciasno mu było i duszno. Czuł się już czémś lepszem nad tych, co mu dali życie, zbliżył się z uśmiechem, powitał protekcyjnie... Zmarszczyła się brew ojca, bo syn, co paść był powinien na kolana, ledwie przed siwizną rodzicielską głowę skłonił. Zdumieli się razem niewdzięczności i szczęściu jego, z którym się przychodził pochwiliwić... Ojciec ze wzgardą spojrział na konie, wozy i ludzi, nie

będące owocem pracy, ale datkiem przyjętym z upokorzeniem lub zapłatą podłości.

Czoło jego nachmurzyło się groźnie, a matka drzeć poczęła.

— Mów, rzekł jako sędzia stojąc przeciw syna, coś robił, gdzieś to zyskał? Spowiadaj mi się z życia, a jeśli w tém co tu z sobą przwozisz jest okruszyna cudzego, jest owoc łez czyich, lub grosz wyfrymarczony zapomnieniem prawa Bożego ... idź, zkądś przyszedł, i nie pokazuj się więcej — ja nie mam syna!

Wielkim był starzec gdy to mówił, jak jeden z bohaterów dawniej Grecyi, jak matka jako Spartanka. ... gdy wstał, i jako sędzia gotował się własne potępić dziecko, prawem Bożem i głosem sumienia ... wyrósł w olbrzyma, aż przed nim zmalął i skarłał przybyły. Ale nie uległ świętemu upokorzeniu, które poczuł i podniósł się w sercu dumą niepocziwą. ... matka czekała ze złożonymi rękami, pragnąc oczyszczenia, wierzyła w nie, i przypuścić nie chciała konieczności odepchnięcia dziecięcia.

Uśmiechnął się przybyły szydersko ze staroświeckiej prawości ojca, pomyślał co miał czynić, a nałóg życia nieczystego podszeptał mu kłamstwo jakby przez litość nad ojcem ... po-

czął przed nim pasmo fałszu i matactwa; co zyskał szacherstwem i zdradą, malował mu jako zdobycz pracy, co zarobił podłością dał za poświęcenie, podniósł się, uszlachetnił, obmył, i z góry poglądał na oszukanego rodzica.

Ten słuchał długo w głębokiém milczeniu, czuł w sercu fałsz, a nie miał siły już dziecka potępić, zdało mu się że kłamstwem tém oddawał hołd enocie, że się miał poprawić, uczuwszy wstyd, do którego przywiedzion został. — Nie pobłogosławił, ale nie przeklął starzec, usiadł milczący, ponury, po chwili wyjąknął:

— Człowiek nie przeklina ani błogosławi, nie potępia ani oczyszcza, ani sądzi, Bóg sam pan serc i myśli uczynić to może, na niego to zdaje, niech będzie sędzią i mścicielem lub sędzią i nagrodą, słowa twoje nie idą do duszy mojej, ale cię badać nie chcę — przyjmuję cię pod dach rodzicielski sercem starém, siadaj i pożywaj chleb nasz czarny, a przeszłość niech będzie zapomnianą.

Matka oblała się łzami i przycisnęła go do piersi — dziewczę podało mu rękę, i ten nowy syn marnotrawny, co zgubił duszę na rozdrożach, a przybył okryty łachmanami znaczenia i bogactwa, wszedł znowu w kółko, wśród któ-

rego długo pustém i niezajętém stało miejsce jego. Wszystkie serca skłoniły się znowu ku niemu, ale on pozostał zimnym i nieporuszonym; żadne pocziwe nie odżyło w nim uczucie. Nie mógł go już pokarmić, chleb ów prosty, ani proste serca wieśniacze, ni wytrwać mógł z niemi, ni ich zrozumieć. Dziewczę ukochane wydało mu się pospolitą istotą, po miejskich malowanych twarzach bogiń, które złotem płaciły za uściski jego młodości, na ojca i matkę ledwie spoglądał, a gorące serce prostych ludzi, z którymi igrał w młodości, co go nosili na rękach, ze śmiechem odepchnął i pogardą, jakby się lekkał, żeby go ich dotknięcie nie zwałało. Myśl jego, marzenia, były gdzieindziej, przybył tylko pochwalić się zdobytą wielkością, pochwycić nowe środki do podźwignienia się jeszcze, wymusić na rodzicach ofiary, i znów powrócić na swój plac boju i popisu.

Ani razu nie uderzyło mu serce na widok starego dworku i miejsc drogich każdemu, bo uświęconych wspomnieniem lat dziecinnych, nudził się w tém kółku dłań małym, pospolitým i ciasnym. Dla rozrywki przybliżył się do dziewczęcia, które ku niemu wyciągało ręce drżące — ale to dziewczę było ubogie, sierota, zawa-

da i ciężar tylko... on swą młodość dawną na sprzedaż wystawił i targował się o nią; z towarzyszy dzieciństwa uczynił tylko zabawkę rozpustnika. Serce nie było w nim, ludzi za narzędzia uważał, nie troszczył się łzami które miał zostawić za sobą, ani jej zgubą i wstydem nie odepchnął palącego uścisku, nie obronił się namiętności chwilowej, i splamił przeszłość świętą i czystą...

Ojciec wydawał mu się prostym, starcem gderającym nudnie, jakgdyby między niemi żadnego świętszego węzła nie było, jakby mu był obcym, uśmiechał się w sercu, słuchając prostych nauk jego. Między nim a dziećciem nie było żadnego związku, zrozumieć się nie mogli — ten chciał od syna powrotu do zagonu, do chaty, żywota wiejskiego i uczuć wieśniaczych, wiary i modlitwy, — tamten mówił o świecie nowym, nowych prawach, i starych przesądach. Śmiał się z tego co czcił starzec, a padał na twarz przed złotym cielcem bałwochwalca. Długo bojowali z sobą i walczyli, syn śmiechem, ojciec oburzeniem i zgrozą, aż w powiekach starca zjawiała się łza cicha, ostatnia, a później przyszło milczenie długie, pogardliwe. Zamilkł widząc że go ani powstrzyma ani nawróci. Matka

bronila jeszcze, sama płacząc po cichu, ojciec mileżąc potępił, lecz trzymał usta zawarte aby ich nie otworzył przeklon i odrzucenie, bo wiedział, że wyrok ojca na ziemi, często Bóg potwierdza w niebiosach.

Dla niego wszystko to było obojętném — namiętność ciągnęła go gdzieindziej, każda chwila tu przebyta jak wiek zdawała się długą, chciał tylko wydrzeć co prędzej ostatek mienia, a gdy otrzymał co pożądał, pożegnał bez łzy, odleciał nie oglądając się na tych, co stojąc w progu płakali, czując, że go już tracą na wieki.

Starzec po odjeździe syna kazał przynieść do izby trumnę przygotowaną od lat dziesięciu i postawił ją przy łóżku swoim; matka wylewała łzy krwawe modląc się jeszcze; dziewczę przez okno wyglądało na gościniec i spodziewało się, choć nie wierzyło odstępcy.

XLVIII

On znowu wszedł w koło ludzi, wśród których zdobył sobie miejsce idąc tą drogą upodlenia, tracił powoli co w nim jeszcze czystsze go i świętszego zostawało: wstyd pocziwy, rumieniec jasny, uczucie godności, sumienie, wiarę, miłość... przeistaczał się w poczware co za-

parła się wszystkiego dla nasycenia żądz podźwignienia się z nicości. Drogo okupywał szczerbel każdy, ale szedł dalej spychając ludzi, depcząc tych co mu podali rękę, zdradzając i śmiejąc się z łatwowiernych, z przywiązania jak ze słabości... Szatan mu pomagał szepecząc na ucho: — Tyś stworzony do wielkości i wzdymało się serce jego coraz więcej, a stąpając tak upajał się, szalał, dumniał, czując się godnym tego co niegodziwością okupił. Na piersi jego błysnęła gwiazda, przepasała go wstęga, okrył się tytułami wyfrymarczonemi, nakoniec imię, życie i resztę młodości sprzedał zniesławionej niewieście, która go wwiodła w grono ludzi sterujących społeczeństw. Patrzano nań ze wzdrganiem, on popychał z lekceważeniem bezlitośnym, byli i tacy co z uniżeniem podawali ręce i skłaniali grzbiety, bo był mocen... Wyniósł się wreszcie jako chciał i zajrzał w swe serce pytając się azali miał dosyć? ... próżnia tam była i boleść.

Szałem potrzeba było zastąpić szczęście i spokój utracony, więc poszedł dalej coraz nowych dobijając się stopni, coraz głośniejszego imienia, choćby niepocziwością i upodleniem.

W starym dworku panowało milczenie głu-

ehe, nikt tam nie wiedział o synu marnotrawnym, nie dochodziły o nim wieści, bo nikt nie śmiał zadać śmiertelnego ciosu objawieniem prawdy, niepokój tylko przeczucia ogarniał starca gdy o synu słuchał i pytał się co mógł uczynić, by się dostać tak wysoko?

Ofiary uczynione dla dziecka przywiodły do ubóstwa ... wierzyciele grozili, trzeba się było odezwać do syna, ojciec pisać nie chciał; posłała matka, milczenie było odpowiedzią. Przyszli ludzie i wygnali starca z dworku jego jak żebraka, musiał pożegnać strzechę rodzinną, dziedzińczyk spokojny, zagon który uprawiał i siał na wózek niewiedząc kędy pojedzie. Matka ufała w syna, dziewczę milczało przybite.

I troje tych biednych istot jednego poranka z raju wygnanych głosem człowieka co prawo spełniał łzę ocierając z oczów, pojechali w świat drogą smutną, a z niemi szła poprzedzając ich nędza, i strach polatywał, szumiąc skrzydły wielkimi. Potoczył się wózek ubogi wiozący resztkę złamanych ludzi, a gdy stanął przed pałacem w którym mieszkał ów wielki dziś człowiek, służba kasztelana odepchnęła go od wrót śmiechami i błotem.

Była to chwila mroku — i miałem przed sobą

obraz na który wzdygnęło się serce moje. Portyk pałacu jaśniał lampami, z niego czwórką koni pstrych wyjeżdżał powóz, a w nim siedziała kobieta wymalowana, piękna jeszcze ale bezwstydnie popisująca się z resztkami zużytych wdzięków... obok niej z gwiazdą na piersiach siedział w powozie mężczyzna którego serce chyba matki rozpoznać mogło ... Wózek rodziców stał na drodze spychany przez gawieź służebną, gdy nań wpadły konie wiozące syna.... Z drogi! z drogi! dały się słyszeć głosy i staczać zaczęto wóz wiejski, a oko pana padło nań i poznało starą matkę, ojca i dziewczę rozpłakane; oni ku niemu wyciągali ręce... On odwrócił się i zawołał groźnie: Precz z temi włóczęgami!

I niepocziwie zawstydził się rodzzonego ojca i matki, a rumieniec oblał mu oblicze zbłądłe... bał się przyznać przed niewiastą, co królów kołysała na kolanach, że wyszedł z pod pocziwój ubogięj strzechy... kłamał przed nią, przeszłość wielką, do nowęj ją dolatując wielkości.

Na dziedzińcu krzyk tylko matki co wyciągnęła ku dziecku ramiona i głos płaczliwy dziewczęcia dały się słyszeć, a ojciec powstał dźwi-

gniony siłą ogromną i w chwili gdy pojazd mijał go, rzucił przekleństwo straszliwe, które jak piorun zgmiotło odstępce...

Widziałem je jak wychodząc z ust starca niesione było do tronu Bożego, nie na jasnym promieniu na jakim płynie modlitwa, ale na czarnym pasie ciemności, który odbite przekleństwo rzucił na głowę potępionego.

Ciemności obraz mi zakryły...a gdym znowu przejrzał, obaczyłem tylko trzy mogiły na ubogich cmentarzu, starca co skonał ze słowem potępienia w ustach, matki co nie przeżyła straty dziecka i dziewczęcia, które z dziecięciem na piersi poszło do trumny. Litość ludzka pochowała tych istot troje, a gdy dzwon ubogich po cichu na żalobną wzywał modlitwę za ich duszę, kasztelan wyjeżdżał płaszczyć się i podrzeźniać tym, których łaska tak go wysoko podniosła... swobodny że nie miał już rodziny którejby się wstydził, i więzów coby go krepowały.

XLIX.

Ale i dla niego także wybić miała godzina próby i kary, wisiało nad nim ojca przekleństwo, łzy macierzyńskie i jęk ofiary którą zdradził bez

serca... Zaćmiło się w około i poczęli wstawać nieprzyjaciele. Rozzuchwalony człowiek zmuszony był do walki... i bój zimny a zacięty rozpoczął. Nie była to ta walka siły i męstwa, jaka na polu bitwy bratnie piersi stawia przeciw sobie dla zdobycia imienia lub obrony ziemi i ognisk... ale walka pokątna ludzi co bojują słowy, potwarzą, zdradą, uśmiechem, co kopią jamy i kryją się w cieniu, podając rękę temu, któremu wczoraj posłali śmierć, a poglądając rychło-li na ich twarzach ujrzą skutek zadanego trucizny. Ta kobieta której dał imię, ci co go wspierali obrócili się przeciw przekłętemu, szal go ogarnął i duma gdy uczuł pociski wymierzone, a bronić się uczuł potrzebę. Myślał że jest niezwykły, ale dziecko nieudolne, upadłać się tylko umiał, walczyć nie potrafił z wprawnymi szermierzami. Wielką pustką otoczyli go najprzód... odeszli ludzie, dwuznacznie uśmiechając się cofnęli przyjaciele... Szeptano gdy wchodził, szydzono gdy odstępował, w zbliżeniu czoła dopytywano cierpienia. Potępienie siedzi z odwagą naprzód, potem ze złością i gniewem, nareszcie z wściekłością bezrozumną, szamotał się, rzucał, a im był szaleńszy, tym słabszy. Żona popchnęła go pierwsza, już

Mogiły.

imie jego mając, nie potrzebowała więcej. . . . W chwilę marzenia odarła go z majątności, za nią poszli przyjaciele nowi opiekunowie, tłum, wszyscy.

Jak przed zapowietrzonym ustąpiło wszystko... tak jak on zaparł się ojca i matki, zapierając się jego i pytali go udając że nie poznają: — Czego chce ten człowiek? co są za słowa jego? — Rwał piersi z bólu i ryczał, a świat śmiał się z niego, a sługus jakiś pański popchnął go, wyrzucając za drzwi... i pozostał w ulicy posmiewiskiem... Naówczas z sercem namiętném, co się ocknęło, a już kochać nie mogło, rzucił się na rozpustę z resztą imienia i młodości, tarzać się począł w kałużach, pragnął złota, a w rękach jego topniało.

Ujrzałem potem mogilnik ubogi, na którym piołunem i rozchodnikiem porastały groby ojca i matki, dziewczęcia i dziecka... On, wybiegł nań nocą z jamy jakiejś, w której przegrał resztkę mienia, nie mając gdzie schronić głowy... leciał, wiedziony nie myślą żadną, ale ręką losu, i nogi drżące same go powiodły za miasto, na pole umarłych. Nowy Judasz szukał gałęzi, na którejby skończył uprzykrzone życie, a suchy dąb niedaleko mogiły ojca

zaszeleścił mu staremi konary... Zgrzytnął zębami ze złości, bo mu nieszczenie nawet leż nie dało, na kawalku sznura, po którym do ziemi spuszczano trumnę rodziców... zawisł złoczyńca... Wielkiemu imieniowi, które nosiła żona postawiono ów pomnik z marmuru i spiżu, robotnicy pracowali nad nim śpiewając, a nikt przy nim nie odmówił pacierza... duch potępieńca na wieki został przykuty między mogiłą a drzewem, na którym zawisł z rozpacz.

L.

Na ciemny ten obraz patrząc, oczy moje oblokły się nocą nieprzebitą, i lecieliśmy wśród niej dalej w wilgotnych przestrzeniach, a wzrok nie dojrzyć nie mógł, ani w górze nad głowy naszymi ani pod nogami, oprócz kłębow ciemnych chmur, które się przewijały do koła, to podnosząc, to zniżając, to rozbijając, to skupiając. Chłód przykry obwiał mnie i tęsknota znowu ścinała serce znękane, żal mi było jaśniejszego widoku ziemi, aniołów i duchów, wśród którego przebywszy chwilę, duszno mi było i ciężko. Alem poskarżyć się nie śmiał, wiedziony przez anioła i drżałem tylko by mnie osle-

płego i osamotnionego nie rzucił na gościńcu dawniejszej mojej pielgrzymki.

W tym świecie pośrednim w którym spocząłem po życiu troski i pracy lepiej mi było, z niego widziałem jaśnieję ziemię i zamiast niechęci i żalu do ludzi, czułem w sercu miłość ku nim i uczucia bratnie. Czytałem ztąd lepiej w pierśsiach ich, widziałem w nich słabość, nie występki, błyski chwilowe i porywy ku Bogu, i godziłem się z nieszczęśliwymi, których potępić nie mogłem. Padali ale wstawali, jęczeli z bólu, ale często ból ofiarowali Bogu, zaciemniało się ich oblicze, ale je obmywała łza. I ziemską znikomość nie tak bolała serce moje, bom uczuł i poznał, że jeno to trwać może co się nie poczyna, lub z ducha stworzone zostało, a ciało prochem jest i co cielesne rozkwita by zwiędnąć.

Żeglując tak wpośród ciemności nagromadzonych do koła, przez które przebijaliśmy się dalej, westchnąłem w ucisku, anioł ulitowawszy się ręki skinieniem rozbił tumany otaczające... i poczęło się rozwidniać, a obraz wesół rozjaśnił oblicze tęskne i rozpogodził mi serce.

LL

Al! uradowałem się matce ziemi, bom jeszcze częstką do niej należał i przyrosłym się czułem do téj kolebki i grobu. Zabiło mi serce żywo, uśmiechnąłem się na widok spokoju, jakim ta chwila jaśniała.

Obraz wielki i piękny stał przed oczyma moimi.

Mgły ciemne i obłoki czarne, kupami rozeгнаł wiatr, pędząc na drugą półkulę, rzadniały coraz i rozpiezchały się powoli, stały wpółprzezroczyste, a niekiedy promyk słońca rozrywał je drząc w wyziewach i malując je w barwy nieskończonej różnaitości. Tysiące tęczy kołami swemi malowanemi porozpinały się nad głowy naszemi, i nikły i znowu wytryskały, a mgła coraz to rzadsza, coraz świetlejsza i bialsza, jak przezroczysty rąbek tylko osłaniała nas, i przez nią już widziałem ziemię w jakimś świetle dziwném, jakby oblaną płynem, który jój obrazy ruchomemi czynił. Niekiedy złoto, lazur i purpura zakrywała mi ten widok, to znowu rozbił ją lekki wiatr ciepły, i ostatnie wreszcie obłony spadły, ostatnie obłoczki białe i leciuchne odleciały po za nas, a wielka

przestrzeń odsłoniła się przed oczyma memi. Ujrzałem znowu kolebkę moją, ukochaną dolinę łez i żaloby, ale razem wesela i uśmiechów i uradowało się serce moje ... a łza na oku zawisła.

Pięknaż to była ziemia... jak umie być chwilami, gdy ją oko Boże opromieni... są dla niej dnie jasne, w których świeci cudnie, w taki dzień właśnie ujrzałem ją wychodzącą z łona mroków... przyodziła się dla mnie wiosną, zielonością, złotem, lazurem wód, wszystkimi klejnotami, co jęj krasę zdobią... a szeroko, szeroko widać ją było rozwiniętą, posłaną jak żywy kobierzec u stóp tronu Bożego. Góry śnieżyste i omszone lasami stały z jednej strony na strażnicy ze swemi ostremi wierzchołki i pomalowanemi potoki grzbietami, strumienie szumiące płynęły z ich wierzchowin ku dolinom zasypałym głazami, i wonnemi porośnemi rośliny. Dalej ciągnęły się łąki falujące zielonemi wzgórzami i płaszczyny rozległe, poprzecinane pasami lasów, porozdzielane sznurami rzek, ubrylantowane jeziorami jasnymi. Maluczkie ztąd widać było dzieło człowieka wśród potężnego obrazu ręki Bożej, ale im bardziej zbliżyliśmy się ku ziemi, tém widniejszy był na

niej pan i mieszkanię. Ujrzałem szerokie drogi, któremi chodzi człowiek, miasta dymu pełne w których mieszka, wioski w których się tuli i domostwa rozsypane po wzgórzach i nad wodami, kościoły strzelające ku niebu i wielkie gmachy, i wszystko co zbudował człowiek.— Znać tęsknota pędziła mnie ku czarnej skibie naszej, bom ciągnął bliżej a bliżej, coraz nad rodzinną ziemię, by nią me oczy nasycić. Na górach postrzegłem trzody i ludzi, w dolinach wsie i domy, na rzekach statki i łodzie, w miastach gwarny tłum handlarzy, w siołach ludękę tęsknie wesół i wesół tęskny... po drogach podróżnych z kijem pielgrzymów... a dalej jeszcze tysiąc istot jak mrowia wybiegłych i uwiłajających się z sobą na życia gościńcach.

Ten wielki obraz ludzkiego żywota widziały z góry inaczej i pełniej zajął mnie i zadumał— w duszy zrodziło się pytanie, jaka myśl, jaka żądza, jaki cel kieruje tém życiem tak pracy, utrapienia i łez pełnem, jaka siła popędza dalej, gdy oczy ziemskie śmierć tylko widzą w końcu? Poczułem całą zasługę bytu, który się tu zapłacić nie może, ale i woń jego dni jasnych zagrzała piersi. Nie na sam tylko smutek i znużenie patrzałem, były chwile błogiego

spoczynku i wytchnienia — żaden rys czarny nie plami świetnej całości... pieśni wesela i wiary płynęły ku górze, westchnienia ciche przelatywały mimo nas i nad nami. Nikogo pojedynczo widzieć nie mogłem, ale tłumy rysowały mi się wyraźnie, patrzałem na znoje i trud, upadki i słabości, ale miłość ku ludziom okrywała mi je szatą jasną.

LII.

Pogodziłby się ze światem, ktoby nań ze mną tak spojrział z téj wyżyny i osądził nie z rysów drobnych, ale z wielkiej całości, w której dobre przemagało.

I podniosło się od radości serce moje dziękczynieniem ku Bogu, ale jasny obraz trwał tylko chwilę, zniżyliśmy się i znowu jakiś wyziew nieczysty otoczył nas...wśród śpiewów odezwały się jęki, wśród wrzawy przekleństw. Ludzkość którą przy brzasku porannym widziałem klęczącą przed Bogiem myślą i czynem, powoli w znoju zbliżającego się południa inne przybierała barwy. Tłumy na krańcach walczyły i krew lać się poczęła, a pył i kurzawa zasłoniły pobożowisko. Do koła walczących stały zastępy ma-

tek z załamanymi rękami, siostr, żon i dzieci które czekało sieroctwo.

— Czego oni walczą? spytałem anioła.

Niezbadane są sądy Boże, odpowiedział, a ty co je pojąć pragniesz zuchwałym jesteś. Mogiły rycerzy poległych osmucają cię, a wieszże co z nich rośnie, i jaki duch z nich wzleci, i co daje wojna użyzniająca pole na którym pracujecie—co kupuje ludzkość krwią ofiar swoich?

Dla ciebie niepojęta ta walka, marzysz spokój gnuśny, bo śmierć wydaje ci się po ludzku końcem życia, a ona jest jego początkiem.—Cóż że giną tysiące, gdy na zgłiszczach wyrasta myśl co dzieciom sierotom nowe otwiera drogi?

LIII.

Obróciłem oczy od pobożowiska i uszy od jeńców, a w drugą powiodłem je stronę. —Zastęp jakiś handlarzy włókł się w łodziach przez morza z kupią jadąc po grosz do dalekich krajów. Niektóre statki tonęły i rozбивały się od burzy, inne dochodziły celu, i wyludzały od ludów nowych owoce ich pracy za szkielka i fraszki. Na powrót tych kupców czekały kupy z nowymi towarami, wznosiły się warsztaty, schliw nich ludzie ubodzy aby dać innym środek frymar-

czenia nowego. I dziesięciu bogaciło się potem miliona i serce mi się wzdrygnęło i posłałem wejrzenie ku aniołowi memu z pytaniem: Dla czego Bóg na to pozwala? być-li to może bezkarnie.

Anioł uśmiechnął się z politowaniem.

— Wszystko to są narzędzia w prawicy Bożej, rzekł i ci co się bogacą, i ci co mrą z nędzy. Alboż wiedzieć możesz co płynie w dalekie kraje z statkami temi? czy to co w nich wiozą, czy to co niewidome w nich jedzie? Jaka myśl do żagłów przypięta? co urodzi handel? co kupi grosz? co da słowo? co sieje ucisk i krzywda? płacz i narzekanie? Wszystko na ślepo robicie, jak skoro jeden z was Boga naśladować chce pojąć dzieła jego ...błazicie gorzej rozumem, niż ślepotą. Azali widzieć możecie co jest w końcu? jaki będzie skutek? Obrachowujcie zuchwale, a dzieje się to czegoście ani się domyślali, ani spodziewać mogli.

Oto handel i frymarki nie czyste przeradzają się w apostołstwo mimowolne, wojna krwawa sieje żądze pokoju i braterstwa, pożar buduje, burza żywi, pogoda umarza i zabija, a cudów nie widzicie i rozumieć nie możecie.

LIV.

A gdy tak mówił wskazał mi człowieka maluczego który szedł drogą zamyślony.

Czoło jego było olbrzymie i oko ogniste... rzekłbyś że głowa wszystkie siły ciała jego skupiła i kosztem bark wyrosła; tak był chudy, zniszczony, maluczki, drobny, a na słabych ramionach dźwigał potężną czaszkę.

Oto, wskazał anioł, jeden z tych, co ludzkością chcą kierować ubogie dziecię strzechy słomianej, ale niepokój ducha podniósł je i uczynił mężem głośnym i wielkim. Zdaje mu się a sądzi że go posłał Bóg aby przetworzył świat i czuje się pełen ducha Zbladł nad księgami w których czytał formuły życia, i myśli że je odgadł— że dlań nie ma ono tajemnic, że jako i nicą pokieruje ludźmi i powiedzie ich kędy zechce.

I w dumie bezbóżnej rzekł sobie — szeroki świat boży! źle tak jest jako jest, niech będzie inaczej.

Zbladły nad księgami mól napisał sobie formułę żywota i spojrzawszy na żywych że do niej nie przystawali, zażądał ich przerobić. Jedni są nisko, rzekł drudzy do zbytku wy-

soko, jedni głodni cierpią, drudzy przesyce-
ni boleją, ci rozkazują, tamci się uginają i słu-
chać muszą — czemu tak jest? czemu czło-
wiek człowiekowi równy nie ma też równego
w darach Bożych udziału? I począł wołać i gro-
madzić lud, a odzywać się do wydziedziczo-
nych, aby nowy dziedzictwa podział uczynił-
a nędza i trud i łzy wysłuchały go i słowo je-
go zaszczerpiło zazdrość, zasiało nadzieję pło-
che, uradowali się biędni że im świat nowy
obiecano.

Ten apostoł pokoju i szczęścia począł od
krwawych podżegań namiętności. — Weźmijcie.
rzekł, czego wam niedają, wydrzyjcie co wam
wydarto, a później na ruinach zbudujemy le-
pszy świat — gród ludzki miasto grodu niepra-
wości. Gdy tak mówił i zapalał się a zapominał
ów człowiek, nie pomniał że narzędzie którego
używał ludzkim było, i w myśli swój postawi-
wszy istotę nie bywałą na ziemi, rachował iż
z ideałem do czynienia mieć będzie; a miał tyl-
ko ze słabościami i upadkiem z istoty upadłe-
mi i kruchemi. Zgarnął do kupy lud ubogi,
i począł nowy świat tworzyć...a naprzód stary
uprzątać. Wpatrzywszy się w twarz człowieka
zapomniał Boga i powiedział sobie: — Ludzkość

jest Bogiem. ja, ty, my i niema innego, a tam-
ten był na postrach stworzony.

Przypatrując się ziemi i siołu, rzekł — niema
jeno zgnilizna po śmierci, ani życia krom tego
które widzicie, reszta wymysł i łapka na was,
więc wszystko można co człek pragnie, bo nań
nikt nie patrzy, a on sam panem sobie. Słowa
jego podobały się tłumom, rzuciły się więc na
świątynie Boże, na domy wyniosłe, na ludzi co
im stali na zawadzie, na kapłanów i na możnych
i w proch rozsypał się świat cały wśród gruzo-
wisk krwią przesiąkniętych, a po nad niemi sta-
nął ów człowiek co nowy chciał świat budować,
i patrzył — Aż gdy burzyć skończono, zdziwił
się że nie było z czego budować.

— Wszyscy my równi rzekł mu jeden, więc
ja chcę nie tego co ty, a co chcę mam prawo
uczynić — ustąp mi z drogi i czyn co ci ikaże
bó mam siłę i tłum za sobą.

A drugi rzekł: Nie ma Boga i przyszłości,
więc gdy mi stajesz na drodze zepchnę cię
i nieodpowiadam jedno sobie. Litość jest głu-
pstwem niepotrzebnem.

A że ów pierwszy miał jeszcze siłę, rzekł
w duchu: Nie dosyć ofiar. Sprzątnęliśmy mo-
żnych i usunęli kapłanów, wynieśliśmy uczucie

trwogi dziecinnéj z serca, ale oto są duchy co nam zawadzają, niech wezmą ich i ubiją, bo są nieprzyjaciółmi ludzkości i mojemi.

Gawiedź ich ukamienowała i tych i wielu innych z niemi. Poczęto budować, ale nikt nie słuchał i stało się jak z wieżą Babel, tym symbolem utopij ludzkich bez natchnienia Bożego, noszono wapno gdzie trzeba było wody, a wodę gdzie piasku czekano....i nie szła budowa.

— Jeszcze uprzątnąć potrzeba, rzekł przewódzca, jeszcze oczyszczyć, ze starego świata nadto pozostało chwastów—wypłść je! wypłść musiemy.

I posłano znów na rusztowanie tysiące i krew połała się napróżno; a dzieci męczenników, śpiewając hymn szły na ścięcie, modląc się szli starcy, szły niewiasty ... jak na ucztę radosną. A gdy przestrasz i zgroza rozszerzyły się po kraju, rzekł w sobie człowiek idei — Oh, już dosyć, zaczniemy budować!

Ale nie szło mu sporo bez Boga wspaniale kleiła się robota bo każdy sobie mówił:— Dla czego on ma nami kierować, azali nie równe prawa nasze, i umysły i oczy? czemu nie ja stoję na przodzie i steruję innym? dla czego nie tłu-

maczać w prawo mi iść każą gdy ja w lewo pragnę? Precz z tym człowiekiem. I u podstawy gmachu który się jeszcze nie budował poważnili się budowniczowie i bojowali, ci co wiekuistego pokoju i braterstwa mieli być twórcami.

A na ruinach nowych siadł ten człowiek co świat chciał przerabiać i pytał się — Co jest że nie mogę jak pragnę! że myśli wcielić nie umiem? że skoro zbiję jedną wyżej stojącą głowę już się druga podnosi i góruje? Co jest że nie władam ludem i nié mam siły aby mu pannaować? że sieję ziarno a chwast wschodzi! Pójdźmy i wytrzebmy jeszcze, aż póki nie pozostaną powolni sami i jako dzieci posłuszni...

Poszli więc i posłali katów idei nowéj torując drogę toporem i rusztowaniem, a robota była bez końca i nie szła sporo ... w imię braterstwa mordowano braci, wszystko upadło na sercu i duchu, gmin i tłum głupi na gruzach i trupach bawił się pijaństwem swoim.

I stała się rzeź wielka w imię ludzkości, a ów człowiek patrzył i łza mu nie pociekła ... gdy z kolei i jego powiedziano na śmierć ... wielkim śmiechem szaleństwa i rozpaczyl skończył mizerne życie.

LV.

— Wieszże, dodał anioł, co uczynił ten nieprzyjaciół moźnych i kapłanów i władzców? oto wyrosła z nieładu wojna, z wojny bohaterstwo, z boju potrzeba porządku i władzy, a w miejsce zruconego z tronu, przyszedł żołnierz i zatknął miecz swój krwawy, mówiąc — jam panem. W miejscu rządów zepsutych dworaków, nastąpiła władza żołnierzy jego braci, w imię braterstwa ludów zawrzała wojna, dyktatura i prze-moc i uciski...

Tak się dzieje z dziełami tych wszystkich, co świat Boży chcą po myśli przetwarzać swojej, bo człowiek siebie jeno przerabiać może i powinien, — stać się Bogiem nie może, ani jasno przejrzeć, ani opatrzenie działać na jutro... Idzie ale nie wie dokąd... ślepy prowadzić niezdolny — rachuje, ale go myli rachuba w przyszłość, jakże potrafi odgadnąć czego nie obejmie myśłą? Gdzież siła by wniknął w tę z milionów składającą się całość tak rozmaistą, tak potężną, tak złożoną, w której tysiące działań się ni-szczy, przeciwważy, unieczemnia, łamie, bojuje, spiera, łączy, a cicho; jednak spełnia co im prze-znaczono.

Jestli kto, coby mógł rzec w duszy — Znam i wiem jakimi drogi idzie ludzkość, kędy i dokąd ją prowadzić! Jedni ją wiedzą na step bezwodny, by umierała z pragnienia, drudzy na paszę od której zbytku kona, inni na wędrówkę skalistą w przepaście... a Bóg tylko, co błąd ludzki obrachował, z tych pokuszeń zbrodniczych umie zrodzić skutki błogie, niespodziane. Na stepie bezwodnym konające tłumy bijąc czoły ukorzonemi, wykują źródło dla dzieci... na paszy zbytniej obżarłe gminu tysiące, usypia ciałami górę co osłoni wnuków... przepaść zasuną męczennicy, by po niej później przeszli potomkowie drogą bezpieczną.

Wielki Bóg! my nućmy Hosanna!

Biedny człowiek! my litość nie przekleństwo złożmy na jego mogile...

LVI.

— Teraz spójrz, rzekł biały mój przewodnik, jako nowi występują apostołowie w imię ducha... na tych zgłiszczach krwią oblaných, które widziałeś przed chwilą. Odkryli oni prawdę wielką, że ludzkość idzie naprzód nieprzewyciężona, ale zarazem że ją popychać po-

trzeba — ideą znowu chcą przysporzyć jej biegu.

Tysiące lat i pokoleń szły naprzód, nie wiedząc o tém, dalej a dalej samą siłą natury swęj i woli Bożęj, ale teraz dopiero, mówią oni, gdy już wiemy, że idziemy i czujemy ruch i chód, pójdziemy szybko przyspieszonym do celu biegiem. Więc naprzód — ale jak? Duchem zaszedł już człowiek od wieków tak wysoko i daleko, jako tylko mógł, wyśpiewał wszelkie uczucia, wszystką tęsknotę, każdą boleść, najpotężniejsze słowo stworzenia... pozostało więc rozumem badać, a ciałem używać!

I oto znów powstaje wielki wódz, który głosi, że boleść wykorzeni, że ubóstwo zniszczy, że dobry byt zaszczerpi i da ludzkości szczęście, w postaci nie chleba, co się Bogiem staje, ale Boga uczynionego chlebem. — Do pracy! do pracy! woła, nie do trudu ducha, nie na wyżyny natchnienia, nie do pogardy męczarń i potów krwawych, ale do pracy cielesnej, co się płaci ziemią i nią ogranicza. Dalej mrówki, do roboty... a spojrzeć w niebo nie wolno, bo to odrywa napróżno, a westchnąć się nie godzi, bo zwiększa westchnienie, a zamysleć się wy-

stępek, bo zachwyt jest czasu stratą... a zapłakać grzechem, bo łza zwałaby robotę...

Anioł smutnie spuścił głowę, a jam uczuł że patrzę na chwilę obecną, i poglądałem w ciszy, jak bezrozumem ludzkim spełniała się niewidoma jeszcze wola Boża. Człowiek pracował na chleb powszedni tylko, a trud jego i poty, budowały gmach niewidzialny przyszłości.

LVII.

Westchnąłem mijając widoki różne, które się co chwila odmieniały: tu bitwy zajadłe, tam zajadłą pracę, owdzie spoczynek martwy skostniałych tłumów, zakładane grody i sypane mogiły. W tém duch jakiś białły unoszący się pomiędzy niebem a ziemią przesunął się u stóp naszych i powiewną szatą błysnął w powietrzu. A był tak czysty i jasny, żebym go wziął za anioła, ale skrzydeł nie miał srebrzystych, i czarny warkocz rozplątany w powietrzu zdradził niewiastę, którą siła jakaś ciągnęła ku niebu, a druga przy ziemi trzymała. Jakieś uczucie ziemskie przywiązywało ją do doliny leż choć anioł nie był nad nią czystszy ni jaśniejszy. Postrzegłem ją wirowym ruchem okręcającą się w powietrzu ze złożonymi rękami

jakby na modlitwie, a potem zstępującą na ziemię.

W kolebce spało dziecko sierotka, i nikt nad niem nie czuwał, duch matki zstępował ku niemu... Bóg pozwolił jej samą być niewidzialnym aniołem-stróżem dziecięcia, które odlatując rzuciła — wymodliła sobie niepokoje i boleści dla dziecięcia, które się obawiała powierzyć duchom nawet niebieskim.

Wiemyż my co się wokoło nas i z nami dzieje, kto niewidomie nas wspiera? kto myśl przynosi? kto zasiewa ziarno dobrego, kto popycha, kieruje, wspomaga? W życiu nieraz czujemy się co nami rządzi, której się opieramy często i zaprzeczamy jej w ostatku.

Cały świat niewidomy nam błędzącym w cieniach, widziałem ztąd jasno. Nikt z ziemi nie dostrzegł tego cienia matki, która porzuciła niebo, by z dzieckiem swoim pozostać, a ofiaręby jej policzono, bo duch jej z ciała uleciał wprzód do Boga i roztopił się w jasności jego, skosztował szczęścia i spokoju, a jednak powrócił na plac walki i bojaźni, aby stróżować u wezwłowa sieroty.

I widziałem życie ducha co zawisł nad tą kolebką dzieciny, jego pracę i lzy, ruch każdy

policzyłem. — Sierotka opuszczona szła jedna, widząc cień matki nad sobą, ludzie go nie postrzegali. Z drogi dziecięcia kamyki odsuwała dłoń matki, pielęgnowała je, zasłaniała, broniła, a ludzie się dziwili opiece niewidomej, wytłumaczyć jej nie mogąc. Było to życie, które pospolite oczy cudem zowią... rzucona bezbronna sierotka, zdawała się przeznaczoną na pastwę wszystkiemu co człowieka przesładuje — chorobom, wypadkom, zdradzie, prześladowaniu, uciskom; zdawało się że stęrać się musi, że zginać powinna, że w głowie jej myśl zagaśnie na wieki, w sercu złe tylko rozkrzewi się bujnie... Ale nad dzieckiem z grobu czuwała matka, szedł za nią krok w krok cień jej, i gdy spoczęło, usiadł nad sierotą, szepcząc jej do ucha myśli pocziwe, wlewając uczucia święte. Duch czytał w sercu, odgarniał co w nim złego wyrosło, wypielął chwasty, a ludzie dziwili się podrastającej dziecinie, która kwitła piękniej, niż inne ziemskimi pielęgnowane rękoma. I poczytywano cudem, co było zagrobową miłością macierzyńską i poświęceniem.

Duch macierzy nie opuszczał dziecięcia, czuwał nad nim nieustannie, szedł krok

w krok, ludzi odpychał, serca skłaniał, siły szkodliwe rozbrajał, bronił, ogarniał i zsyłał moc Bożą na podźwignienie.

— Patrz, rzekł anioł, to najwyższa, najczystsza miłość na ziemi; bo w niej największe poświęcenie, nie ma nad nią świętszej, ani trwalszej, ani silniejszej, — jedno serce matki tak kochać umie jak Bóg kocha dzieci swoje, jedna to miłość co nie rachuje na odpłatę, nie chce nie dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmierzona, wielka, trwa do końca. Niewdzięcznością odplacona, płacze, ale przebacza; odepchnięta, powraca; zdradzona wzmacnia się, życie traci i z za życia jeszcze promienieje. Dla tego błogosławieństwo matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelnym.

Ludzie przywykli upatrywać moc i potęgę w tém tylko, co ciała dotyka, nie rachują tajemnych sił co ich otaczają. Takimi dźwigniemi są miłość, modlitwa, słowa błogosławieństwa i przekleństwa słowa, uczucie silne, ku jednemu wymierzone przedmiotowi. Znacież ich moc i potęgę! widzicie cuda czasem, ale zakryte dla was drogi, któremi spływają na człowieka szczęście i niedola. Często słowo jedno mo-

ciniejszym jest od rąk stu ludzi, jedno wejrzenie zabija i żywi, jedna wola silna rozprasza lub skupia. Niebaczni, szafujecie tém co macie najdroższego, nie znając skarbów swoich, zdaje się wam, że rychlej może podciągnąć dłoń niż dusza, a gdy Pan mówił, że wiara góry przenosić może, choć tajemnicę wam odkrył, wyście mu uwierzyli. Myślicie o podobieństwie, a w słowach Jego prawda, której skutki widzieliście dokoła, przyczyny nie nauczyliście się dotąd.

LVIII.

Co chwila spotykaliśmy duchy przykute do świata przywiązaniem jakimś, jak ta matka, namiętnością wielką, która po za granicami życia więziła ich jeszcze, tęsknicą, którą przebolewać musieli długie lata, wyziewem ziemi, z którego się obmywać musieli.

Matka u kolebki dziecka-sieroty, żona u boku męża, dzieci przy piersi macierzyńskiej — snuli się tęskniąc w rozerwaniu, jedną połową duszy do nieba, drugą do ojczyzny ziemi, z której wyrosli. Rzadki duch odlatywał wprost oswobodzony z ciała, w objęcia Boga lub w prze-

paść zapomnienia, większa ich liczba błędziła nad ziemią naszą.

I nie dziwiłem się sile tego węzła co tak mocno łączył nawet dusze nieśmiertelne z ziemią znikomą, bom sam miał wielką miłość do niej, i tęsknica porywała mnie z objęć aniołów. Łzy kręciły mi się w oku, z góry postrzegając wszystkie miejsca w których upłynęło życie moje, ponaznaczane łzami, wysypane piaskiem mogilnym pamiątek.

Błądząc okiem po wielkiej przestrzeni rozslanej pod nogami moimi, pierwszy raz w życiu obejmowałem i tuliłem do piersi wszystkie miejsca ukochane, za którymi bolałem, a niepokój ku nim mnie pędził. Splotłem je wzrokiem w jeden pęk kwiecisty.

Anioł milczał ulitowawszy się uczuciu memu a w tém zstąpiliśmy nad nieznane mi miejsce.

LIX.

Była to pustka po za wsią, cztery tylko ściany w ruinach i gruzie, po jednej z nich wyższej i wznioślejszej poznałem rozwaliny kościoła, którego tylko szczyt podparty grubszymi szkarpy nad wzgórzem ożynami i tarniną porosłym panował, a na nim chwał się jeszcze

stary krzyż żelazny, do którego przyparte było gniazdo bocianie. Po okopconych od ognia ruderach, których deszcze obmyć nie mogły, znać było, że ta ruina nie obaliła się powolnie, ale płomieniem pożartą została.

Ludzie zamiast podnieść dom Boży, dali mu upaść i nie wskriesili stariej pocziwój ojców modlitwy kamiennój. Kilka krzyżów drewnianych, kilka mogił podnoszących się nad grzbiet ziemi, kilka drzew starych współczesnych kościółkowi wiejskiemu, ubierały to miejsce smutne, zdziczałe i ciche.

Z pagórka na którym wznosił się kościółek nad urwiskiem i płynącą u stóp jego rzeką, wzrok sięgał w dal ogromną po za drugi brzeg wody, na lasy, sioła, pola i dwory. Pięknie tu było choć smutno. Słońce zachodzące złośliło szczyt upadłej budowy, a bocian klekotał na gnieździe, wróble układały się do snu w krzakach bujno rozrosłych dokoła... para krówek chudych powoli schodziła z paszy na grobach ku chatom w dolinie. Ostatni promyk słońca złoślił jeszcze przez chwilę krzyżyk żelazny, odbijał się w wodzie rzeczulki, potem zgasł nagle i mrok szary począł się rozsuwać po ziemi. Patrzałem na ten obrazek z uczuciem, gdy

wśród powiększających się ciemności, zadzwoniono w dolinie na Anioł Pański i echo poniosło daleko po rosie odgłos dzwonka wiejskiego.

Anioły lecące w powietrzu się zatrzymały i modliły za poległych. Ale nie za samych tylko poległych w krwawej wojnie.

Za poległych we wszystkich bojach, które po cichu odbywają się na ziemi, w których padają przyszy ci bez chwały i oklasku, z uśmiechem na ustach, często z pozorem zwycięstwa.

Za poległych w walce ze światem, z ludźmi, z uczuciem potężnym, z cierpieniem wielkim, z rozpaczą, tęsknotą, boleścią.

Za rycerzy ducha, za nieznaných apostołów przykładem i czynem opowiadających wiarę, za umęczonych przez braci uciskiem, miłością, nienawiścią, zdradą, niepojęciem i pogardą.

Za zgasłych w poboju wielkim w rozkwicie lat, w pełni nadziei, za wszystkich co walczyli i upadli ciałem, a nie umarli duszą.

A te duchy modlące się w niebiesiech za dusze uwięzione na ziemi, klęczące w obłokach na wysokości, wywołały kilku oswobodzonych ku niebu. Jak białe obłoczki wzniesli się w oczach moich wyzwoleni do Boga, a aniołowie popłynęli znowu na straż przy mogiłach i lu-

dziach, i w ciemnym tle niebios ujrzałem blado przyświecającą pierwszą gwiazdę wieczora.

LX.

Spoglądając na ruiny kościółka, ujrzałem mogiłę, z której przetarłszy oczy, rażno podniósł się starzec, zbudzony dzwonem na Anioł Pański. Postać to była pospolita, staruszek zgarbiony, o rysach twarzy zwiedłych, łysiej głowie i barkach pochylonych, okryty szarą switą, w ręku miał klucze i kij, którym się podpierał, — wyglądał na stróża tej ruiny i był nim w istocie. — Szybko dzwignął się z ziemi i ścieżką sobie znajomą skierował się ku miejscu gdzie były dawne drzwi kościoła, a dziś wyszarpany tylko otwór w murze rozbitym. Dla niego znać wszystko tu stało jak niegdyś całe i świeże. A w miarę jak się zbliżał ku drzwiom kościelnym, ujrzałem powstające z gruzu mury i cudem wskrzeszoną świątynię. Kościółek stał znowu jak przed laty opasany murem, z całym szczytem, z wieżyczką, sygnaturką, z ołtarzami po wiejsku przybranymi, z całą swą skromną ozdobą. Starzec zbliżył się do drzwi i odemknął je kluczem, i wszedł wewnątrz niespokojny.

Wzrok jego zgasły ożywił się na widok gmachu, który ukochał, do którego się przywiązał, który pielegnował jak dziecię swoje—spojrzał szukając pyłu, śledząc czy się gdzie co nie usunęło, czy pająk nie zasunął gdzie sieci swoich lub ptak przez otwór jaki nie dostał się do wnętrza. Przykleknąwszy w progu i pokropiwszy się wodą święconą, skierował się wprzód ku wielkiemu ołtarzowi, poprawił obrusy, ustawił dzwonki, ponaginane wyprostował świece, i wszedł do zakrystyi na prawo. Tu wszystko było w porządku, kielich jest do mszy nakryty, mszał wielki na stole, krucyfix, i alba rozpostarta i ornat przygotowany na mszę żałobną... tylko księdza nie było. Po chwili siwówłosy kapłan ukazał się w progu zakrystyi, i począł się do wielkiej przygotowywać ofiary... starzec tymczasem zapalał światła w wielkim ołtarzu, zdejmował zasłony i żywo do mszy przyrządzał. Z macierzyńską troskliwością opatrywał najmniejszy szczegół dokoła, a nigdy mu dosyć nie było, ciągle coś miał do poprawy i przystrojenia. Lichtarz nie stał na swoim miejscu, trochę wosku opadło na mense, dywanik zagiął się na stopniach, ampulki poprzechylały niebezpiecznie, pokarbowany ręcznik nie trzymał się w miejscu.

Nareszcie wszystko do mszy gotowe... kapłan wychodzi, dzwonek się poruszył i msza żałobna poczęła...

Dwóch starców tylko na kościół cały, nikogo więcej; choć drzwi stały otworem.

W cichości ta pogrobowa zaczęła się ofiara, myśmy na nią patrzyli w milczeniu i przerażeniu... umarli zastępowali żywych! Łzy płynęły z oczów kapłana strumieniem, gdy odprawiał ofiarę za ojców co stawiali dom Boży, za pogrzebionych na cmentarzu, za dzieci ich co uciekły daleko opuściwszy świątynię, za zubożonych, za rozproszonych, za rozpędzone owieczki i zginioną trzodę, za żywych ciałem a duchem umarłych!

LXI.

Gdy kapłan stojący przed ołtarzem począł wspominać umarłych, w grobach otaczających podźwignęła się ziemia, i po jednym poczęły wstawać cienie snem długim spowite, i szły szeregami do kościółka obwinione w całuny.

Kościółek napelniał się i ożywił jak przedtem, zagrały organy, zalał go pobożny tłum nieboszczyków. Niektórzy z dalekich krajów otrząsłszy ziemię obcą, która ciężkiem brzemieniem

piersi ich przygniatała, przywlekli się do kościoła pustego, którego chrzcielnica zmyła z nich grzech pierworodny; przywlekli się w śnie pośmiertnym, całując piasek domowy, i jęczeli głosem powróconych wygnańców, szukając oczyma, dawnych towarzyszków pielgrzymki swojej.

Postrzegali ich w całunach i płakali, nie poznając swoich jeno sercem, bo ich oblicza zmieniły cierpienia i mogiła. A było tam pokoleń wiele począwszy od pierwszych chrztem obmytych świętym, od tych co na swoim jeszcze pogąńskim leżeli mogilniku, i drzwi oblegając wewnątrz wniknąć nie śmieli, na maczugach oparci — potem synowie ich w grubych sukniach i prostej odzieży, wąsaci i barczyści, i niewiasty zawinięte jak wieśniaczki w skromnej odzieży, i wykwintniejsi Zygmuntowi rycerze, i piękniejszego oblicza żony ich z włoska strojne i zfrancuziałe, zniemczale, skarłale plemię późniejsze. Patrząc na to zbiegowisko duchów co na chwilę oblokły dawne postacie, trudno było uwierzyć, żeby jedna krew niegdyś w ich żyłach płynęła, jeden poprzednik, ich rodził, tak twarze i dusze były odmienne tak różne wejrzenia i pragnienia. Mieścili się tu wszyscy aż do osta-

tnich z między nas świeżo wziętych, zbolałych męczenników, którym sił na wytrwanie boleści nie stało.

Byli też starcy, matrony i dzieci w pieluchach, lud prosty i panowie, wszyscy zrównani w obliczu Bożem, jedni tylko bielsi swą cnotą, drudzy ciemniejsi namiętnościami i grzechem,

Msza umarłych ciągnęła się długo, długo, a przed ostatnią modlitwą o wieczny spoczynek, kapłan stanął u ołtarza i wyszły dwa duchy jasne z tłumu który się przed nimi rozstąpił. Było to dziewczę jak marmur blade, w długim całunie miasto zasłony weselnój, w zeschłym wianku przeplecionym cierniami, błyszczącym jasnemi gwiazdami; twarz umarłej była jak piękny posąg spokojna i uśmiechnięta nie ziemską już radością. Obok niej siedł młodzieniec, którego ducha przynieśli aniołowie z mogiły dalekiej na drugiej półkuli świata.

Kochali się niegdyś, zaręczyli, przysięgli i dwie ich dusze tęskniły do siebie przez długie lata rozdziału, aż oboje zabiła tęsknica i przysypała ziemia. Wstali znów z mogił, aby dotrzymać przysięgi i powtórzyć ją raz jeszcze przed kapłanem na ziemi. Tłum widzów stał

w poważnej zadumie, patrząc na parę zbliżającą się do ołtarza. Młodzian w piersi miasto słubnego kwiatu miał ranę głęboką a jasną, jak gwiazdy wieńca dziewiczego; przyszli razem i podali sobie dłonie, i oblicza ich zajaśniały radością, jakiej nie zaznały na ziemi. Kapłan zamiast stuly, związał ich czarnym całuna końcem i pobłogosławił w cichości... Ukłękli i tak życie prześnili przed ołtarzem, bo ziemską ich pielgrzymkę i pokutę, była skończoną.

Rozstał się znowu tłum mar i widm, a młodzi umarli z dłonią w dłoni poszli do domu mogiły, odnosząc szaty swych ciał ziemi. Czekał na nich otwarty grób, powiódł ich orszak ku niemu i widziałem jak się prochy układały przy sobie, ziemia otuliła ich ciała, i mogiła je przygniotła, a duchy towarzysze, rozeszły się powoli, do grobowisk swoich.

Gdym się znowu obejrzał na kościółek przed chwilą oświecony i pełny, ujrzałem tylko gruzy i sterczące ściany, chwasty i krzewy które je porastały, i cień od chmury osłaniający wzgórze puste. Ostatni kapłan i starzec kościelny znikli mi z oczów w czarnych mogił otworach.

Mój wzrok nad ślubną zadrzał mogiłą i westchnąłem, a anioł rzekł mi. — Zal ci ich? ale

dłuższeż wasze ziemskie życie nad tę chwilę, którą oni z połączonemi dłońmi przeszliw upojeniu błogiem, od ołtarza do mogiły?

Spojrż, rzekł, i ujrzałem dwa duchy czyste, zeglujące ku niebu, jasne, uśmiechnięte, szczęśliwe, — poprzedzały je dwa anioły, siła jakaś gnała prądem do góry, i znikli w głębiach eteru i jasności, w smudze blasku.

LXII.

Szliśmy dalej z aniołem, a kraj nasz ukończony powoli z oczów nam znikał, i z wyżyny, na którą mnie podniosły skrzydła mojego białego stróża, postrzegłem tyle ziemi, ile jój wzrok ludzki objąć może... Pod stopami naszemi rozdzielała się dziwnie rozmaita i dzika, pogarbiona górami, zaciemniona lasy, morzami oszklona, z grody swemi i dziełami rąk ludzkich, które leżały na niej prochem białym. Jak mrowie snuli mi się to pojedynczo, to kupami ludzie krzyżujący po ziemskich obszarach, a ta trwałość życia wśród ciągłej śmierci, wygnała na chwilę myśl znikomości człowieka. Umierał człowiek, ale ludzkość żyła, odnawiało się co znikło, odżywiało zmarłe, a na mogiłach bawiły się pokolenia nowe. Wielka była rozma-

itość w tym obrazie jednostajnym z pozoru, i jak niejedne lasy okrywały ziemię, tak różne narody błakały się po niej. Każdy kątek tych przestrzeni, jakby oddzielną myśl Stworzyciela wyrażał, wszystkie zlewały się w potężną, harmonijną całość.

Miedzy ziemią i jej mieszkańcami widziałem związek niedojrzany wprzód, i pojąłem miłość dla kraju i każdego kraju oddzielność.

— Każdy, rzekł mi skrzydlaty przewodnik, pracuje na swoim zagonie dla wszystkich, każdy ma słowo do powiedzenia i czyn do spełnienia. Oto jedni dożyli dni swych i spoczywają w ruinach, dopóki nie odetchną, jako człowiek znużony do życia nowego.

I wskazał mi kraj piramid i sfinxów przetrzęty Nilem i żółtymi zasypyany piaskami, z dziwnie zamartłym ludem, który duchem nie pojmował dzieł ojców swoich i olbrzymom niebieskim przepisywał ich gmachy... Ta ziemia była wielkiem cmentarzyskiem, świątynie puste, znaki i godła milczące, ogromne ruiny do pasa piaskami zawiane, miliony grobów a w nich miliony zmarłych z twarzami przeszłości... wszystko to tak zapomniane, tak nierozwikłane, tak przez wnuków zabyte, że im obcy przy-

chodnie własną ich przeszłość musieli tłumaczyć.

Nad tą wielką pustynią obce panowie, długa cisza cmentarzowa... Taka śmierć całego narodu, zabycie przeszłości, zerwanie związków z własnego życia ciągiem, nie jest li najstraszniejszym z widoków na ziemi? Jakże płakać nad znikomością jednego człowieka, gdy całe narody tak nikną? jak żądać by życie jednostki świeciło z po za grobu, gdy pokolenia całe wielkich ludów spią bez kamieni mogilnych... a wnuki się ich zapierają. Jestli co ludzkiego trwałem, gdy różne państwa tak się w proch sypią, one co się tak o uwiecznienie swęj pamięci starały, których życie było ciągłym warunkiem od śmierci? Przez nie, rzekł Bóg świata: patrz, czém są dzieła twoje, oto lud, który żył kopiąc groby wiekuiste, rzeząc napisy, aby pamięć jego nie zginęła, spowity w hieroglify—a zginiony jak inne. Trwają kamienie ręką jego wzniesione, w kopalniach głazu pozostał młot i dłuto co hieroglify wyźlbiało, a język i pamięć i nazwisko jego, wiatr rozbił w pustyni, o piramid boki.

LXIII.

Prąd co nas unosił, powiał ku brzegom Grecyi, wesolej krainy wielkich mężów i czynów, tu jeszcze żyła pamięć wszystkiego, ale winny sposób bezsilna, bo odrodzić przeszłości nie mogła. Wszystko zdawało się małe, drobne, budowy ich sławione, grody wielkie, góry śpiewane przez poetów, strumienie, których imiona poetycznie rozlały się po świecie. Wśród tych gór u brzegu tego morza, rzekłbyś inny lud mieszkał, tak w piersi jego nie z dawnej niepozostało wielkości. Ida, Olymp jak ludzie i ludzie jak góry zmaleli. Na wielkich Bogów Grecyi i bohaterów dziejów olbrzymich nie było miejsca w ciasnej Helladzie. Troję okrywały krzaki karłowate i kamienie otłuczone, a pastuch nie nucił pieśni Homera. Śpiewał pieśń pół rozpustną i pół zbrojecką.

— Lud ten, rzekł mi duch mój, — nie ryl na marmurze, ani pisał kamieniom, a żywot jego przeszły jeszcze dziś żywy i przytomny, tak że w obec jego scena poematu maleje, i wszystko to zda się drobnym i lichym... czyny bohaterów przeszłości trudno pomieścić na tym skrawku ziemi. Bo tu panował duch

wielki, i poryw i przecucie dobra. Jak lud Izraela posłował do ludów pogańskich z ideą jednego Boga, tak Grecja zwiastowała im ideę poświęcenia, cnoty, bohaterstwa. Sokrat był przecuciem nowej ery, Plato prorokował przyszłość, posągi natchnione wyprzedziły pojęcie sztuki, gmachy układały się w linie wdzięku pełne... Spartańczyk hartował już ciało któremu hamulec i wędzidło miała włożyć nauka Boża. Tu wszystko w zarodku, to cała poezja przeszłości ludów, a co z niej uleciało, dziś jeszcze świetnie niezgasłe. Tam u Nilu potęga prawicy ludzkiej wyraziła się głazami, których głoski pozostały niewyczytane, tu nie ma napisów a żyją słowa, a czytasz dziś jeszcze przeszłość Grecyi.

U waszych mędrców co wierzą w ziemię i ciało, powiedz mi, — wiódł dalej duch — jak wytłumaczyć tajemnicę zniknięcia ludu i przemiany jego... Toż samo niebo, też wody, te morza co były, też krew, co w żyłach ojców płynęła, dla czegoż dawna Grecja odradza się w karłach niedołężnych, w handlarzach nikiemnych, w narodzie zubożałym na duchu, który raz tylko dzwignął się rozpaczą wielką i zwycięzca upadł gorzej, niż gdy był zwycię-

żony. Dla czego nie kwitnie tu ani sztuka, ani pieśń, ani duch Sokratesa i Platona? czemu nie wnijdzie znowu ślepy Homer? a pieśń dzisiejsza taką przestrzenią dzieli się od starój... Ziemia, ludzie, ciż sami, ale młodość ich przeszła i posłannictwo skończone. — Bóg chciał, zamknęły się lata chwały, a poczęły lata pokuty.

Pogodny dzień z niebem jasnym i skwarem ubielonym świecił Athenom... gdyśmy stanęli nad niemi, i późno tu było szukać ich dawniej świetności... nad upadłemi pomnikami ich zielone drzewa i smutne minarety panowały nowym życiem. Szczątki Parthenonu, świątynia Thezea z żałobną palmą jedyną, kilka kolumn, trochę murów odartych... oto co pozostało z starego grodu Minerwy. Wzgórza otaczające nagie lub porosłe blademi gajami oliwnemi, krzakami cypru i myrtów, nie miały już starych nazw swoich... przecież to były Ikar, Hy-mett... a wody wyschłe zwały się Ilisem, Kal-linohoe, Cefyzem... Wielkie milczenie wieków, wśród którego ani słyhać było gwaru nowego życia, przygniatało stolicę Alcybiadesową. Anioł wskazał mi przed latarnią Diognesową mnicha modlącego się na ruinach.. w tej modlitwie była jeszcze iskra przyszłości.

Agora, była powszednią targowicą, a prozaiczny zegar Elgina wybijał godziny konania.

Wzrok nasz poleciał ztąd przez Ceramik i równiny Cefyzu po nad ruiny Elusis, nad górę Cerate, nad Megarę, ku staremu Koryntowi... Tam stała twierdza Muzułmańska, a u pegazowego źródła piły konie obcych wędrowców... Góry Delfijskie spały, żaloba i pustka były wszędzie... jam płakał... anioł uśmiechał się spokojnie.

— Jedna to zbutwiała karta dziejów, jakich tysiące porwały wiatry... Umierają ludzie i ludy, rodzą się dzieci obojgu, wstają pokolenia nowe... lecz wszystko ziemskie trwa chwilę... jak twoja łza

.
.

Żytomierz d. 30 marca 1857 r.

J. I. KRASZEWSKI.

ABRACADABRA

CHARACTER

ABRACADABRA.

ABRACADABRA.

CHARAKTER.

W wędrówce życia nieraz spotykają się twarze, których po długich latach zapomnieć trudno. Złożone z pierwiastków najpospolitszych, choć w rysach ich nie ma nic na pozór uderzającego, całością swoją ryją się głęboko w pamięci. W pierwszych chwilach, naprzykrzają ci się nieustannie zwijając przed oczyma, przypominają po długich upłynionych latach a gdyś się ich pozbył nareszcie, lada podobieństwo znowu je w całości odradza i na myśl żywo wo przychodzi.

Jedną z takich twarzy była dla mnie towarzysza studjów w uniwersytecie, a chwilowo na jednej ze mną siedzącego ławce, Iwona Draga, najoryginalniejszego z ludzi, jakich mi się w życiu widzieć trafiło, choć się więcej oryginalno-

ści bronił, niż starał o nią. Kiedym go poznał, poczynałem kursa ośmnastoletni, on na nie chodził od roku, czy więcj, a dziesięć lat może odemnie będąc starszy, i dobrze już nawet skutkiem pracy i zawczesnej starości podłysiały. Był to mały człowieczek krępy, dobrze zbudowany, choć wcale nie tłusty, ale muskularnej budowy; silny znać i choć bladój, żółtawej, ale zdrowej cery. W rysach jego twarzy nie było nic szczególnego i paszportową formułą dałaby się wiernie opisać tak, że rysopis ten przystałby do wielu innych: twarz okrągła, nos mały, usta zwyczajne, oczy ciemne, włosy ciemne, żadnych znaków szczególnych. Ale pomimo to, wcale niezwykajna i osobliwsza całość rodziła się z tych tak prostych materyałów budowy. Czoło miał wypukłe, nad oczyma zwieszone sklepieniem, gładkie, niekiedy tylko składające się w trzy wielkie majestatyczne fałdy; — oczy okrągłe, żywe, biegające, i niesłychanej siły wzroku, nos istotnie mały, prosty, ale wycięty jak nozdrza araba, usta drobne, których dolna warga odstawała. — Brwi ciemne w prostej linii rosły mu nad oczyma, i schodziły się gdy czoło fałdował jak u Jowisza piorunującego. Zresztą nie był on ani piękny, ani odraża-

jący, twarz miał typu surowego, zamysloną, coś w niej było napoleońskiego; ucho małe, nogi i ręce kształtne, ale postać jego niknąca łatwo w tłumie, za zbliżeniem się do niej nieopisane czyniła wrażenie, zwłaszcza gdy się go raz pierwszy spotkało. Ciągnął za sobą oczy; chciało się go śledzić i zgadywać, czując, że pod tą zimną maską spoczywa jakaś wielka tajemnica psychologiczna.

Jątrzyło to tém bardziej, że mimo największych zabiegów i łatwości poznajamiania się jaka zwykle towarzyszy koleżeństwu akademickiemu, nikt go, prawdę powiedziawszy, bliżej nie znał. Zjawia się na niższych kursach, uczęszczał na nie czas jakiś, potem najdziwniej zmieniał przedmiot swych studyów, brał inny, chodził pilnie i notował, pracował, a po pewnym przeciągu czasu, przerzucał się wkrótce do nowego i najmniejszego z nim nie mającego związku.

Znać że i professorów fizyonomia jego uderzać musiała, bo Capelli często się do niego ze swemi dowcipami na prawie rzymskiém obracał, na które on ledwie półśmiechem wątpliwego znaczenia odpowiadał, inni jakby mimowolnie pociągani siłą jakąś, skierowali do nie-

go tłumaczenia, objaśnienia, a czasem nawet pytania. On rzadko się odzywał, choć znać było, że dobrze o co chodziło rozumiał; trafiało się jednak, że sam *proprio motu* zainterpelował nauczyciela i niepospolicie go zawsze zagadnął, tak że z trudności o której rozwiązanie z udaną naiwnością prosił, mistrzom się nawet trudno było wywikłać. To wszystko, dawało o nim ogromne wyobrażenie, ale ilekroć kto z nas chciał się doń zbliżyć, uśmiechnął się pogardliwie niemal, ruszył ramionami, rzucił ledwie słowo i zaraz uciekał jak od powietrza. . . .

Daliśmy mu z wypadku przezwisko Abracadabra. . . . Był bowiem czas, że chodził na medycynę, i gdy o febrach przepuszczających była mowa, a professor szeroko nam historią pojęć téj choroby wykładał, sposób leczenia jéj w dziełach najdawniejszych medyków, przed odkryciem specyfiku chinu, czytając mnóstwo formuł średniowiecznych, nasz Iwon wysłuchawszy go z wielką uwagą i serio, odezwał się w końcu, że pan professor opuścił jeszcze jeden bardzo ważny sposób kurowania feber za pomocą papierka na którym wypisywano mystyczny wyraz Abracadabra, dając go zażywać choremu, co najupartsze febrę leczyć miało.

Trudno odgadnąć w jakiej intencji to dziwactwo przytoczył, ale gdy usiadł odezawszy się z tą niedorzecznością, śmiech ogólny obudził, a professor choć śmiał się także, jakoś nieśmacznie i półgębkiem.

Odtąd Iwoną poczęto powszechnie nazywać doktorem Abracadabra. A że charakter jego tak nam się zdał nierozwikłany, jak znaczenie tego kabalistycznego wyrazu, jużśmy raz dawszy mu ten przydomek, inaczej do nazywać nie mogli, tak wybornie do niego przystał.

Ta zagadkowa postać wśród młodzieży daleko od niej ruchawszej, żywszej i ogromnie odmiennéj, nie mieszając się do codziennego jéj życia, dojrzała od niej, uderzająca rozważą, namysłem i wytrwałością, drażniła nas niepospolicie. Ale żaden figiel ani pochlebstwo zbliżyć nas do niego nie mogły, widać z planu unikał towarzyszków. Widzieliśmy tylko, że stał gdzieś na bernadyńskim zamku, a ja doszedłem że o dwa tylko domy od kanonicznej kamienicy w której na dole parę zajmowałem pokojów. Miał tam izdebkę jedną, sam sobie usługiwał jadł nie wiedzieć gdzie i co, zamykał się na klucz i pracował, a gdy wychodził na przechadzki,

to gdzieś tak się błakał, iż nikt z nim spotkać się nie mógł.

Większa część kolegów dała za wygraną doktorowi Abracadabra, ale ja z sąsiedztwa w uliczce i ciekawości wrodzonej, wciąż go nie spuszczałem z oka, nie chcąc nawet przypuścić, żeby dla mnie miał zostać wiekuistą zagadką. Spotykaliśmy się niemal codziennie wychodząc, wracając i choć nibyśmy się z sobą nie znali, uważałem że Abracadabra spoglądał na mnie z podelbą, a złapawszy moje zaciekawione wejście, ruszał ogromnie ramionami i zżymał się z gniewu, którego wcale nie miał, chcąc mnie nim zapewne odpędzić. Trwało to niepamięć już jak długo, gdy przez dni trzy czy więcej znikł mi z oczów, a że to było w pośród roku akademickiego i Abracadabra bardzo był pilnym uczniem, nie mogłem sobie wytłumaczyć, co by się z nim stało. W końcu pomyślałem, że jak rzucał dotąd jedną naukę dla drugiej, tak mógł nauki całkiem porzucić dla czynnego życia.

Gospodarz domu, w którym stał, był mi zdawna znajomy, był to poczciwy na wpół spolszczały Niemiec tłusty, gruby, narodową szlafmycę piastujący na wypogodzonem czole, jak

godło spokoju duszy i mający przy dobrem sercu a flegmie bezprzykładnej tę tylko jedną śmiesznośc, że najgorzej w świecie po polsku mówiąc, miał się za wybornie posiadającego ten język i utrzymywał, że trudno go było poznać od krajowca. Ztąd lubiał nim mówić i byle go kto chciał słuchać, gawędził chętnie, a mnie choć młodego, ale w mundur uczony ubranego, do językowych swych popisów przypuszczał. Ażeby się nawet lepiej zamaskować z niemieczyzną, nie mogąc poświęcić szlafmycy, bo by to za wiele go kosztowało, fajkę swą niemiecką porcelanową z Fryderykiem Wielkim. zmienił na antybkę i stambulkę, z której kurząc Wagsztaff zasiadał w oknie z powagą sułtana. W tém oknie wisiał barometr, druga namiętność poczciwego Wiganda, bo codziennie bawił się jego zmianami i przepowiadał zeń bodaj swój kuchare, czego się można było nazajutrz spodziewać.

— A co panie Wigand, spada barometr? spytałem go kłaniając mu się w przechodzie obok kamienicy.

— Ni! ni! ni! Ani włos! do góra stępuje!

— Czyż być może?

— Na mój honor! do góra!

— Więc będziemy mieli pogodę?

— Będziemy mieli pogoda... *nie pewnego* (zamiast *nie pewniejszego* zawsze się tak wyrażał pan Wigand, nie domyślając się wcale omyłki.) Było to polskie przysłowie Niemca, często je powtarzającego.

Zatrzymałem się przed oknem.

— Jak to miło rzekłem, wiedzieć tak naprzód wolę Bożą i być pewnym że za kołnierz nie kapnie! Ot, gdybyś pan miał parę izdebek próżnych, dla pańskiej konwersacyi i barometru gotówbym się doprawdy przenieść do pana....

— Ho! ho! uśmiechnął się z wyrazem uradowania, nieco poruszając szlafmycę—Nie prawda! barometr, to jest wielka satysfakcja.

— Bardzo wielka!

— Bardzo miłe zajęcie czasów!

— Niezawodnie, panie Wigand!

— A co pan myślisz? właśnie i stancja u mnie może być wolna....?

— Gdzie?

— Tu na dole....

— Doprawdy? któraż?

— Jak ten mruk umrze....

— Jaki?

— Jaki? A wasz kolega Drag.

— Cóż to? czy chory? spytałem niespokojnie.

— To nie że on chory, rzekł, ale głupi.... Bardzo regularny człowiek, nie ma słowa, prowadzi się dobrze ale.... pokazał na głowę.... ewieka ma!

— Cóż mu jest?

— Kto go tam będzie wiedzieć? jak zachorował, zamknął się i nikogo do siebie nie puszcza.... diabli go wezmą, bo ciężko chory, będzie kłopot z pogrzebem.

— Jako? nikogo przy nim, ani sługi ani przyjaciela?

— Nikogo.... zaryglował się na klucz, i gotów umrzeć.

— Ale pan musisz mieć klucz drugi?

— Mam, a na co mięszać się w nieswoje rzeczy....

— Dajże mi pan, zawołałem, znam go trochę, będę miał o nim staranie....

— Nie przyjmie.... wypchnie.... wyłaje.... darmo! rzekł Niemiec, już my próbowali....

— Nic nie szkodzi, odpowiedziałem, niechże ja spróbuje jeszcze....

Wigand pomyślał, dał mi klucz z kołką obejmujący i pokłonił się; ja wprost pędem po-

biegłem do izdebki wskazanej. Szczęście że zamykając się na klucz ze środka, klucz z zamku wyjął dla niepoznaki; po cichu więc otworzyć drzwi mogłem, i niezbudziwszy chorego wewnątrz się ostrożnie. Była to izdebka mała, ciemna, o jednym z dziedzińca kraciastém okienku, a że dom Wiganda należał do szczupłej liczby tych budynków których liczne pożary jakim Wilno ulegało, nie dotknęły;—miała charakter XVII wieku wybitny jeszcze. Przytłaczała ją ciężkie płaskawe sklepienie, głębokie framugi z pulkami i szafami, kapryśnie rozpościerały się po ścianach, wyżej i niżej bez żadnej regularności i planu; szczupłość czyniła ją czémś bardzo przypominającym więzienie.

Obejrzałem się i mrowie przeszło po mnie. Drag leżał wyciągnięty na lichęj pościółce, wyprężony cierpieniem, ręce podłożone pod głowę, usta zacięte, czoło zmarszczone, znać usnął zwalczony znużeniem wśród bólu, który siłą ducha przezwyciężył. W izdebce był tylko dzbanek wody, szczątki chleba, talerz natłuczony, i mnóstwo książek i papierów. W kątku stał prześliczny skelet, w przerażającej postawie szermierza z fleretem w ręku robiący mimowolnie wrażenie wyzywającej życie śmierci, tak

ruch jego był naturalny, gwałtowny, przerażający szyderstwem....

Obejrzałem się raz jeszcze i na palcach przystąpiłem do łóżka; Drag spał, ale rozpalony cały, buchając ogniem gorączkowym, niekiedy drgnął, zaszamotał się, to znów wyprężył, to znów słowo niewyraźne wyrwało się z ust jego i zacinął je zaciskając zęby; panując nad sobą nawet obalony chorobą.—

Nagle jakby instynktem poczuł przy sobie sąsiedztwo żywej istoty, wzdrygnął się, siadł na łóżku, otworzył na mnie oczy iskrzące ogniem gorączki i zawołał:

— Co ty tu robisz! śledzisz! szpiegujesz? idź precz próżniaku... idź precz!

— Przyszedłem ci posłużyć...

— Nie potrzeba! nie potrzeba!... idź sobie...

— Chcę ci pomóc...

— Kto cię prosił?

— Obowiązek...

— Dziecinna ciekawość... idź sobie!... To mówiąc położył się, a raczej obalił, wołając jeszcze słabnącym głosem—Idź precz!

Z ostatnim wyrazem znać opuściły go siły, zamknął oczy, zaciął usta i wyciągnięte oczy, zmarszczone czoło świadczyły tylko o srogiem

cierpieniu. Nie mógł się zdobyć na więcej. Po-
znałem, że tu bez rady doktora sam nic nie
nadam, po cichu więc wymknąłem się, zary-
głowałem drzwi znowu i poleciałem do pro-
fessora Abichta, bo mi było najbliżej do mu-
rów uniwersyteckich. Ale Abicht swoim zwy-
czajem choć najwięcej może ze wszystkich pro-
fessorów miał nauki i serce najpoczciwsze, od-
mówił rady, bo w praktykę niewierzył i nie
miał ufności w sobie właśnie przez zbytek
nauki.

Pobiegłem do Rynkiewicza któregom nie
znalazł, do Porcijanki, i tego w domu nie było
nareszcie do Korzeniowskiego, który nigdy za-
dnemu z uczniów nie odmówił pomocy. Odma-
lowałem mu położenie Draga, i za chwilę by-
liśmy u niego. Ale trafiliśmy już na delirium
i gorączkę w której gadał z niesłychaną szyb-
kością i wymową... Professor i ja jak wkuci
zatrzymaliśmy się na progu.

— Nie! wołał, nie zmożesz mnie siłą niszczą-
ca... jestem młody, mam wolę potężną, mam
przyszłość... zwyciężę! Czuję przed sobą ży-
cie... muszę je zdobyć... Zajrzę na dno tej
wielkiej tajemnicy, której znam tylko zadanie,
a rozwiązania nie pojmuje.

— Wszystko głupstwo dodał po chwili — na
dnie wszędzie człowiek ze swoją małuczkością
i dzieciństwem... w każdym bohaterze siedzi
w kątku kawałek błazna i trochę smarkacza....
Ot, ot, zdaje ci się żeś w nim schwytał wyższą
istotę, a już się wyslizga i przedzierzga w ma-
łoletniego roztrzępańca. Zaczyna jak prorok,
kończy jak szewc pijany... doskonale śmieje się
z głupstw cudzych, a swoje ma za całkowicie
usprawiedliwione... toż samo w życiu i nau-
ce... a wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zaba-
wki, a *on* wielkie *X* nieznane tylko dla tego by
trójkę Platanowską dopełnić.

— Co mi pan mówisz, ofuknął się z cicha
professor, on chyba udaje delirium, nie deli-
ruje...

— To być nie może, zbliż się pan... rzekłem.
Podszedł do łóżka pan Korzeniowski i zdumiał się, Drag oczywiście był nieprzytomny,
obłąkany, ale pot występujący nań silnemi gro-
chowój wielkości kroplami zwiastował kryzys.

— Natura silna, wyjdzie cało! rzekł po cichu...

— Czegóż mu potrzeba? spytałem, by natu-
rze dopomódz!

— Nic w tej chwili prócz spokoju, co się
miało stać już się stało, przebędzie dzień dzi-

siejszy, w stanie osłabionym, wyłysieje na nowo, i ta choroba na długo uwolni go od innych.

Dobrze się stało, że mu lekarz nie przepisał, bo prawdziwie nie wiem, jakbym był mógł mu dawać lekarstwo, i namówić na nie. Lekarz usiadł przy łóżku ostrożnie i z cicha, ja stanąłem za nim i tak dywagacyj jego w których jeszcze był związek i przytomność słuchaliśmy. Drag się rozśmiał.

— Widzę, rzekł — nie, nie, nie jesteśmy tak źli, jak się zdajemy, ród ludzki składa się tylko po większej części z cieląt ze skrzydłami udających anioły i cieląt z rogami, któreby rade za djabły uchodzić... przecież cielę cielęciem. Ja sam mam w sobie coś cielęcego... zagapiłem się na naturę i naraziłem na śmierć, odrobinę ciepła zwierzęcego, oddając chłodnej atmosferze... Było za co tyle cierpieć... by nic nie zrozumieć... Cóż ciekawego natura? wszystko jest nieco słabszym odbiciem co i my, jednego ducha, jednej myśli... Natura... dosyć głupia dekoracya, nieosobliwszej sztuki, której aktorowie ról się nie pouczali... aleśmy dzieci!!

— Otóż Plato! zawołał... jak się masz, stary marzycielu! A! a! cóżeś to popisał w Timea-

szu? śmiejesz się, sam wiesz że to atomy, to wierutne bałamuctwo poety... Jak się masz Arystotelu! dużoś zgadł, ale wątpię, by ci się przyśniło, że ludzie tak długo iść będą, trzymając się twego ogona... Siadajcie panowie... siadajcie, to przynajmniej jakie takie towarzystwo... nie tych błaznów co mnie zwykle otaczają... Pomówimy szczerze, bo w książkach naszych, jest, przyznacie, dużo deklamacyi, komedyi i blachmalu... No, panie Platonie, nieprawdaż? poetyzowałeś na karb pocziwego Sokratesa... A waćpan Arystotelu, trochę nie w swoją rzecz się wdałeś, chcąc całej naturze przepisać prawidła bytu... choć wywinałeś się z tego i wyłgałeś ze zręcznością więcej niewieścią niż mężką, figlami raczej niż zuchwałstwem... Ale otóż i kochany Sokrates! Siadaj i waćpan, choć na łóżku... patrzę na ciebie z poszanowaniem i trochę szyderstwa. Co za passya, koniecznie chcieć uczyć i świat przerabiać, żeby się dopracować cykuty, paskudnej miksury, i skończyć na cielęcej ofierze koguta Eskulapowi... Doskonały ten twój kogut; Cha! cha! płynął, płynął, a na brzegu utonął! Składasz go widzę, na Platona, który ci przyszył ten strzępek... ale ba! Platon klnie się, że isto-

tnie była mowa o kogucie. Ty, którego za bezbożnika osądzono, tłumacz się, nie tłumacz, postąpiłeś tak jak nasi niedowiarkowie, co na łożu śmiertelném rehabilitują się spowiedzią. Był kogut w robocie! cha! cha! i Sokrates człowiek.

— A toż kto? zapytał nagle zmieniając głos — ale ba! otworzyć drzwi tylko, to ci nieproszonych gości nasunie się bez liku... Widzisz waćpan kto tu jest zemną, a leziesz jakbyś wart był siedzieć przy tych uwieńczonych bałamutach, prosty szarlatan jarmarkowy.

— Któż to taki znowu? spytał zaciekawiony professor....

— Nie wiem, słuchajmy... Nazwiska nie dosłyszałem...

— Idźże precz Bombaście... Najlepszym dowodem postępu ludzkości, jest właśnie przyjsie Alberta W. i Paracelsa po Aristotelesie... Cha! cha!

— A precz kuglarze! precz! Prosiemy pana Bakona, który z tyłu wygląda. Co waćpan nam powiesz? Wyłożysz zapewne swoją teorią wiatrów, dowód jak doskonale umiałeś zasadę przez się znaną zastosować. Nie wstydz się waćpan, wszyscyśmy głupi, nie z jednej, to z dru-

gięj strony.... możesz sobie siadać mimo teorii wiatrów i innych twych bredni. Ależ mi ich tu nachodzi! Czy nie zamknąby już drzwi! Augustyn syn Moniki! Kląnam uniżenie.... Jedno piękne jakim znalazł w legendzie waćpana, to owo chłopię co to wielkie morze dłonią w małeńki dołek przelewać chciało. Gród Boży wziął z neo-platońskiej szkoły, nie z Platona, boś nawet po grecku nie umiał, to wiadomo... Mniejsza o to! ale duch był wielki! Głową i czołem przed potęgą ducha! Tertulian! dajże mi pokój, skończyłeś kaccerzem z wielkiej mądrości, urwało się na końcu. Hippokrates chce bym mu język pokazał... masz go jak długi, ale cóż z tego, kiedyś nie znał anatomii... chyba proroczko zgadniesz co mi jest, kiedy nie wiesz co w sobie mam... Czegóż się to gniewać! tak jest! A rady nieczyjój nie potrzebuje, bo i sam wyzdrowieję, czuję, chcę, muszę, bywaj zdrów, bez was wszystkich dzwignie mnie młodość i wola...

Zamilkł, ale oddychał ciężko i rzucał się przez chwilę.

— Czy zawsze tak świat będzie piękny jak dziś? Starzy mówią wszyscy od lat tysięcy, że im brzydniej, więc nie świat piękny, ale pię-

kno w tych oczach co na niego patrzą. Dziwne przeznaczenie... na Boga, mozolić się, pracować, boleć, tulać, walczyć, podnosić duchem, i potem znowu na upokorzenie, starzejąc tracić wszystkie mozolnie nabyte władze, słabnąć, niszczyć, zapominać, ziębnąć, by umrzeć prawie tak głupim jak się urodziło! Ale czy wola ludzka nie może zwyciężyć nawet starości? nie wiem! Sądzę! nie rozumiem... Ale czym sobie głowę suszyć... wszystko zabawki i fraszki...

Zamilkł podśmiewając się po cichu.

— Nikogo, rzekł — żywój duszy... takie przeznaczenie moje — nigdy nie mieć nikogo, urodzić się nie wiedzieć gdzie i jak, jak grzyb nad drogą w zgniłym pniu, na kupie gnoju... być wykarmionym z łaski, rzucony na łaskę losu... i sierotę zostać na zawsze... a pokazać, że wola wszystko zastąpić może, zwycięży i przemoże wszystko... Nie znałem ani ojca ani matki, ani serca... i nie potrzebuje ich, miłość zmiękcza, rzecz babska, na nic się nie zdało kochać... posiąść chcę, nie miłować... Pokraję świat w kawałki i zjem go po troszę... może też przy tej operacyi dobędę się do jego serca i zobaczę co bije na dnie.

— Biedny człowiek — rzekł professor z lito-

ścią... Kto wie co go czeka, to organizacya potężna... ale w piersi pusto, zaschło serce... straszny człowiek...

To mówiąc oddalił się na palcach, ja zostałem przy chorym, i nie mogę wypowiedzieć z jakim zajęciem śledziłem tę zagadkę, którą dla mnie była ta istota. Całą noc następną drżąc przesiedziałem u jego łóżka, zasłoniłem okno płaszczem, żeby go zawczasie nie obudziło światło, spał coraz się uspakajając, kilka razy tylko ciężko westchnął, ale z oddechu coraz regularniejszego znać było, że gorączka ustępowała. Nazajutrz ku wieczorowi dzwignął się powoli, ale powstać nie mógł, tak był złamany, stęknął i upadł na łóżko znowu. Przystąpiłem do niego... okiem zdziwionem powlókł po mnie, jakby sobie przypominał kto jestem, chciał odepchnąć, potem po namyśle zażądał abym mu pić podał... Pobiegłem po napój wskazany przez doktora na przewidziany wypadek pragnienia, orzeźwia i słabszym głosem, nie podziękowawszy nawet, wybąknął tylko: — Idź-że już, idź... dość tego... nie potrzebuję nic...

W istocie spokojniejszy już mogłem go teraz opuścić postanawiając odwiedzać, aby choć

parę razy w dzień miał pomoc, którą tak niechętnie przyjmował. Zdawał się oswajać ze mną, jadła którym mu przynosił nie odrzucił, robił com mu wskazywał, był posłusznym wcale, ale zaledwie sił nabrał trochę, zarygłował się zaraz ze środka i więcej mnie już dopuścić nie chciał, zbywając milczeniem. Chłopiec od p. Wiganda nosił mu jadło, na które dawał pieniądze, i napój, po który posyłał do apteki.

Ja dopełniwszy obowiązku i nie chcąc mu się więcej narzucać, od tej chwili odstąpiłem go, i gdy zbladły wyszedł, a spotkaliśmy się w kilka dni potem parę razy na ulicy, udałem że go nie widzę, żeby nie żebrać podziękowań, którychem wcale nie potrzebował.

Uważałem tylko, że człowiek ten tak nadzwyczajnie był siły, iż po najcięższej chorobie, po którejby inny niezmiernie długiego do wyzdrowienia i powrotu do siebie potrzebował czasu, on cudownie prawie w miesiąc pokrzepniał, dźwignął się, i wypelzła nawet głowa, nowym mu się zaczęła pokrywać włosom.

Po staremu wrócił do dawnych obyczajów odludka i do nauki. Nie gadaliśmy do siebie znowu i trwało to bardzo długo, a ja już nawet

byłem potroszę gorączkowych jego marzeń zapomniał, gdy jednego razu z największym zadziwieniem mojem, postrzegłem go wchodzącego do mojego mieszkania. Upiór by mnie więcej, zdaje mi się, nie zdziwił i nie przestraszył. Była to godzina spoczynku, grałem na fortepianie i ręce przyrosły mi do klawiszów, pobiegłem opamiętawszy się ku niemu, ale on ledwie skinawszy głową, obejrzał się w koło ciekawie i usiadł jak w domu.

— Przyznam ci się kolego, żeś mi wielką zrobił niespodziankę. Uśmiechnął się z pewną dumą.

— Chodzisz na literaturę, odrzekł krótko — mówmy jak ludzie oszczędzając słów próżnych! prawda to!

— Tak jest, odpowiedziałem.

— Osobliwszy wybór... co to jest literatura? Bałamuctwo! belkot dziecinny! próbki słabości! co się tam uczyć... Dla czegoś to wybrał!

— Nie czułem się zdatnym do czego innego.

— A za tém chyba do niczego, odrzekł... bałamuctwo, czegoż się uczysz i co będziesz umiał, gdy tę literaturę skończysz?

— Języki, historia... filologia...

— Instrumenta ... do czego? Całe więc życie myślisz fabrykować instrumenta, ale dalej? cóż dalej?

— Nie wiem rzekłem, ale poznanie literatur...

— To jest poznanie jak dwudziestu czterech zarozumiałców lub pokaleczonych śpiewali jedną pieśń coraz inaczej i coraz gorzej, a drugich dwudziestu czterech udawali ich potem ... bałamuctwa!

— We wszystkim równie człowiek jest człowiekiem ... i tu go poznać można, równie jak przez ścisłejsze nauki....

— Ale tu bo chodzi o poznanie Boga nie człowieka! rzekł Drag — a co mi z anatomii cielecia? wszystkie cielecia są jako jedno ciele... Co to literatura? szwargotanie, zabawka! popis! do czego to prowadzi, do urodzenia niepotrzebnej powtarzanej komunałów, które jutro znów zostaną zapomniane, bo słusznie na to zasługują... Jeżeli ci poważniejsza nauka nie smakuje, to szukajże chleba...

— A jeśli i chleb mi nie smakuje?

— E! dziecko jesteś i umrzesz dzieckiem...

Przepowiedział, niestety!

— Waćpan ratowałeś mnie w chorobie, ja go chcę poratować w obląkaniu... jesteś wi-

domie chory na poezią... Ale to produkt chorobliwy jednej tylko pory i godziny żywota... dalej, później, starzejąc, przekonasz się o niepodobieństwie poezji, i uschniesz jak krzak którego kwiaty były pełne, i przez to że były pełne, owocu dać nie mogły... bo pręciki nasienne przeszły dla zabawki w cześć liście pachnące i kolorowane, ale więdnące po godzinie życia.

— Nie widzę jeszcze czém to gorsze od nauki, która także jest tylko owocem chwili w życiu człowieka...

— Jakto chwili? zawołał — uczyć się można do śmierci!

— I w końcu nic nie umieć, lub co na jedno wychodzi, za wiele...

— Nauczyć się niewiadomości, pokory! a! to ogromna nauka! zawołał — a nauczycie tego poezja?

— Sądzę, że równie przynajmniej jak matematyka, medycyna, filozofia... i teologia...

— Tak, tylko gdy cię ona tego nauczycie, nie będziesz już w ówczas poetą... bo słowo zwątpienia na ustach, wszelki ogień w sercu zgaśnie... Bądź zdrow.

Wyszedł i tyle go widziałem.

Mogily.

Z największym zadumieniem mojem, na drugi rok odmieniwszy mieszkanie i zajmąwszy nowe w domu Orłowskiej, na wysokościach, w których mi tak było dobrze... raz ztąd poszedłszy na mszę świętą do Bernardynów, spostrzegłem w kościele Draga... osłupiałem znajdując go na modlitwie.

Śledziłem go gdy wychodził z kościoła.

— A co? spytałem w kruchcie... poezja językiem wiary i do twojego przemówiła serca...

Spojrzał na mnie ostro.

— Mylisz się, rzekł, wiara przemówiła językiem poezji... ale nie myśl bym był pod panowaniem jój... jestem panem siebie... Cóż z tego że we mnie biją wszystkie tętna ludzkości, nie chcę ich uderzeń tamować... żyję chwilami sercem i szukam przez wiarę, okna na świat lepszy.

— Daj Boże zawsze żyć ci sercem i wiarą! zawołałem....

Zmarszczył się pogardliwie.

— Zobaczysz, rzekł: pracuję, walczę, przemieniam się, próbuję, ale ty tej exystencji zrozumieć nie możesz... Powtarzam ci, szukam okna, którym bym zajrzał w świat drugi.

— Wszakże je już znalazłeś?

— Nie wiem!

I wyrwawszy mi się, odszedł szybko...

Śledząc go później ciekawie przez parę miesięcy, spotykałem ciągle uczęszczającego do kościoła, gdy nagle znikł mi znów z oczu.

Przyznaję chętnie, że była chwila, w której mnie z innemi towarzyszami szal karnawałowy owładnął, przebieraliśmy się, dziwaczyli, warjowali na salach domu Müllera... i po dziecinnemu bawiliśmy się. Zdaje mi się, że to przypadło właśnie w chwili gdy po raz pierwszy w Europie naszej pokazała się cholera. Jednej maskarady, pamiętam jak dziś, wsuwa się blade widmo w całunie, z maską stariej wychudłej i z żółklęj baby szpitalnej na twarzy, wywiedle, obwieszone fiaskami, a tak dobrze uosabiające straszliwą plagę, że niepotrzebowo napisu, który je miał tłumaczyć *urbi et orbi*. Na widok tej maski wszystko struchlało... straciliśmy serca, zdrętwiały nogi... to szyderstwo ze śmierci, zdawało się każdemu niewczesne i niegodziwe. Ja uciekałem od dziwaka, który tak wrażliwe obrał sobie przeistoczenie, gdy cholera zaczęła żywo nacierać na mnie... byłem przebrany za *garson sans souci*, utrzymując więc moją rolę, musiałem w końcu do-

stać, choćby i cholerze i zaśmiać się jój w oczy.

Cholera wzięła mnie do kąta, podniosła maskę, i z pod niej wychyliła się twarz szyderska Draga.

— A ty tu co robisz?

— Bawię się rzekł, strachem i przesądnością ludzi...

— Winszuję...

— Nerozumiesz mnie, rzekł—chciałem tych co się niedorzecznie obawiają śmierci uzbroić w odwagę, wskazując im kogoś co się ośmiela kpić z cholery pod jój nosem...

— Myśl śliczna, szkoda że potrzebowała komentarza, odpowiedziałem...

— Strasznieście ograniczeni! odparł urażony, dla ciasnych głów darmo by i komentarze pisać... pójdę się przebiore, bo się chcę zabawić, a wszyscy uciekają odemnie.

— Ty bawić się?

— Próbuje, czy w tym stanie duszy, do którego czuję jakies usposobienie, nie otworzą mi się oczy na nowy jaki horyzont...

— Ale cóż znowu za chorobliwa potrzeba horyzontów i widzeń nowych? odparłem—wiecznież masz próbować życia, a nigdy żyć?

— Rozpocznę życie na pewno, gdy grę poznam....

Wyszedł i po pewnym przeciągu czasu dał mi się poznać w ubiorze pajaca, a szalał tak że o mało go policja wyprowadzić nie kazala. Znaleźliśmy się znowu w bufecie, ale już było nad rankiem, wszyscy się rozchodzili, ledwie kilka figur krążyło powstrzymane, nie mając co robić z sobą; muzyka już była zeszła z galeryi.

— A cóż? spytałem... nowa próba...

— Miał słuszość król Salomon, wszystko głupstwo...

— Zabawa męczy i wstydzi, to dobre dla dzieci.

— Czasem się miło zdziecinić.

— Być może, ale dla tych, którzy woleliby być dziećmi choć udają ludzi, bo im wasy wyrosły, pusto w końcu... pusto w sercu.

Nadchodząca maseczka dosyć niesmacznie przebrana za peruwiankę, podała mu w téj chwili rękę i z wielkiem mojem zdumieniem niezdziwiony wyszedł z nią z maskarady, szepecząc po cichu....

— I to próba być musi! rozśmiałem się po cichu.

— Jakże panu posłużył wczorajszy balsam

peruwiański? zapytałem go nazajutrz spotkawszy w ulicy.

— Doskonały do smarowania bydła, gdy im grzbiety swędzą. . . odparł ze wzgardą i poszedł zamysłony.

Te urywane spotkania i częstsze coraz rozmowy, sklewały w ostatku między nami znajomość, znosił mnie, a na niego i to było za wiele; jam podziwiał człowieka, który jak zapalony toxykolog najdziwaczniejsze z sobą odbywał próby. Podobny Proteusz nie wiem czy się rychło drugi raz znajdzie na świecie, bo był czém chciał na rozkaz, a próbował wszystkiego. Dla mnie, stał się on ciekawym studium psychologicznym, chciałem sobie wówczas niezdać z tego sprawy jak dalece był typem, u nas szczególnie wielką klasę umysłów wahaających się i niewytrwałych, przedstawiającym. Silniejszy i pełniejszy od tych, których był reprezentantem, jak go dziś pojmuję, jest wyrazem ogromnej liczby młodzieży dzisiejszej, która na wszystko co potrzeba do życia, prócz wytrwania, krwi zimnej i woli do pracy. O ile go sobie przypominam, Drag nie ograniczał się jednym skosztowaniem czegokolwiek, powracał do próby raz drugi i trzeci, nurzał się gwałto-

wnie w tém co go nęciło, przejeżdżony dostawał odrazy, obojętniał, odwracał, uciekał. Najczęściej przerzucał się potem do przeciwnego bieguna, szukając kontrastu i zrazu znajdując w nim wielką rozkosz, ale wkrótce przesycając się nim do obrzydzenia.

Przy takiej ruchliwości umysłowej, materialna strona, gospodarstwo jego życia, przedstawiała najporządniej i zegarkowo regularnie zbudowaną całość. W niej malowała się druga wybitna strona jego charakteru, w kierunku pracy umysłowej żadnego nie mając udziału; — tą była niezwykła u nas żelazna wytrwałość i stałe trzymanie się jednego obmyślanego planu, od którego zakreśliwszy sobie raz, nie odstępował na włos. Drag sam o własnej sile wyszedł z pauprów parafialnej szkółki, długi czas czyszcząc buty, do niższej szkoły w której żył korepetycjami. Znać zawczasu zaraz osnuł sobie jakieś życia zadanie, bo kosztem największych ofiar i wyrzeczenia się, zbierał grosz na dalszą drogę, żyjąc jak anachoreta, aby okupić czas swój i niezależność przyszłą. Przybył do Wilna z trochę pieniędzy, zarabiał ich niewiele potem robiąc preparata anatomiczne, przy których nieraz życie ryzykował, ale się ich podej-

mował dla tego, że pracując na zarobek, uczył się zarazem. Burzliwy umysł, umiał nagiąć do najzmudniejszej i powolnej roboty, uczył zresztą małe dzieci, i tak mało potrzebował dla siebie, że temi środkami utrzymywał się nie wymagając najmniejszej od nikogo pomocy. Sam nosił sobie wodę i posługiwał, ale że czas na to stracony żał w nim wzbudzał, obrachowywał się szczerze, by mu jak najmniej wychodziło; biegł do studni drogą jak najprostszą, jadł jak najmniej i jak najkrócej, przyjemności codzienne życia były mu obce. Najbardziej uwagi godnym było w nim to sterowanie i panowanie nad sobą potężne, cóż, kiedy sprężyna woli nie służyła mu wcale do kierowania ukształceniem umysłowem.

Po niejakiem czasie ujrzałem w nim zmianę wielką, osmutniał jakoś, zadumał się i pobladł; sądziłem że mi się wygada z jaką boleścią, ale milczał swoim zwyczajem. Na dnie duszy po tych próbach nieustannych została mu, jak mi się zdawało, wielka tylko odraza od wszystkiego i lekceważenie; już się był tak jakoś ułomnie usposobił, że mógł jasno widzieć we wszystkiem złu i kulawą stronę, a piękności

znikały przed nim. Powiedziałem mu to otwarcie.

— Doktorze, nadto jesteś dumny, z tego że wszędzie dostrzegasz łatwo słabą stronę ludzkiej nauki, mądrości i żywota... zrobiles się dobrowolnie kaleką. Dla czegoż z równą łatwością nie starasz się nabyć władzy budowania czegoś lepszego od tego, czém tak poniewierasz?

Zastanowił się nieco...

— Uwaga głębsza niż ci się może zdaje... rzekł powoli — burzyć umiem, to prawda, sztydzie mogę, pierwszym rzutem oka chwytam błędy i uchybienia... ale gdy zapragnę co stworzyć, braknie mi siły... Dwóch ludzi czuję wówczas walczących we mnie, jednego który wierzy, drugiego który sztydzi i przeczy, a ostatni zawsze zwycięża...

— Zdaje mi się, dodałem, że ten charakter sam dobrowolnie nadałeś umysłowi swemu... Zostałeś wedle ewangelicznego prawa ukarany orężem, którym walczyłeś.

Spuścił głowę.

— Miałoby to w istocie, zawołał, być nieprawdą, ale tylko złudzeniem skoszonych oczów... to co widzę tak jasno... tak dobi-

tnie...? miałebym wiecznie tylko na jedną stronę, skutkiem jakiegoś, jak on powiada — kalectwa?... Tak mrucząc odszedł powoli...

Jużem go też po tej krótkiej między nami rozprawie nie widział więcej w Wilnie. Ja nagle później musiałem przerwać kursa moje, a gdy po dwóch latach powrócił na bruk miejski, po długich rozmyślaniach samotnych i łzach wylanych między czterma ścianami... już Draga w Wilnie nie było. Pytałem o niego u kolegów, którzy się jeszcze w mieście znajdowali, a nikt mi nie o nim powiedzieć nie umiał... poszedłem w świat i upłynęły unosząc mnie na swych barkach długie, długie, niepowrotnych lat dwadzieścia kilka...

Nie jeden to zapewne postrzegł, jak dziwnie się zmieniają fizyonomie ludzkie, długim czasu i życia przeciągiem, jestem pewien, że dusza ogromnie tu działa na ciało.

Są dzieci idealnej piękności, które żywot późniejszy przeistacza na bydlątka, są starte maski bez wyrazu, na które rozwój ducha i serca wkłada promienistą aureolę natchnienia i męczeństw... są wreszcie ludzie uprzywilejowani

spokojnego ducha, czy marmurowego oblicza, które się nie zmienia.

Często z ruiny młodzieńczych rysów, pozostają to oczy niezagasłe, to usta nieuwiędłe, uśmiechnione dawnym uśmiechem, to czoło niewzruszone, gdy resztę przetworzą burze i prace życia, namietności i bóle. — Jużem tych metamorfoz, niepostrzeżonych dla ogółu wiele napotkał zdumiewających, i niejedna smutne we mnie wzbudziła... z cieniuchnych chłopaków, porosły wielkie brzuchy na dwóch nogach, z niezgrabnych kłoców porozwijały się Antinousy... ale niestety! rzadko mi się trafiło dostrzedz, by młodość ale niezatarta przechodziła się na obliczu, lub rozkwitła jaśniejszą niż była dojrzałością w późniejszym wieku. Wogóle twarze ludzi i ich postacie stają się cielesniejsze coraz, a rzadki dożyje chwili, w którejby rysy jego mogły nietknięte burzą zajaśnieć spokojem przytomnej, trzeźwej, promiennej starości.

Los nie ma tu udziału żadnego, jakim się wielokrotnie przekonał, chyba komu pies kawał nosa odkąsi; przypadek gra rolę bardzo podrzędną, my sami tworzymy twarz naszą, co chwila coś jęj dodając, coś od niej odejmując

i przekształcając fizyonomie nasze. Każda namiętność gwałtowna, burzy harmonią rysów i zostawuje po sobie ślady przejścia, jak kataklyzm w naturze; każde nadużycie, znużenie, wycieńczenie, piętnuje się na nas, na jednych brakiem siły i woli, w drugich niepokojem i walką, w innych powolnym zbydłęcieniem. Zdarzało mi się jednak po latach dwudziestu kilku, napotykać twarze tak dziwnie niezmiennione, a raczej tak logicznie postarzałe, żem je od razu poznawał... ta loika jednak jest rzeczą bardzo rzadką; a smutno patrzeć na żywe ruiny, gdy z pałacu lub świątyni przerobi się człek na gorzelnię lub garkuchnię. W twarzy dziecięcia, potrzeba wielkiego badacza, żeby rozpoznać i zgadnąć, co z niej spełźnie na zawsze, a co istotny zaród przyszłości i nasionko rozwinięcia późniejszego stanowi. Zmianą wyrazu tak się przeradzają fizyonomie, że kiedy je z obrazem wyrytym w pamięci porównasz, przestrasz cię ogarnia. Nikt podobno przedmiotu tego, który tu tylko z lekka dotykam, że traktował *ex professo*, nie mamy do niego innych nad własne doświadczenie materyałów, a szkoda, bo metamorfozy twarzy więcej są nauczające, niżby się na oko zdawało. Często by z nich przy po-

równaniu żywota do lica, wyrosła niejedna prawda moralna.

Przepraszam czytelnika za ten ustęp nienależący do powieści, do którego dodać jeszcze muszę mimochodem ciekawą skazówkę. Mamy dwa bardzo różne portrety Władysława IV, jeden malowany przez Rubensa, gdy był młodem księżciem, drugi sztychowany przez Falcką, w późnym już wieku, po ożenieniu powtórne. Na bok odłożywszy piętno, jakie na nie wkładają dwa odmienne style artystów, chociaż Falck do szkoły rubensowskich sztycharzy się liczy, zapominając o tém, że sztycharz za mało idealizował i może z umyślnym przekąsem zrobił niemal karykaturą, (choć portret Heveliusza i Łuk. Opalińskiego przez niego robione dowodzą, że umiał podnieść do wysokości potęgi wyraz ducha w ludzkiem obliczu)... co za przeogromna różnica w tych dwóch Władysławach! W tym kawalerze tak rycersko, śmiało i pięknie postawionym, tak arystokratycznego wdzięku, a tą maską rozlaną, ogromną, karykaturalnie śmieszna, schorowanego i w tłuszc rozlanego sybaryty. W portrecie Rubensa widzisz istne zarody bohaterstwa, myśli, popędu rycerskiego, tu sapie tylko opasły niedołęga,

który Bożego daru piękności w duszy i ciele przechować nie umiał. Portret Suyderhøefa stoi w pośrodku i jest jakby szczebel przejścia pomiędzy temi dwoma. Pomimo tych różnic ogromnych, wpatrzywszy się w dwa portrety Władysława, oba w swoim rodzaju zrobione wybornie, dojrzysz w Rubensie Falck'a, a w Falck'u Rubens'a; człowiek ten mógł pozostać pierwszym, chociaż w kawalerze i rycerzu znać już roztyłego męża Maryi-Ludwiki. Nie chcę się zapuszczać w dłuższą o tém rozprawę, choć zaprawdę wieleby jeszcze powiedzieć się dało; powracam do mojej powiastki.

Upłynęło tedy lat dwadzieścia kilka; zapomniałem Draga jak bardzo wiele innych towarzyszków moich, ja sam także zmieniłem się do niepoznania, z czerwonego chłopaka, na bladego i wymęczonego, niepewnych lat człowieka; — gdy, będąc przed ostatnią razą w Warszawie, na chodniku wprost nowo-przetwarzającego się hotelu Gerlacha, spotykam się oko w oko z człowiekiem tak mi znajomym... tak znajomym dziwnie, choć nieznanym, żem się przed nim aż zatrzymał. Był to Drag, mało co postarzały, i dziwnie taki sam jakim go znałem w Wilnie, serce mi do niego uderzyło jak do

postradanój młodości, stanąłem, on wpatrzył się we mnie także, i uśmiechnął... zbliżył i podał rękę... Nie wiem jak mnie poznał, czy odgadł, to pewna, że się chwili nie zawahał, chociaż ja sam, nie łącznoby może porównyując twarz moją dawną z dzisiejszą, mógł je do jednego mianownika sprowadzić.

— A! a! zawołał — co tu robimy!

Drag, czyli doktor Abracadabra, gdym się weń wpatrzył, nieco mi się wydał okrąglejszy, ale twarz wygolona, nie miała zmarszczek, czoło rysu, pełne policzki udawały wybornie młodość. U fraka jego, pod paletotem postrzegłem parę wstążeczek orderowych... Zawróciłem się z nim i poszliśmy razem.

Po kilku wyrzeczonych słowach, zaraz mi się dawny Abracadabra przypominał, nic się w nim nie zmieniło, jak twarz i on pozostał tym samym; panował w nim ten sam ciekawy sceptyk i szyderca doskonale umiejący chwycić śmieszną i małuczką stronę życia, a nie mogący pojąć wielkiej i poważnej, ani dźwignąć się do udziału w niej. Przyznam się, że byłem ciekawy jego losów i stanowiska, którego się poniekąd domyślałem z oznak długiej służby i elegancyi, jaka go otaczała. Choć

szedł piechotą dla agitacji, ekipaż wcale ładny postępował za nim, skromny, ale pełen smaku. Miał ten takt, że mnie ani zapraszał do siebie, ani ze starą korzystając znajomości, jak ciekawego zwierzątka nie pokazywał licznie nagromadzonym przyjaciółom; — pojechałem do niego na Nowy - Świat na zaimprovizowaną herbatę, gdyż szczęściem wieczór miałem wolny.

Znalazłem apartament z angielską skromnością i komfortem urządzone, ciepły, zameczysty, surowo wyglądający na oko, czyściutki tak, że nigdzie pyłku nie dostrzegłem, służę jednego ale bardzo okazałego, porządek i regularność zegarkową, wszędzie ślady więcej niż zamożności, dostatku, prawie bogactwa. Ale w tych ścianach kosztownym obiciem przystrojonych chłodno było myśli i sercu, bo w nim człowiek otoczył się tylko wygodą, a nigdzie nie odezwało się serce, jakby go nie miał wcale. Żadnego portretu, pamiątki, nic, coby zdradzało przeszłość, ból, wspomnienie. Biblioteka była liczna, ustawiona porządnie, ale równie chłodna jak reszta . . . żaden promyk poezji jej nie ozłacał.

Gdyśmy usiedli przeciw sobie w wygodnych elastycznych fotelach wybitych ciemno-amarantową trypą, zapalili cygara i spojrzeli sobie w oczy, dopiero wpatrując się lepiej, postrzegłem, że Abracadabra wyglądał raczej na marmurowe popiersie Cezara rzymskiego, niż na żywego człowieka: — nic w nim nie było życia, krew nie wiem dokąd uciekła, znużenie i wiek odmalowały się tylko w lekkich sinowatych otokach, które opasywały powieki. Zaczęliśmy sobie przypominać Wilno, ale on szydził nawet z tej smętności, pogrzebaniej pamiątki i niepowrotnej, świętej przeszłości lat ołożonych młodością — nielitościwy!

Dziś tylko jego szyderstwo wystalsze, lepiej sformułowane, oparte na pozorniejszych podstawach, wyglądało poważniej i uroczyściej. Widocznie umysł jego nie zmieniając kierunku nabrał hartu, wzrok widział jaśniej i dalej. Nie mogliśmy mówić o sobie i wzdychać jak z kim innym, Abracadabra nie miał w piersi serca ani odrobiny, nie stworzył sobie rodziny, nie nauczył kochać, pozostał jak był sam jeden na świecie i z tego stanowiska Stylity patrzył na to, co mu się zwijało pod nogami, ze wzgardą

nie tajoną, ale przesiąkniętą potajemną zazdrością.

Wpadliśmy więc na ogólny przedmiot o dziejszych i dawniejszych czasach, a że sąd jego choć jednostronny był wielce dla mnie zajmujący, pozwoliłem mu się rozgadać, słuchając go z natężoną ciekawością.

— Świat, rzekł po chwili, mocniej jest chory niż sam sądzi, krzyczymy i wołamy żeśmy na drodze postępu, a cofamy się najwidoczniej. Co do mnie, nie widzę, by kiedykolwiek ludzkość wielkie zakresliła koło, jest to wiekuiście jedno tema z waryacyami mniej lub więcej udanymi, z tą różnicą, że je czasem pisze Bethoven genialny, a częściej małpa Gelineck. Jednakże wpatrzywszy się w to mrowisko, są tam barwy nieco różne, jaśniejsze i ciemniejsze, ale wiek nasz, niestety, choć tyle prawi o duchu... ducha nie ma... Mówi o nim jak spragniony o wodzie, ale się jój nie napił, szuka źródła w pustyni, ale trafia tylko na miraż...

Dla mnie przeszłe wieki, pierwsze wieki ludzkości nawet okrzykane wieki średnie, mają daleko więcej wielkości, powagi, piękności stosunkowej, od tego w którym się nam żyć dostało. Zeszliśmy do fraszek i rzeczy malu-

czkich, do prozaicznych zaprzątnień, do cywilizacji czysto materyalnej, która nas pożera i trawi. Wiek XVIII począł już szukać formuły szczęśliwości ziemskiej i znalazł ją w dobrym bycie, który ekonomiści określili, wyważywszy chleb i wodę potrzebne człowiekowi... W szkole ekonomistów leży najcharakterystyczniejszy objaw wieku, nie filozofia nasza, ale ekonomia będzie dla wnuków miarą wzrostu, któregośmy dosięgli.

Tymczasem jak dziś jest, cała ta nauka stoi na politurowanych fałszach z najkruchszego drzewa... Gdziekolwiek pomalowano ją wielkimi słowy, aby szpar i dziur znać nie było, pozatykano duchem jak kłakami, polepiono filantropią, i cieszym się dziełem naszym.... Ale ilekroć na tym sprzecie coś usadowić potrzeba, najmniejszy ciężar łamie je i druzgocze, — ilekroć chcemy zastosować wielkie prawdy nasze wychodzą na pocieszne fałsze. Czasem doświadczenia z niemi doprowadzają do czegoś niby na oko pokaźnego, ale wpatrz się bliżej, a przekonasz się, że ta fizyonomia myli, i ludzkość wzięta w kluby własnych praw syczy i boleje.

Spojrzymy i porównajmy wieki te, w których nie urodziły się jeszcze formuły, nie prawiono

o duszy i duchu... jaka tam potęga! jaka wielkość! co za żywot ogromny! Z całą swą cywilizacją materyalną, kolejami, parą, bawełną angielską, telegrafami, świat stał się podobny machinie, w której ustawicznie jakieś kółko się psuje, i zastanawia wszystko... dopóki go maszynista nie nałata... Co kółko to nowa teoria, i tylko co nie widać, jak wcale nową budować przyjdzie machinę do teorii, lub teorią do machiny.

— Wolisz więc co innego? doktorze, spytałem, i ja dzielę twoje zdanie, ale czy poetyczność i wielkość przeszłości, nie jest dziełem złudzenia i perspektywy powietrznej, w której ją widzimy?

— Nie! zdradzają się wieki we wszystkich pozostałościach swoich... po Egipcie zostały bazalty, głazy, piramidy choć ceglane, mumie i garnki... po Grecyi ideały z marmuru, bronzu i słowa, po Rzymie drogi olbrzymie i ruiny obozowisk, po średniowiecznej przeszłości mogiły krzyżowców i katedry, — co po nas zostanie? Alkaloidy i banhofy? dwudziestu czterech ekonomistów formułujących społeczną zasadę bytu, trochę szkła, trochę drutu i żelaziwa, dużo rdzy i kwita... Wiek, powiadam waćpanu,

głupi, dziecinny i dowodzący upadku ludzkości; żadna w nim wielka myśl nie drga i zrodzona nie wyżyje długo w jego atmosferze za-trutęj, najlepszą potrafiemy zepsuć... Jest ni by pragnienie filantropijne podniesienia proletaryatu, ale jak się do tego biorą? jedni socyzmu niewolą, drudzy utopią bałamutną. — Sformowano miłosierdzie chrześcijańskie i zmieniono je w regularny podatek, ustanowiono towarzystwa i urzędników, którzy muszą być miłosierni od rana do nocy, a są w istocie tylko nieznośnemi machinami do podpisywania rejestrów.

Wszelka niespodzianość życia niknie, na wszystko znajduje się prawidło, od którego odstąpić na dół czy do góry nie godzi się... robią ze świata klasztor bez religii, rzecz w świecie najtrudniejszą... fabrykę, warsztat... więzienie.

Teraz obejrzymy się w tył na to co nas poprzedzało — weźmijmy heroiczne wieki, czytamy Herodota... spojrzymy na marmur grecki, wnijdźmy na wierzchołek piramidy, zajrzymy Sfinksowi w oczy, odkopmy Babylon i Niniwę, wzruszmy gruzy feudalnych zamków, potrząśmy cmętarczyskami, w ich kościach więcej jest

jeszcze ducha, niż krwi w żyłach naszych... Błędne ale potężne popędy ludzkości zawsze wiodą ku czemuś, a choćby nad przepaść wiodły, to z heroiczną pięknoscią dobrowolnego skoku z tarpejskiej skały... Wszędzie poezya, miłość, życie, poświęcenie, wszędzie duch potężny, wszędzie pokuszenia szalone, ale ogromne. — Stosy Sardanapalów, bitwy termopilskie, Machabeusze; Dawidy, Salomony, Scewole, Mucyusze, Aristydesy... a choćby Nabuchodonozory... potem Golgotha i dwunastu ubożuchnych ludzi, co świat z gruntu przetwarzają jednem słowem... potem Piotr pustelnik, zapasy z niewiernemi, scholastycezm, boje... alchemja... reforma, inkwizycya... wszystko to wielkie błędy i wielkie fakta, w których biją pulsa życia... a dziś... drut telegrafu niosący kurs papierów giełdowych, handel, fotografia martwa, fabryki... a za całą poezyą statek parowy wiozący złoto z Kalifornii, kopane przez szaleńców, krwią i potem rozpusty oblane...

Przyznasz mi pan, dodał z głęboką wzgardą, że ludzkość nie może się pochwalić postępem, chyba powie, że się cofnęła, by skoczyć silniej i dalej, ale skoki nie są chodem, i skoczywszy najczęściej się na nos upada... Ilekroć

wyrwie się wśród zgrzytania żelaznych zębów machin, głos silniejszy wołający jak nad Jerolimą — biada! okrywają go śmiechem lub analizują interessem lub zagłuszają hukiem warsztatów w których jedna połowa ludzi fabrykuje gałgany dla drugiej. Zakochać się w tém trudno, później i życia trzeba iść szukać u dzikich ludów... zmieszanego z dzikością... niestety!

A kto dziś powie, że tą drogą dochodzi się do nieprzebitej gołej ściany, to nieprzyjaciół postępu, zdrajca i przechera, to poziome stworzenie, jak kret, ryjące tylko pod ziemią, w ciemnościach.

Osobliwszy widok przedstawia z drugiej strony przy wygaśnięciu ducha i odebraniu potęgi słowa, spospolitowanie myśli i obrócenie pisma do najobrzydliwszych posług. Jak papuga która się tylko co paplać nauczyła, krzyczym, czy jest czego, czy nie, powtarzamy, zapisujemy stosi... a ścisnąwszy to... nie ma nic... Jedną połowę ludzkości mozoli się nad urządzeniem świata, drugą dostarcza jej teoryi, a wszyscy boleją... Oblakani zeszlismy z drogi zupełnie, pod pozorem swobody zostalismy niewolnikami błędów wieku. Proste życie jest jeszcze

w Ameryce, gdzie się podobno przyszłość nową ery gotuje, ale i tu zarazona europejskim swym pochodzeniem ludność, na miejscu ewangelii, karmi się głupim mormonizmem, poczwarnym przerobieniem wielkiej szaty na kusy przyodziewek, buduje przyszłość na bycie materialnym, dusi negrów i choruje na toż samo obłąkanie co my, lecząc się trochę pustynią, pracą i klimatem dziewiczym... Tymczasem Europa zastyga, zwijając się do snu, jak przed laty Azja, nim się z niej to zrobiło, czém jest dzisiaj. Widać z daleka patrząc, że się zabieramy do końca... bo spisujemy już tylko rejestra, pakujemy manatki, porządkujemy rasy, ustawiamy się w szeregi, sadowim, kładziemy i patrzym jak najwygodniej skonać...

Wśród hałasu i krzyków miliona głosów, pokażcie mi choć jeden potężny, coby do kości poruszył to sparaliżowane ciało...? Wskażcie mi jedną myśl większą, lub odezwanie się do szlachetniejszego uczucia.... Ze stosów ksiąg dajcie mi jedną, z którejby nowe trysnęło życie? Kto pragnie, a chce ochłody, musi powrócić do Biblii, Homera, do Liviusza i Tacyta, do Augustyna i Tomasza.... do poezji hymnów kościelnych, do scholastycznych marzeń, w któ-

rych jasna jest młodzieńcza siła. Wysiłki umysłowe naszego wieku przypominają mi umizgi ośmdziesiątletniego starca, któremu zbiera się na miłość przez imaginacją i zebrać nie może.

Wszystkie dzisiejsze plody są dziełem prawideł i formuł, hodujemy poetów jak szparagi, karmim historyków jak woły na stajni, a najwyższym wyrazem piękna dla nas jest niezrozumiałe lub dziwaczne.... zręczne i kuglar-skie.

— Ale przerwałem tę długą chryję — cieszę się, kochany doktorze, że choć przeszłość znalazła łaskę w twych oczach... tego dawniej nie było i to już wielka w tobie zmiana.

— Powoli, rzekł, powoli, nie ciesz się wcale... wszystko jest stosunkowe... uniewinniam i podnoszę przeszłość, gdy na naszą teraźniejszość poglądam. Jakże chcesz, bym nie skłonił głowy przed wiekami, w których potężne słowo wiodło za sobą tłumy, w czasie, gdy tylko jadłem i napitkiem, odzieżą i karmią budzi się i wiedzie ludy? Ale i przeszłość ludzkości, to ułomne dzieje kulawego plemienia...

— Któremu przebaczyć potrzeba....

— A nie śmiać się z niego trudno.... Jakże chcesz bym pokłękł przed wielkim Cobdenem,

Bastiatem lub Chevalier, gdy przypomnę tych, których oni uzurpowali stanowiska ... Sięgają im właśnie po pięty.

Wyschliśmy od rozumu ...

— Uderz że się w piersi ... doktorze ... a ty? gdzież w tobie uczucie?

— Alboż ja lepszym być mogę od drugich? i jak nim być wśród nich potrafię? ja jestem zieloną gąsiennicą na liściu zielonym, jaki pokarm, barwa taka. A wiesz, dodał, niech wstanie prorok, niech błysnie myśl, niech się wyrobi potęga, może pojme ich ulomność, ale mnie one pociągną ... jak celnik rzucę worek i pójde za słowem Messyasza ... Jeszczem ja nie tak ostygły jak wasz wiek dzisiejszy ... Dla nas niema jeno chleb powszedni, nie, jeno koryto wieprzowe ... jeść, jeść i nie wiecej ... nie uczyć ubogich ale ich karmić chcemy, nie doskonalić, ale od głodu obwarować. Wyrazem wieku jest ta obawa o jutro nie duszne ale żółdkowe. .. I chcesz bym taki świat kochał, albo dla niego poświęcił ćwierć minuty życia mojego... Nie! jak wszyscy tak i ja! buduję ciepłą chatę, jem, piję, i kpię z tego co mnie otacza.

— A! zawołałem, to stan okropny!

Rozśmiał się.

— Wiesz, rzekł, tyle się tylko we mnie zmieniło że pojmuję okropność tego stanu, że są dla mnie chwile takiej rozpaczy, iż głowę o mur chcę roztrzaskać, ale śmiechem się jak zimną wodą obleję i znowum zdrów ... ot tak! aby do końca!

— I nie dla serca! spytałem.

— Na co serce? serce to rana która boli, a ledwieś ją zasklepił świerzbi ... lepiej się nie kaleczyć.

— Nieuważasz więc że idziesz drogą, która ci się samemu fałszywą wydaje?

— Niemam siły proroka, ani namaszczenia do męczeństwa ... protestuję śmiechem ... bo niemogę krwią i życiem ...

— Cóż dalej? jak sądzisz! spytałem po chwili znużony.

— Niewiem, rzekł — potop... koniec świata, śmierć, pożoga... ruina i na gruzach jej życie nowe, czy zgrzybiałość powolna, wygaśnienie ducha i sen wiekuisty. To pewna dla mnie, że z tego co jest, w kierunku w jakim to sobie idzie, nie być nie może, trzeba nowego jakiegoś żywiołu do téj lampy, której knot dymi i kopci, nie świecąc i nie grzejąc, trzeba czegoś ogromnego, nie jak maluczka reforma luterska, ob-

cinająca poły wiary; na kusy fraczek niemiecki, ale jak odrodzenie Rzymu—Cesarów... najścia barbarzyńców... potopu świeżych ludów trzeba jednym słowem, niepodobieństwa; trzeba człowieka coby wstał i takim głosem ryknął, żeby go świat cały posłyszał; uląkł się... Ale maszyny zgrzytają, świszczą lokomotywy, trzeszczą warsztaty, i jęk proroka zagłuszą.

Drwiąco rozśmiał się patrząc na mnie.]

— Jutro zapewne jak was znam, rzekłem do niego, co innego myśleć i mówić będziecie, wzięliście mnie na próbę dzisiejszej dyspozycji... nieprawdaż.

— Nie! nie, zawołał... i jam się odmienił, bo się już nie przerzucam z jednego stanowiska na drugie, by co raz co nowego wymyślać na ludzkość, przeszło i terażniejszość — stanąłem i stoję na jednym... smutne ono ale trwałe...

— Cóż powiecie o odrodzeniu się wiary? spytałem, wszak to widoczne i bijące?

— Tak widocznie ale niepokojące... przychodzimy do wiary nie tą drogą, którąśmy do niej przyjść byli powinni, nie sercem ale głową, wyrozumowaliśmy sobie jej potrzebę, tak jak pożyteczność pewnych pokarmów: doktorowie ludzkości przekonali się żeśmy nad-

te już karmili się stawą mięsną, poradzili jarzyny, i żywioł nowy, w czysto higienicznej myśli. Zaczęła się propaganda na zimno, arystokracja uczuła się powołaną do protegowania wiary, i tak to sobie idzie jak gdzieindziej handel towarów lub entrepryza komercyjna.

Ja niewierzę w tę religią waszą, którąście wzięli jak płaszczyk modny skrojony przez najlepszego krawca, bo dla mnie niema religii gdzie niema łez, ofiar, i zaparcia się siebie, a tego tu niedopatrzysz. Pięknie poubierane pannie, chodzą na strych nawracać i uczyć dzieci katechizmu, ale wieczorem tak samo jadą na teatr gdy moda zawoła, i mówiąc o braterstwie w Chrystusie pieczętują się herbami swemi i noszą ze szlachectwem jak paw z ogonem. Są to usiłowania na zimno, które pewną liczbę ludzi pocziwych poprowadzą na dobrą drogę i skutek dobry mieć muszą, ale to nie owa potężna reforma jakiej nam potrzeba. Apostołów zastąpiły kobiety i rodowa arystokracja, która obejrawszy się że jej nic do czynienia nie pozostało, wzięła się do zabawienia wiarą, ale gdzie duch i namaszczenie? To na zimno obrachunek ze strachu proletariatu, którego się boją, więc mu dają ochładzające lekarstwo, z pró-

żnowania i próżności zajmując się jego dystylowaniem. Kilku ludzi pocziwszych kierują tą fryzowaną apostolerią wiedząc że i te wiory na coś się przydać mogą — ale to sprawa maluczka. Za czasów XVIII wieku modą było mieć d'Alamberta, Diderota, Helvetiusa w salonie korespondować z niemi i przetwarzać ludzkość ostrząc nóż na własną szyję; więc się nóż zaostrzało i gilotynę stawiało rękami markizów i baronów, paliło pargaminy i wocyferowało o równości pod prawem natury, dziś moda wiary, drukują się więc książeczki dla ludu i hrabiowie piszą nowe ewangelie, dla braci w Chrystusie, ale zajrzyj w serca tych panów poszukaj iskierek w ich piersiach skośniałych. Są to zimni handlarze, spekulanci, potajemne hulaki, bezmózgie małpeczki, tłuste bydłatka... tylko człowieka między niemi ani słychu... Ofiary, które robią nigdy nie dochodzą nawet do zakatarzenia, a kieszeniowe nieprzejdą dziesiątej części tego, co przegrywają w karty i wyrzucają na stroje.

Prędjéj tu znajdziesz dziwaka, niż potężne serce i głowę... a dziwactwo ich to maska wielkiego karnawału naszego...

— Okropnyś doktorze—przerwałem wzdry-

gając się, niepojmuję cię... zawsze i zawsze jedna tylko i to najgorsza strona...

— Bo dwóch nigdy razem widzieć nie można, rzekł chłodniej strzepując pyłek cygara... Co mi tam! to pewna że pierwszą i charakterystyczniejszą stronę życia widzę... druga spi w cieniu, jak ziemia nad którą nie świeci słońce.

— Dla czegożby tak ludzkość upadać miała?

— A tego ja ci niepowiem, odparł, ale człowiek starzejąc podupada na siłach, tak podobno i zbiorowa ludzkość kochany kolego... Nieuchronnie potrzeba by coś nieprzewidzianego spadło na ziemię, połamało warsztaty, pogruchootało głowy fryzowanym mędrkom i ludzkość na nowo rozpoczęła się od jakiegoś nie przemądrzałego ale silnego Hryčka i Horpyny.

— Dla czegoż Hryčka?

— Żeby nie była skrofuliczną... zresztą, przyznasz, że żaden Alfred i Gustaw nie jest w stanie mieć tyle synów i córek ile ich potrzeba na nowe zaludnienie... i Alfred zaraz by z Emmą lub Ewelina nazajutrz z głodu pomarli, gdyby im przyszło samym sobie dać rady. — Więc jakiś Hryciek i Horpyinka zszedłszy

z Babięj Góry, po potopie, który wyniknie z pełnienia beczek porterowych, rozpoczną na nowo starą historią... ażeby to nie było ciekawe... Zawsze naśladowanie słabsze tego co już raz się mocniej odprawiło...

Westchnąłem nad tym sarkazmem, w tém wszedł po szyję zapięty na wszystkie guziki kancelista z teką papierów do podpisu pana Radzcy... Drag wskazał mu miejsce na biórze gdzie miał położyć papiery, głową nawet nie skinąwszy — podawano nam herbatę, kancelista odszedł z wielkiem uszanowaniem...

Przyznam się że w Warszawie nie piłem lepszej herbaty, gdyż pomimo starój, zapomnianej pieśni do *czaju* niegdy przez Ludwika Osińskiego napisanej, w której prorokował że z tym czajem lepiej nam będzie niż z węgrzynem... (!) stolica nasza dotąd się go robić nie nauczyła i pije ciepłą wodę zamiast herbaty, chrzcząc ją różnemi ingrediencyami, aby była znośniejszą. U pana Radzcy napój ten zrobiony był z całą rozmyślnością sybaryty, który lubi z każdej rzeczy wyciągnąć jak najwykwintniejszą przyjemność.

— Widzę, rzekłem, że lubisz wygodki i na serio bierzesz kuchnię życia.

— Jestem dzieckiem naszego wieku, odparł uśmiechając się — nie mamy ani uczuć, ani wzruszeń, ani wiary żadnej, potrzeba szukać dystrykcyi w żołądku i podniebieniu.

— Panna Ewelina! zawołał wchodzący lokaj.

Radzca się gwałtownie odwrócił i zmarszczył.

— Co to jest? zapytał surowo...

— Przysłała pytać czy pan będzie dzisiaj, bo chce jechać do teatru.

— Niech sobie jedzie, odparł sucho.

— A ha! jest i jakaś Ewelina, zaśmiałem się po wyjściu służącego — balsam peruwiański widać nie tak zły jaki się panu wydał z początku.

Drag wzgardliwie ruszył ramionami.

— Panna Ewelina to mój deser po obiedzie... Stworzeńko ładne, głupiuchne, złe, ale czasem potrzebne dla dystrykcyi... Domyślasz się że jest chorystką czy baletniczką... zgadłeś! Te istotki choć zdradzają ale bawią... cacko... lalka! potrzebujemy rozrywki, jest w nas instynkt łączenia się w grona, który w zepsutych ot tak, przeradza się w bydłące jakieś używa-

nie i profanowanie piękności i młodości . . . Co się tycze zdrady . . . nie obawiam się, to mi wszystko nie jedno, czy ja jeden czy dwóch nas je jedną kuropatkę, byłem ja jej miał ile mi potrzeba . . .

Wzdrygnąłem się.

— Trzymam to w ryzie, rzekł — płacę do brze—ale nie robię sobie nałogu z jednej twarzy i co kilka miesięcy przemieniam . . . kandydatek dosyć zawsze . . .

— A powiem ci, dodał z pewną chlubą i dumą, ot życie tak urządzone jak moje jest wcale znośne . . . Głupie czeze, ale wygodne. Nie wyrywam się z gorliwością natrętną naprzód, bo to dzieciństwo, Talleyrand i Napoleon mieli rację, *surtout point de zèle*: nie zaniedbuje się jednak nigdy w niczem, żyje i jestem ze wszystkimi dobrze, karmię i poję tych, którzy mi są potrzebni, dowcip jeśli go mam, chowam jak ślimak rogi, niegniewam się nigdy, nie słyszę czego słyszeć nie chcę . . . mieszkam wytwornie, doktora mam najlepszego, zawsze jakąś Ewelinkę, zapas na jutro w dobrych listach zastawnych, żeby mi bięda swych łokciów dziurawych nie pokazała . . . cóż chcesz? to życie do zazdrości!

— I najlepszy komentarz do tego coś mi niedawno mówił z takim zapalem, odpowiedziałem po cichu.

— Powtarzam ci, rzekł śmiejąc się—jestem dziecięciem wieku, a ja i matki nie zapieram się, chcąc żyć długo i zarobić na błogosławieństwo . . . A jak mi się żółci zbierze na wątrobie i zechcę po cichu podrwić, znajdę sobie zawsze człowieka, jak ciebie dziś, kolego, który mnie nie skompromituje . . . kogoś przyjezdnego, obcego, cichego . . . to się przed nim wyplam i kwita. Może jeszcze szklankę herbaty?

— Nie! zawołałem wstając—nie! nie! musisz doktorze Abracadabra potrzebować siesty po herbacie, a tak regularnego życia jak twoje żał by dla fantazyi przybysza przerywać . . . Bywaj mi zdrów! dwa razy w życiu spotkaliśmy się Bóg jeden wie czy zobaczymy się jeszcze raz trzeci . . .

— Zapewniają że mamy się wszyscy znaleźć na tamtym świecie . . . rzekł uśmiechając się . . . a zatem zawsze do zobaczenia kochany kolego . . . Nie zgadłeś co do siesty, dodał zaglądając do zegarka—idę teraz na Sessyą To-

warzystwa Dobroczynności, którego jestem jed-
nym z Dyrektorów..... a potem do Ewe-
liny...

All is well that ends well : . .

powiedział Shakspeare.....!!!!..

DJARJUSZ PODRÓŻY

Z WARSZAWY DO PETERSBURGA

Hrab Kazimierz Kossak de Brühl Platana

DJARJUSZ PODRÓŻY

Z WARSZAWY DO PETERSBURGA.

Niewielkie jeszcze od stolicy oddalenie pier-
wszej stacji, z której już niniejszy wyprawiam
nie obecnie, panu długiej relacji podróży mo-
jej, a mnie pozostawia materii opisu, nie ten in-
nego dotychczas nie mogę o sobie, tylko o
dzisiejszej godzinie, o dzisiejszym miejscu
moim w domu pocztowym i postanowiwszy
zakończyć, póki ludzie łóżek nie przygotu-
ją, ośmieliłem się zabrać i zabrać do pióra.

Tak tedy poczem wiodłem moje kroki
do stolicy, a lubo podróż ta nieodroczona

2828

stają z łazien kąpiel, do celu przybyć
mnie będzie w porze niebyt przyjeżdżaj
Jako mniei martwi mnie kuno i słoty, które
gównie kuno i przybycie mniei strasy, dło
enwepawne

DJARJUSZ PODRÓŻY
Z WARSZAWY DO PETERSBURGA

Hrab. Kazimierza Konst. de Brühl Platera

STAROSTY INFLANC. PÓŹNIEJ PODKANCLERZA LITEWSKIEGO
w 1792 roku odbytej.

PRZEPISANY PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

I. Z Okuniewa dnia 11 października 1792 roku.

Niewielkie jeszcze od stolicy oddalenie pier-
wszej stacyi, z której list niniejszy wyprawiam
nie obiecuje panu długiej relacyi podróży mo-
jój, a mnie pozbawia materyi opisu, nie też in-
nego donieść nie mogę o sobie, tylko że po
dziesięcio-godzinnój jeździe, o dziewiątej sta-
nałem w domu pocztowym i postanowiwszy
zanocować, póki ludzie łóżek nie przygotują,
zabieram się z żoną i synem do pióra.

Tak tedy począłem wędrówkę moją ku sto-
licy północnej, a lubo podróż ta nieodzowną się

stała, a dzień każdy powoli do celu przybliżać mnie będzie w porze niezbyt przyjaznej — daleko mniej martwi mnie zimno i ślota, które pewnie znieść mi przyjdzie, mniej straszy błoto, a coraz głębiej ku północy i gruda zapewne i łamanina i śniegi, w których się kopać będzie trzeba, niżeli we względzie politycznym zupełna niewiadomość z czém i po co jadę do Petersburga, a wreszcie bojaźń, aby skutek poselstwa mego nie omylił zbyt względnej ufności, jaką na mnie włożono.

Pomyślisz przyjacielu pewnie, że się darmo użalam nad tém, że nie wiem z czém jadę, bom ci nawet kopią instrukcyj moich komunikowałem, a punkta jej zawierają wyraźnie cel, dla którego konfederacye obojga narodów nas wysłały, lecz chciój zarazem przypomnieć sobie, jakie przed kilku dniami rozeszły się po Warszawie pogłoski, a zastanowiwszy się nad tém, że u mnie widziałeś tylko kopią instrukcyj, a w stolicy traktować nie zechcą pewnie, chyba Credenciales i instrukcją od króla i narodu złożyć — przyznać musisz, że z niczém prawie, co do poselstwa wyjechałem. Z podobnych względów powiedzieć też mogę, że nie wiem po co jadę, bo jest wprawdzie w instrukcyi rozkaz

podziękowania za pomoc, i dopraszania się o traktat przymierza i handlu, lecz kto wie, czy inna nie przyjdzie jeszcze instrukcyja? kto wie, czy propozycye, które uczynić mamy zostaną przyjęte? kto wie, czy nasz sprzymierzeniec będzie już mógł bezpiecznie odkryć swój system, z którym się dotąd ukrywa?

Donosiłem W. panu powróciwszy z Brześcia, że w konfederacyi żadnej pewnej planty nie znalazłem, a to mi daje do myślenia, że państwo które jest duszą robót nowych, musi się oglądać jeszcze, aby przez konfederacyą utworzoną przez siebie, nie wykazało zbyt jawnie celów istotnych. Gdy więc pewnem się zdaje oglądanie to, nie mnie nie odwróci od myśli mojej, że bieg interesów Francyi wpływać będzie na przyszłe losy Polski, a zwrot czyniąc ku sobie, śmiem i to dodać, że życzenia twe przyjacielu, rychłego mego powrotu, radzić się powinny termometru francuzkiego, a to co czytać będziesz w przeciągu miesiąca o nowinach z Francyi, powinno ci oznajmić albo rychły skutek życzenia, lub wskazać ci, że dłużej w Petersburgu zabawię. Jaśniej ci to powiem jeszcze, abys sobie wcześniej mógł wyrobić prawidłó postępowania. Jeżeli z Francyi przyjdą no-

winy, że kraj ten nieszczęśliwy w centrum swym w Paryżu pogrzebiony zostanie, lub koalicja, a najbardziej Prusak oprzeć się Francuzom nie podola, naówczas wezmą determinacyą stanowczą względem nas i my dla traktowania seryo, dłużej tu zabawić będziemy musieli, przeciwnie, jeśli skutki wojny wyraźnie się nie okażą, pożegnają nas pewnie prędko, bo pocóżby świadkami niedeterminacyi swój mieć chcieli?

Ale podobno zawczasie politykować zacząłem, a ty, nasłuchawszy się dosyć podobnych marzeń po wszystkich domach w Warszawie, gdzie każdy w ciuciubabkę grać lubi, chciałbyś może, abym z drogi o podróży tylko pisał, o co dziś trudno, bom tylko trzy mile ujechał i nie ma jeszcze o czém. Wolę więc dokończyć listu tém, żem od pocztmistrza słyszał, że dziś dopiero Potocki marszałek do Siedlec dojechał. W nadziei że go tam jeszcze zastanę, przyrzekam w następnym liście coś ciekawszego, zawsze twój nieodmiennie wierny.....

II. Z Siedlec d. 12 października.

Jużesmy mieli z noclegu wyruszyć o szóstą zrana, gdy trąbka pocztowa dała znać o przy-

byciu nowego wędrownika, a po chwili znaleźliśmy się w towarzystwie JMPani Zarębinęj, któraby może i z pojazdu nie wysiadła, gdyby trudność dostania koni na pocztę nie zmusiła jej do uzalenia się na przykre położenie. Wyjechawszy z Warszawy o godzinie drugiej z północy najboleśniejsem by dla niej było, jak mówiła nie zastać w Siedlcach Potockiego a szczególniej Suchorzewskiego, i daremnie fatygującą podróż. Winna dla damy dyskrecya nie dozwoliła nam zaspokoić ciekawości naszej względem celu który tak nagle panią Zarębinę pędził do miejsca, gdzie się znajdować miały osoby wyżej wymienione, a w rzeczy nie bardzo potrzeba było badać o to gdy tylko co odeszła sprawa w konfederacyi Warszawskiej Xcia Kalixta Ponińskiego z Wojewodą Kijowskim, łatwo się dozwalała domyslać, że siostra Xcia Kalixta przedsięwzięła podróż dla zamówienia sobie łaskawych względów dla niego i podniesienia w sądzie apellacyjnym konfederacyi rigoru dekretu primae instantiae.

Niemogąc wszakże być użytecznym stroskanej damie, która niedostawszy koni w Okuniewie, warszawskimi aż do Stanisławowa jechać przymuszoną była i życząc jej przynajmniej

pomyślności w przedsięwziętej drodze, gdy ani pragnąć z przekonania, ani spodziewać się było można powodzenia w przedmiocie tej wyprawy—pożegnaliśmy i zostawili popasającą. —Pomimo to jednak z podziwieniem naszym znaleźliśmy ją przed nami przybyłą do Stanisławowa, gdzie nowego rodzaju spotkała ją przykrość; pocztmajster bowiem robił jej trudności w daniu koni, gdy na stacyą nie pocztowemi ale furmańskimi przyjechała. Nie bardzo wielką za sobą miał słuszość targujący się pocztmajster, a w istocie nie długo też trwała dysputa, bo pani Zarebina nie tylko do stała czego chciała, ale nawet wyprzedziła nas tak dalece do stacyi Żórawskiej o mil trzy od Stanisławowa odległej, że kiedym tam z moją przybył kompaniją, już nasza towarzyszka wędrówki przebrana i kontenta z nadziei dostania się rychłego do Siedlec, wkrótce nas przetrzuciła.—

W relacyi pierwszej podróży mojej do Brześcia na Siedlce, podobno nie wzmiankował że stacya w Żórowkach a jak drudzy ją nazywają Grembowa niewiele oddalonego, nie istniała dawniej nigdy, i na prośbę tylko JW. Hetmanowej Ogińskiej ufundowaną została tak

dla wygody tej damy w przejazdach jej corocznych zimowych do Warszawy, jako też dla ułatwienia podróży mnogim i ustawicznym gościom, którzy się do Siedlec zbierają. Że zaś niedawnej daty jest stacya tutejsza dowodem i to, że osobnego domu pocztowego jeszcze niema, i przejeżdżający zatrzymać się muszą w karczmie koło dworu będącej, a konie i pocztalter we dworze do biskupstwa Poznańskiego należącym stoją. Dzierżawcą wsi jest JMP. Oborski Szambelan, brat kasztelana Ciechanowskiego znajomego z żony, a w dzisiejszym stanie rzeczy politycznych krajowych, Marszałek Konfederacyi ziemi Litewskiej co tém dziwniejsza, że za czasu sejmu czteroletniego nie tylko był posłem, ale do klubu należał i w municypalność Warszawską był wpisany, co wedle początkowych konfederacyi Uniwersałów nie tylko od urzędowania, ale nawet od przysięgi zupełnie odsuwało i niezdatnym czyniło do wszelkiej funkcyi. Wszakże principia się zmieniają, a tego dowodem nie tylko powołność względem p. Oborskiego, który został aprobowany może dla tego że nie miał antagonisty jak gdzieindziej, ale nawet Uniwersał obwieszczający że już przysięgi wyma-

gać się nie będą jak od urzędników konfederacyi, tak od tych co do sejmu zeszłego należeli same akcessa i rewersa dostateczne, zmodyfikował pierwsze dyspozycye. O dziewiętej zaledwie stanąłem w Siedlcach, a przybywszy, ledwie mi czasu stało na rozpatrzenie się w kompanii ludnej, którą tu zostałem. Do jutra więc odkładałem obszerniejsze o wszystkiem doniesienie. i t. d.

III. Z Siedlec d, 13 Października.

Zastałem tu oprócz Ożanowskich Kasztelanstwa Wojnickich, z których sama od pięciu miesięcy w Siedlcach mieszka, a nakoniec z mężem w nocy z 12go na 13ty do Warszawy wyjechała. Z dam, gęsto tu przybywających już dla widzenia nowój gwiazdy Polsce przyświecającej w wodzu konfederacyi Targowickiej p. Potockim—IMPanią Karasiowę Kasztelanową Wiską i Lachowiczowę z domu Oknińskie siostry rodzone, Wojniłowiczowę, Instygatorkę Lit. z domu Chrapowicką, córkę z rozerwanego przez rozwód małżeństwa Chrapowickiego Instygatora, który się z panną garderobową matki swój w niesmak familii był ożenił—Kruszewską z domu Markowską przeszłego inte-

ressów JW. Hetmanowej plenipotentą córkę: Chrapowickę ex - kasztelanową Mściłowską z domu Suszczyńską, Lachnickę z domu Trębiczkę i JW. Zarębinę dwiema godzinami przed nami przybyłą. Nierachuję Panu rozwódek, pańien starych, i panienek liczny Pani Siedleckiej dwór składających, lub edukacyą tu biorących, do którego orszaku płci białej przybyła jeszcze dziś wieczorem JW. Dłuska, Starościna Łukowska z domu Krasieńska, Marszałka konfederacyi barskiej córka, o której w listach poprzednich namieniłem, że wiernie do konstytucyi majowej wzdycha. Co do mężczyzn, oprócz Potockiego Marszałka Targowickiego i z nim przybyłych dwóch synów Szczęsnego i Stanisława, Borzęckiego, Komorowskich dwóch, pierwszej żony JW. Potockiego nieszczęśliwie ze świata zgłodzonej, jak całej Polsce wiadomo, braci—Modzelewskiego kawalera Maltańskiego, Swaryczewskiego, Krasickiego majora, Adama Potockiego syna Wojewody Bełzkiego z pierwszego małżeństwa z Sapieżanki dziś Sołtykowej spłodzonego,—Suchorzewskiego i kilku oficerów nowego konfederacyi związku, znalazłem JW. Hetmana Ogińskiego, Ożanowskiego Wojnickiego i Chrapownickiego ex mścił-

wskiego, Kasztelanica, Kruszewskiego i Karasia, Wisłoucha, Podkomorzego Brześcińskiego, Jordana, Wojniłowiczów Justygatora i Adjutanta Hetmańskiego majora Klejsta, który do rady wojennej czasu zamieszek z Rosyą Iudykiem był przydany. Sierakowskiego przyszlęj polskiej legacyi w Sztokolmie sekretarza i wielu innych, już domowych w Siedlcach, już w towarzystwie z wymienionemi przybyłych, których liczba znaczna najwydatniej się przy obiedzie okazała, albowiem dwa stoły wzdłuż dwóch sal zastawione, ledwie nas pomieściły.

Księcia Prymasa już nie zastałem, bo był dwiema godzinami przedtém wyjechał do Warszawy, zabawiwszy tu przez półtora dnia dość wesoło, jak gospodyni domu upewniała, ale nie wiem, czy akces do konfederacyi uczynił. Domyślałem się jednak, że korzystając ze zdarzonej sposobności widzenia się z marszałkiem zrobić go musiał, albowiem przed wyjazdem z Warszawy pokazywał mi biskup Inflantski przygotowany już dla X. Prymasa akces z recessem od Sejmu zeszłego, jakiego od wszystkich Senatorów i posłów wymaga konfederacya.

Marszałek Potocki chciał wprawdzie w nocy tegoż dnia którego do Siedlec przybył po-

wracać do Brześcia, i konie tak pod ekwipaże jego rozebrane zostały, że nie mógł ich dostać, ani na poczie ani u furmanów — uproszony jednak od JW. Hetmanowej aby ranego nie odmawiał obiadu, nietylko się nań dał skłonić, ale nawet resztę dnia tu jeszcze przepędził, zobligowawszy mnie i żonę moją, abyśmy także zostali. Łatwo nam to przyszło spełnić, bo nie było czém wyjechać. Być może iż przez cały obiad nieustannie bawiąc się rozmową z żoną moją, miał zamiar jeszcze spędzić w ten sposób i wieczrę, co też nastąpiło, nieprzestannie bowiem z nią mówił, i dla tego pozwolił się na resztę dnia zatrzymać. Znając doskonale Potockiego, który raczej mrukiem jest, niż skłonnym do gawędki, zadziwił się pan, że kilkogodziną bawił się rozmową, ale i ja bym temu nie wierzył, gdybym na oczy nie widział; tém bardziej, że w dniu wczorajszym zagadniony przezemnie, iż miałbym do pomówienia z nim, nietylko w dyskurs nie wszedł ze mną, ale się nawet stronić zdawał.

Nie mogłem wprawdzie słyszeć co było przedmiotem stołowej rozmowy Potockiego z żoną moją, ale mi ona co ciekawszego powtórzyła, a ja tém skwapliwiej się komunikuję

panu, że w dzisiejszym czasie, roztrpność każe wszystko zbierać i kombinować dla odgadnięcia przyszłego losu naszego, nizać musimy na nitkę to wszystko, co sposób myślenia pierwszych aktorów nowego teatru politycznego, w jakimkolwiek świetle nam daje.

Życzenia tedy najprzód, aby konfederacye się nie cudzały z królem, i miasto tłuc się po kątach zjechały do Warszawy, dla wspólnego z królem radzenia ojczyźnie, dały powód żonie mojej do zapytania Potockiego, czy Warszawie odjęta całkiem zostanie przyjemność poznania nowych wodzów rządu? Na co zapytany odpowiedział, iż co się tyczy jego samego, po akcesie króla i dla wygody oraz dopilnowania egzaminatorów magistratur, nie byłby od tego żeby się konfederacye przeniosły do Warszawy, pewien siebie że żadna intryga zdania jego nie zmieni, ani też stchórzyć może dla czystsze sumienia, które mu żadnych nieprzyjaciół widzieć niedopuszcza — ale w tej mierze zawisł zupełnie od woli cudzej... Dalej spytany o sejmie kiedy i gdzie by był spodziewany, odparł że podług niego, żądanym był jak najrychlej sejm w Grodnie, gdzie po odbyciu przez konfederacye w Warszawie wszystkich dyka-

sterjów, po uformowaniu projektu do praw i formy rządu przyszłego i dość pożytecznego, możnaby postanowić dla kraju w przeciągu sześciu niedziel, a na tak krótki czas i królowi i innym zjechać będzie łatwo.

— Któż jednak zaręczy, przerwała żona moja, aby sejm przyszedł mając tak wiele do reformowania na nowo nie stał się znowu tak przeciągłym jak ostatni?

— A no, rzekł Potocki; przykład wzmieniony powinien być nauką, abysię chociaż w najlepszych zamiarach nie zaciekać; — wiele — dodał — ustaw z sejmu przeszłego mogą z małemi odmianami pozostać, a trzeba też następnym zastawić zasługę równiej pracy dla ojczyzny, nie nabierając na siebie zbyt wielkiego ciężaru. Dla tego samego, rzekł, istno, Grodno na sejm przyszedł wybrać należy z ekskluzją Warszawy, aby brak wygód zbyt kownych, do krótszych obrad był pobudką.

— Jest więc nadzieja, że wiele robót przeszłego sejmu, otrzyma cechę prawa na przyszłym? — mówiła dalej żona moja — na co Potocki:

— Zapewne i do nowego przerabiania możeby nie przyszło, bez rewolucyi 3 Maja, a nie

mówiąc już o sukcesyji, bez nienaturalnego aliansu z Prussami i nieroztropnego konceptu Infantki, zdrady miejskiego stanu pod pozorem dobra jego, małoważnych praw w rzeczy stanu wiejskiego i nieroztropnego srożenia się na Rossyą, któraby nie weszła do Polski, gdyby w marcu roku terażniejszego nawet, Sejm z nią polityczniej był chciał postąpić.

Te i tym podobne rozmowy Potockiego z żoną swoją, przerywała często pani Hetmana, przestrzegając ażeby zapomniawszy o jedzeniu nie oddawał się polityce.... W ucinowych swych rozumowaniach powiedział między innemi Potocki, że Warszawa nie zna lub znać go nie chce, gdy się lęka zemsty i jakiego bądź srożenia się konfederacji, że w całym swym życiu nie miał i nie znał nikogo nieprzyjacielem, albowiem przekonany jest że więcej na świecie przeciwności doznawać się zwykło, ztąd iż każdy bliższym jest siebie, niżeli drugiego (?) i że przeto nie wie gdzieby miał umieścić w swym dykcyonarzu to słowo nieprzyjaźń lub zemsta... Lubo są co go namawiali i namawiają aby tak postępować z drugimi jak coby postąpili, gdyby moc mieli po sobie, nie usłucha ich jednak. Co do przysięgi, na

którą się powszechnie uskarżają, odpowiedział Potocki, że Warszawa nie musiała czytać Uniwersału, gdy mniema, że konfederacja wszystkich bez wyjątku do wykonania jej zmusza. A gdy żona moja oprócz innych przykładów w Litwie zdarzonych sekwestrów dóbr do osób nieskładających przysięgi, cytowała na poparcie przymusu zniszczającego świętość jej—surowość postępku z panem Potockim starostą Szczerzeckim—odpowiedział marszałek, że konfederacja o tém nic nie wie, i zapewne szczególne jakieś były powody do takiego z posłem polskim u Porty postępowania.

Co jednak nadewszystko w relacji uczynionej mi przez żonę swoją zadziwiło mię, i do dochodzenia jaki był cel dyskursu Potockiego skłoniło, było właśnie że, jakem wyżej doniósł panu, lekko i bez zastanowienia się nadmieniwszy naprzód o najgłówniejszym punkcie sukcesyji, w końcu przez różne potoczne materje, wprowadził znowu rzecz o tém, powiadając że pan Kosburg nie tylko był zdziwiony, ale zgorszony listem króla, w którym koronę polską sukcesyjną ofiarował W. księciu Konstantemu, i że cesarzowa ani sobie o tém mówić dozwoliła. Gdy żona moja oświadczyła ztąd

podziwienie swoje, z powodu że propozycja nie miała obrażającego, a skutek jej gdyby miejsce mieć mógł zawsze by dla W. księcia był dogodnym i zaszczytnym, gdyż inaczéj na apanażu swym by pozostał — odpowiedział wprawdzie na to Potocki coś, ale tak mało przekonywującego, że odpowiedź jego ani w umyśle, ani w pamięci nie zostawiła żadnego wrażenia. Ja zaś pozostaję w przekonaniu, że moje co do losu Polski wróždy, o których tylokrotnie panu mówiłem najprawdopodobniejsze, i suponuję że Potocki wzmiankował o sukcesyi dla tego, aby zamiary nadal jeszcze ukrytemi były do niejakiego czasu, póki się nie wyjawia, co to o nas myślą, co nie sądzę aby Cesarzowa JMśc nie dała poznać Potockiemu tego, z czém się wydała przed Hetmanem Kossakowskim, że za perspektywę Tronu dla wnuka wcale się nie gniewa.

Miałbym jeszcze wiele do pisania o osobie, której charakter, postępowanie każde, sposób życia, zabawy, rozmowy i myśli nawet nietylko bawią ale ciekawość pobudzają całej Polski, gotując się jednak do ранnego wyjazdu, gdy zbyt by mnie dłuższy list trudił, a spoczynku potrzebuje, odkładam ciąg dalszy na dzień in-

ny; bo nie jeden sukursu przypomnień starszych wymagać będzie.

IV. Z Brańska, d. 14 paźdź. o 2-giej po północy.

Późno w noc przeciągnąwszy podróż, bośmy w Siedlcach zamarudźili, i dla mszy niedzielnej, a targu z furmanami, ledwieśmy o godzinie dziewiątej wyruszyć mogli, poczynam od tego list mój, że klejące się do snu oczy, krótkim mi być nakazują, a szybszym niż poczta (z powodu przepędzonych koni) — pędem biegnąc do końca listu, donoszę ci, że przez cały dzień ledwie ujechał mil siedm do Krzemieńca, a ztamtąd po przeprawieniu się przez Bug, pół szóstej mili do Brańska, zabrały mi dwie godziny nocnej jazdy. Pod Krzemieńcem widziałem ślady opuszczonego obozu, a w Polikrach czynił nam relację pocztmajster, jak samowolnie jenerał Zabiello opuścił zręczność potyczki z Denisowem, i zrobienia sobie sławy na jaką zasłużył jenerał Kościuszko. Tu w Brańsku pierwszych spotkaliśmy żołnierzy ruskich konsystujących na kwaterach, gdy naszego wojska od Warszawy także nigdzie nie widzieliśmy.

Słyszałem po drodze podobne Warszawskim, ale zarówno niesprawiedliwe narzekania na króla, jakby dane przezeń rozkazy komendantom do cofania się, były powodem szczęśliwego ocalenia drobnej komendy generała Denisowa, z której, jak mówią, inaczéjby noga nie uszła. Lecz daremnie chciałby się generał Zabiello tym głosom puszczone w obieg przed publicznością osłaniać, wielka bowiem różnica między napadaniem na nieprzyjaciela, co mu było zakazano dla politycznych względów bardzo słusznie, a bronieniem się, jak wypadło uczynić w Krzemieńcu. Raczej naganiać wypada brak dbałości w komendancie o dobrych szpiegów, których, gdyby był miał, wiedziałby, że kiedy generał Denisów atak przypuścił we dwa tysiące kilkaset ludzi, oddzielił się niebacznie od większej komendy znajdującej się o pół szóstej mili w Brańsku; a generał Zabiello w tak dobrej za Bugiem znajdował się pozycji, że mógł być w obronie, zniósłszy Denisowa dopiero ustępować, gdyby liczniejsza nadeszła komenda. Nicby to wprawdzie, koniec końcem nie pomogło, ale generał Zabiello nie byłby na siebie ściągnął téj plamy, którą czas chyba za-
trze, gdy w innych okazyach więcéj okaże roz-

tropności i odwagi — nie daj tylko Boże, by czas ten do minionego był podobny. Lecz dokąd się zapędzam, mnie to czas do spoczynku... i zakończenia listu oświadczeniem etc. etc.

V. Z Białego Stoku, d. 15 października.

Z pod jednej daty list już drugi przesyłam, ale nie z jednego miejsca, gdy po przebyciu mil ośmiu z piątego podróży mojej noclegu piszę... Martwi mnie to wprawdzie, że znacznie opłacając codziennie po 12 koni pocztowych, z pośpiechu jednak korzystać nie mogę — ale to skutek naturalny pory jesiennéj, dni krótkich a nocy ciemnych i złego stanu koni po stacyach, które kuryjerowie ustawicznie biegający, pozamęczali.

W ciągu podróży dzisiejszéj w Brańsku i Białym spotkałem jeźdźców rossyjskich pod komendą podpułkownika Hlebowa kwaterą w Brańsku stojącego i kozaków w Wojszkach, tu zaś stoją komendy wojska polskiego z brygady JMP. Walewskiego, którą dawniej JMP. Potocki Jan generałowicz artylerji komenderował, a złączywszy się z malkontentami, ślepo do dawnego systemu przywiązani, porzucił przez uproszony abszyt i wyjazd za granicę.

Oświadczył się wprawdzie generał przed żoną swoją, jakim już doniósł, że nie ma w myśli najmniejszej zemsty i powolnością raczej niż musiem chce naprowadzać kraj na nowe od-miany, czego poniekąd dowodem jest początkowym, uniwersał ostatni od najciekawiej ułożonej przysięgi uwalniający obywateli, lecz w rzeczy zbytecznych i kraj niszczących furazów, będzie-li panem okoliczności? a w robotach następnych potrafi-li sam być duszą konfederacyi? Być może, i co do mnie, lękam się, by nie było przeciwnie, bo sam się przyznał już, że nie mógł namówić do przeniesienia się do Warszawy, z nami zaś mężczyznami poufnie gadać nie chce, czegom doświadczył w Brześciu i w Siedlcach, a podobno od nas większyby mógł spodziewać się pomocy niżeli od dam, z którymi najwięcej rozprawiać lubi. Wreszcie gmach pracy jaką przedsięwziął, ustawicznego potrzebuje czuwania i pilności, wybadywania co się dzieje w kraju, a przez cały czas w Siedlcach przypatrywałem się jak generał przykuty siedział przy faraonowym stoliku. Ojczyzna prędkiego potrzebuje ratunku we wszystkim, a temperament generała marudny, pośpiechu wcale nie obiecuje.

Może też wcale niewczesna jest ta moja jeremiada — daj Boże, ale... Jeżeli w czém, to w sprawie pokoju i szczęścia kraju chciałbym być fałszywym prorokiem, bo dobrego nie wróżę... a com napisał, niech to będzie zachowaniem u pana dla przyszłego potwierdzenia. Szczerość, z jaką myśli moje wypisuję, niech będzie dowodem przywiązania i ufności i t. d.

V. Z Grodna, d. 16 października.

Kontent jestem zupełnie z dzisiejszej mojej podróży, bo przecie mil dwanaście ubiegłem, i ze skierowania się na Horodnicę, gdzie mnie przyjął na noc JMpan szambelan Badeni, tu znalazłem wiele osób, a konfidencyonalna z nimi rozmowa o wielu mnie rzeczach nauczyła. Zacznę zaś relację od doniesienia, które mnie zmartwiło, ażebym się raz zbył i na później spokojniej kończył to pismo.

Zastałem na Horodnicy oprócz gospodarza, którego żona została podobno w krakowskiem dla towarzystwa brata ex-chorążego Wawrzeckiego, konsystucjonisty najgorliwszego i prze-to dziś niewypowiedzianie rozpaczającego — zastałem mówię chorążego nadwornego Wołowicza i Horaina wojewodzica Brzeskiego, ko-

missarzów skarbowych, kilku konsyliarzów konfederacyi koronnój i litewskiej.... Z tych Wollowicz, Horain i sam gospodarz uważać się poczęli na niezdolne furaze, które kraj z chleba ogalającą, że na wiosnę głodu lękać się należy, a z téj przyczyny i rozpaczę chłopstwa, albo rozejścia się poddanych lub buntu łatwo mogącego się podżęgać przez nieprzyjaciół dzisiejszój w rządzie odmiany.

Pomiędzy konsyliarzami koronnemi, gdym postrzegł Moszczyńskiego Chorążego Bracławskiego, a teraz już marszałka Województwa Bracławskiego, zeszłego sejmu posła, a co go najszcześniejszym czyni, faworyta JW. Szcześnieego Potockiego, z którego łaski został Szefem Regimentu złotych wolności przez konfederacyą ustanowionego i z reformy Cichockiego Regimentu dokompletowanego, przypomniałem sobie doniesienie uczynione przez JMP. Sierakowskiego w Siedlcach, o ułożonój jakoby i przez Potockiego przyjętój formie rządu posłanej do Petersburga, przez kurjera. Chcąc o niój być oświeconym przez Moszczyńskiego, dla którego co myśli Potocki nie jest tajemnym, a on znowu dla pokazania, że mu nie jest tajemnym pochwalić się lubi z czém może, zapyta-

łem go o nią, ten mi następującą uczynił relacyą; — że Potocki sam ręką swoją projekt rządu przyszłego, dla Polski napisał, a ten wytłomaczony przez p. Borzęckiego po francuzku i kurjerem posłany do Cesarzowój JMcI zawierać miał co do istotniejszych punktów następujące: *po pierwsze*, Podział dawny na prowincye — których ma być trzy, te być mają, każda z dziesięciu województw złożona, w nich znowu po trzy powiaty, co do liczby dymów równe. Projektem jest przyłączyć do Wielkiej Polski Województwa Krakowskie, Sandmierskie i Lubelskie; *powtórę*, pomnożenie ministeriów, aby po dwóch było Marszałków, dwóch Hetmanów, dwóch Kanclerzów i dwóch Podskarbich w każdej prowincyi; *po trzecie*, oddział komissyj rządowych, edukacyjnój, policyi, skarbowej i wojskowej podobnie udzielnych na każdą prowincyą z umieszczeniem onych w głównej stolicy, i również wydział assessorii na każdą prowincyą osobnej, wcielając w nie sądy referendarskie, i do spraw miast dozwalając zasiedać w nich assesorom miejskim; *po czwarte*, ułożenie Senatu z 30 wojewodów, po jednemu na cały Generał, z kasztelanów dziewięćdziesięciu, po jednemu na każdy powiat, z mini-

strów jak się wyraziło 24, po ośmiu na każdą prowincyą; *po piąte*, przywrócenie Rady z przeważaniem jęj Dozorczą z ujęciem departamentu sprawiedliwości i rozdawnictwa urzędów jakie były dawniej w radzie; *po szóste*, ustanowienie trybunału na każdą prowincyą, sądu ziemiańskiego na każdy General i sądów primae Instantiae w każdym powiecie, w przedmiocie spraw facti et juris pomniejszej importancyi; *po siódme*, zachowanie z reformą jaka się здаwać będzie normalnego rozgraniczenia i komissyi porządkowych na Generaly tylko rozdzielanych; *po ósme*, zachowanie sejmów ordynaryjnych, podawnemu i sejmów Elekcyjnych, które po śmierci króla bez poprzedzenia sejmów konwokacyjnych zaraz przez prymasa zwoływane być powinny; *po dziewiąte*, zachowanie sejmików poselskich co do wyboru tylko posłów na niedziel ośm przed sejmem, a po tych odbytych ustanowienie zjazdów przedsejmowych prowicyonalnych w wybranych osobach z województw tak tak dla egzaminu dykasterjów jako też dla uformowania Instrukcyi z propozycyi od Tronu i dezyderyów, przez co na sejm tylko trzy instrukcyje prowicyonalne dane będą; *po dziesiąte*, ustano-

wienie stopniowania tak, aby w powiatach oprócz sędziów urzędnicy z niższych na wyższe postępowali aż do chorążego, aby na podkomorzego szedł chorąży albo obywatel co funkcyę odbył, bądź poselską, bądź deputacką, na kasztelana podkomorzy, albo obywatel dwoistą mający jako wyżej zasługę, na wojewodę kasztelan którykolwiek z powiatów do generalu należących, albo obywatel trzykrotnie jako wyżej zasługę, na wojewodę kasztelan którykolwiek z powiatów do Generalu należących, albo obywatel trzykrotnie jako wyżej zasłużony, aby nakoniec na ministra szedł ten tylko, który za granicą odbędzie funkcyą publiczną w chakterze dyplomatycznym; *po jedenaste*, zmniejszenie kompletu wojska do 45 tysięcy to jest po piętnaście tysięcy na każdą prowincyą, z różnym artylleryi podziałem i postanowienie trzech Generalów téjże; *po dwunaste*, determinowanie aby na sejmikach ci do wotowania mieli prawo, którzy się sami do księgi ziemiańskiej wpiszą; *po trzynaste* postanowienie między skarbami każdej prowincyi takiego rachunku aby przez kompensacye wzajemne równa wszędzie znajdowała się percepta; *po czternaste*, wnoszenie do komissyi skarbowych

intrat edukacyj, na którą w każdej prowincyi równy być powinien expens z podobnej jako wyżej kompensacyi, na Akademije, i szkoły w każdej prowincyi zarówno postanowione. *Po piętnaste*, alternata w pełnieniu obowiązków ministrów taka, aby każdy już w prowincyj, już w Radzie dozorczej, zasiadał na przemiany.

Te są *praeter propter* najistotniejsze objekta proponowanej Petersburgowi formy rządowej przyszłej, która lubo w wielu materyach wielką niezwykłością uderza, wiadomość o przesłaniu jakiegokolwiek projektu ukontentowała mnie dla tego, że mam nadzieję, iż niedaremna będzie fatyga w drodze do stolicy, i za powrotem Polska jakąkolwiek formę przywdzieje. Nie było czasu dysputować z pierwszym ministrem autora projektu o wszystkich jakie na prędce postrzegałem trudnościach, dość mając tym czasem na tém co mi doniesionem zostało, troskliwy tylko o zapewnienie się czy w systemie nowym jest utrzymanie powagi i Wezyratu, gdy w tej mierze zagadnąłem p. Moszczeńskiego, odpowiedział mi, że Hetmani témsamém strasznemi być nie mogą, iż ich będzie sześciu, i że pomimo całej usilności osobiwie p. Rzewuskiego władza buław zdaniem Potockiego—

a jeżeli jego przeważy opinia, na tém się skończy, że każdy z Hetmanów w swojej prowincyi kolejno będzie raz komendantem pod komisją wojskową, drugi raz prezydującym w niej. Wreszcie ciekawy, co do przedmiotu najgłośniejszego i najwięcej zajmującego względem sukcesyj tronu, lubo w relacyi swój wspomniał Moszczeńskiego sejmy elekcyjne, ale jakoś o nich nie zbyt się obszernie rozciągał, tłumacząc jak w innych przedmiotach patryotyczne myśli swego pryncypała — zagadnąłem go, iż gdy powaga króla i Hetmanów w Polsce ograniczona będzie według tej planety, lękać się nie należy w Polsce choćby i dziedzicznego tronu, wybrawszy osobiwie familią dla Polski pożądaną. Zgodził się nasz Moszczeński, ale dodał, że determinacya tego od zagranicznej zależy polityki, a konfederacya, nie mogąc tylko wedle swych postępować prawideł w akcie publikowanych, zostawi narodowi wszystko to, czego dokonać nie będzie mogła, ani chciała, z bojaźni, aby jak sejm przeszły zdaleka się nie zaciekla.

Nie chcę pana mego zatrudniać uwagami mnogimi, które mi troskliwość o przyszły los Polski nasuwa, lękam się nawet, aby mnie prze-

konanie moje co do sukcesyj i W. ks. Konstantyna nie zdradzało, gdy się bez fundamentu domyślam tego czego pragnę, wolę więc czasowi zostawiając sprawdzenie wszelkich domysłów, na historycznej poprzestać relacji, tego com słyszał, wstrzymując się od komentarza... a panu dając przedmiot do odgadywania itd.

VII. Z *Leypun* d. 17 października.

Już dzisiaj nocuję na trakcie nieznanym mi dotąd, w którym ponieważ od Narwi samój, krajem i miejscami takimi pojadę. którychem wcale jeszcze nie zwiedzał, lubo trzeci już raz Petersburską odbywam podróż—nie będzie to może gniewać cię kochany przyjacielu, gdy oprócz tego co usłyszę doniesć nie omieszkam to co mi się widzieć zdarzy, i czego wesoło czy smutnie na sobie doświadczyć.

Od Krynicznej gdzie na stacyi przemieniłem tylko konie, rozdwaia się gościniec pocztowy w prawo na Rotnicę do Wilna, a w lewo na Przewalki do Kowna idący. W ostatniem z tych miejsc a od Grodna o mil pięć odległym, dożywotnie zaś jako królewszczyna do Ogińskiego Kuchmistrza Litgo: należącem, zatrzymałem się dla zjedzenia podróżnego obiadku. W przeciągu mojego pobytu zajechał do

Przewalki JM. pan Rosen obywatel Infant Rossyjskich, Rotmistrz w pulku karabinierów dążący przez Warszawę do Wiednia, dla widzenia się tam z przebywającą familią swoją. Rotmistrz znajomy nam już był od czasu konstytucyi w Krasławiu, od wesołych dni które tam oficerowie Niemcy po większej części choć pod pułkownikiem rossyaninem Kozłowem przepędzali—przypomnienie sprawiło że JMP. Rosen, nie cudzając się jak to pospolicie z nieznanymi bywa, dopomógł nam do przepędzenia czasu póki się popas nie skończył.

Z téj relacji o drodze którą przebył dowiedzieliśmy się nie z wielką pociechą że za Kownem na Zmudzi a osobliwie od Kalmiowa ostatniej stacyi przed Mitawą dla deszczów i rozbitych tak czarnoziemiów jak glejów, nie na zbyt pospieszną mieć będziemy drogę. Spodziewając się tedy mitrężnej podróży która tém przykrzejszą byłaby gdybyśmy nocami ciemnymi jechać mieli, równo ze zmierzchem zatrzymaliśmy się w tém miejscu dla nocnego spoczynku, woląc raczej przededniem wyruszyć z noclegu niżeli tłuc się po nocach. *Leypuny* zkaąd piszę inne od tych które są na trakcie wileńskim, a do starostwa Olkienickiego należą,

należały dawniej do domu książąt Massalskich, dzisiaj zaś z nabycia dziedzictwem są JM. księdza Kruszeńskiego, który z audytoryi i z danej sobie przez księcia biskupa Wileńskiego sposobności tyle zebrał, że można mówić, iż go łaską jego własną wyzuł z téj fortuny wprawdzie kupiłby nie on to inny, bo biskup na spłacenie synowicy swojej księżnej de Ligne, córki nieboszczyka Massalskiego podskarbiego potrzebował pieniędzy. Lecz gdybym na miejscu rzeczzonego kanonika był, wołałbym co lepszego nabyć anieli same lasy sosnowe, a zatém grunta piaszczyste i chłopków którzy na złym gruncie ubodzy być muszą.

Ośm mil od Grodna tylko odbiegliśmy dzisiaj zamiast dwunastu które na dniu wczorajszym ujechać udało się, nie byłoby to przyzwyczajeniem do marudniejszej nadal jazdy? lecz niechęć sobie psuć dobrej myśli.

III. Z Balbierzyszek 18 października.

Lubo już zaprzężone były do naszej karety, w zamiarze przebycia jednej jeszcze stacyi choć po zachodzie słońca i lubo na wcale niegościnnym napadliśmy gospodarzów w tém dziedzicznym JW. kasztelana Żmudzkiego Tyszkiewicza miasteczku, dla opóźnionego atoli przy-

bycia bryki od której niechcielibyśmy być daleko, bo późno układłszy się, nie bylibyśmy w stanie wyruszyć rano — przedsięwzięliśmy zanocować w tém miejscu z żalem iż za cały dzień tylko półosmiej mili się zrobiło.

Mile zaledwie ujechawszy od Lejpun, pod karczmą zwaną Ś. Jańską drugi raz przez Niemen przyszło się przewozić, co wielce mnie zastanowiło, z przyczyny że pojąć nie mogłem dla czego dawniejszy trakt który szedł na Merecz a ztamtąd zwracał się do Olity, zmieniony został z przykrością dla podróżnych w pomnożonych przewozach. Ale na pierwszej stacyi zaraz w Kryksztanach w wiosce należącój do starostwa Mereckiego w posesyi szwagra mojego Józefowicza będącój, uspokojono mnie gdy poczmistrz oświadczył że i dawniej do Olity dojeżdżając, potrzeba się było przez Niemen przewozić, a dla uniknienia tego, należało stacyą pocztową nie w mieście Grodnie lecz przed przewozem tamże będącym ustanowić, by od dwukrotnego przez rzekę przewożenia się jadących z Warszawy do Petersburga uwolnić. Przewóz przy karczmie Ś. Jańskiej był przyczyną, że się od bryki oddzielił, która do Kryksztan jeszcze nie była ściągnęła, gdyśmy

się w dalszą puścili drogę, po lekkim śniadaniu kieliszka likworu i kawałka chleba z masłem. W Olicie o półczwartęj mili od Kryksztan, a półszóstęj od Lejpun nie jadłem obiadu dla niedojścia bryki na której był kucharz, a ztamtąd mil dwie ubiegłszy do tego miejsca lubo zupełnie głodni, niedopraszaaliśmy się niczego przecie od tych kobiet które się tu gospodyniami być zdały. Jedna z nich stara najwięcej krzątała się w domu, druga półwieczna mruczała tylko na łóżku siedząc i z dzieckiem się pieszcząc, trzecia najmłodsza słudze tylko rozkazywała. Całemu temu babskiemu tryumfeminatowi jak miłosierdziu podobalo się nam tego to owego użyzyć, gdyśmy jednak po ściągnięciu bryki około dziewiątej godziny przedsięwzięli nocować w Balbierzyskach, staruszka co się najwięcej krzątała tak dalece żeśmy ją zrazu wzięli raczej za sługę niżeli za współgospodynię, niemogąc suać znieść dłużej byśmy zostawali w nieświadomości czém była, wszczęła dyskurs i zawiadomiła nas że jest w dową po oficerze, że mężem jej był Sartoriusz brat, jak twierdziła JPana konsyliarza Sartoryusza, pocztą w Warszawie zawiadującego (lubo JPan Koch sociusz podróży naszej wiadomy familii konsyliarza, zaprze-

czał temu.— Powiedziała nam téż że owa półwieczna kobieta była jej córką, żoną szlachcica przez męża porzuconą, a dziecię z którym się pieściła, wnuczką jej z siostry urodzoną, że najmłodsza jejmościanka była także wnuczką staruszki z innnej córki, w szesnastym roku dla smutnego doświadczenia skutków stanu małżeńskiego nie pragnąca wcale słodczy jego kosztować i t. d.

Wątpię żeby ta relacya mogła go wiele obchodzić, lecz wybach na ten raz że cię to historyą utrudzam, i dzieje kafenhauzu w Balbierzyskach z taką opowiadam precyzją, bo to czynię dla własnej dystrakcyi i opędzenia się smutnym przeczuciom, które mnie z powodu dalszej podróży napadają. Codzienn bowiem mniej mil ujeżdżamy, drogi coraz szkaradniejsze, grunt z piaszczystego zmienia się na glinę, i czarnoziemy wprawdzie żyzne, ale do przebywania trudne, słowem nie lepsze ale gorsze obiecywać sobie potrzeba...

IX. Z Kowna. d. 19 października,

Znowu przez cały dzień podróży tylko mil ośm zrobiliśmy do dziesiątej w nocy, a wygodny szczególniej nocleg u brzuchatego pocztmi-

strza p. Essau osłodził nieco przykrości wolnej jazdy. Przyczyną jednak nie była sama zła droga, albowiem dwie mile ujechawszy z Balbierzyszek w Prenach kował z rymarzem zabrali dwie godzin z górą, pierwszy dla zrobienia nowej buxy w przednim kole karety, drugi dla naporządzenia targańca zerwanego w niej pod Prenami, w wyboju, który nas do wyjścia z powozu i deptania gliny przymusił.

Preny królewszczyna po śmierci Butlera, którego rezydencji tu ustanowionej dowodem jest drewniany gmach dosyć wygodny jak nam mówiono — teraz w dzierżawie dożywotniej i emfiteutycznej księcia Sapiehy generała artylerii litewskiej, na zeszłym sejmie marszałka konfederacji litewskiej. Miasteczko wcale nie wygląda na stolicę starostwa od stu górą tysięcy intraty; pocztylioni wprowadzili nas nie do pocztowego domu lecz do austeryi, w której miał być kafehaus, tam nadspodzianie znaleźliśmy IMP. Stegentyna podpułkownika i Ziemeckiego majora regimentu buławy polnej, oczekujących nadejścia pułkownika Gedrojcia z całym regimientem na zimową konsystencją. Jakoż w czasie zatrzymania się tu naszego, nade-

szły fury z choremi tegoż regimentu i wiadomość że na noc cały miał tu ściągnąć.

Widok chorych i kompania oficerów, którzy się na wojnie znajdowali acz krótko, dały mi powód zapytania o generałów, którzy wojskiem litewskim komenderowali i potyczki w których uczestniczyli. Usłyszałem że Zabiellowie na tak niefortunna zasłużyli reputacją, że oficerowie i żołnierze jak na śmierć bezwinną skazani szli pod ich komendę, szczególnież uskarżali się na Michała Zabiellę, o którym Ziemecki major mówił, że nigdy szpiegów nie miał, nigdy, oprócz raz jeden w Krzemieńcu, gdzie niepotrafił z tego korzystać — placu dla wojska dobrego nie umiał wybrać, na podjazdy małe kupki jak na stracenie komenderował, i dla tego pułki Kirkora i Bielaka z ludzi i koni poogałali; za najmniejszém doniesieniem, nie nakazując dotarcia i przekonania się o prawdzie relacji, za usłyszeniem najmniejszego wystrzału, zaraz bić alarm nakazywał, tak dalece iż raz się trafiło, że odgłos grzmotu dał do alarmu hasło i cały obóz gotów był do rejterady, gdy nadchodząca chmura wskazała nieprzyjaciela w powietrzu. Z uprowidowaniem wojska w potrzebne magazyny nigdy się wcześniej nie pośpie-

szyl, i gdzie nadciągnął tam dopiero o furazach myślał, z kąd poszło iż najczęściej dwie i trzy doby żołnierz mrzecz musiał z głodu, a zmuszony do rejterady przez nieprzyjaciela zostawił potem dla niego zebrane zapasy. Pomimo głodu którego doświadczało wojsko całe, o sobie był jednak pamiętnym, a darmo zrzucał na króla winę, jakoby ten rozkazał beczynność i ucieczkę, gdy w kilku okazyach a mianowicie pod Krzemieńcem mógł poraziwszy w obronie przeciwnika porządnie w tył się posuwać, nie zaś po ośm i dziesięć mil czasem pędzić piechotę i artylerję. Po akcesie królewskim do konfederacyi tentował oficerów aby wszyscy o abszyt prosili, lubo w tej mierze mało znalazł powolnych, a nakoniec całe wojsko przyprowadziwszy do Stanisławowa bez zdania komendy komukolwiek, nie nikomu nie mówiąc, porzucił je tam, tak że niewiedzieli cale pod czyjem dowództwem zostali.

Te i tym podobne pochwały jenerała lejtnanta i posła, który był pierwszym jako członek sejmu do zapalenia wojny uporeczywem nastawianiem na Potockiego, a komendy ani wojska później utrzymać nie umiał — zabrały nam czas którego rzemieślnicy i kucharz do

wygotowania rannego obiadu potrzebował. Po południu ruszywszy w dalszą drogę za ledwie o czwartęj stanęliśmy w Gogach wsi do starostwa Dorsunickiego należąc, dziś w dzierżawie Łopacińskiego starosty Mściśławskiego będącej, jako drugiego męża z Ogińskich Ogińskiej starościny Dorsunickiej.

Przeprężenie koni niewiele zabrało czasu, o piątęj z Gog wyruszyliśmy i żeby nie trzeci przewóz jeszcze przez Niemen w Poniemuniu, dobrach Prozorowskich o pół mili od Kowna leżących, godzinę pewnie wprzód stanęlibyśmy w tym mieście dosyć murów mając, a dla starożytności swęj i liczby mieszkańców, zasługując na trzecie po Wilnie i Grodnie miejsce. Warte jest Kowno ażebym się nad niem zastanowił, i dla tego nie zamykam listu, ale go tylko przerywam spodziewając się dla zgruchotanego w bryce drąga, że jutro coś jeszcze nowego po dniu zobaczę.

W sobotę rano dnia 20 października.

W rynku zamurowanym zupełnie kościołami i kamienicami znalazłem się, wyjrawszy ciekawie przez okno z pocztowego domu, a lubo wczoraj jeszcze choć w nocy ulice z domów

i kamienic po większej części murowanych dostrzegłem, jeszcze się dziś lepiej zapewnił formą i architekturą gotycką budowli, że Kowno musi być starożytne i dawniej mogło być zamożne, kiedy pomimo częstych przemian i bezrządu najfatalniejszego dla miast naszych, tak znaczne w niem pozostały kwitnienia ślady. Co to za różnica, pomyślałem, między Trokami stolicą jakoby województwa tego nazwiska, a Kownem powiatu tylko miastem stołecznym, do generała Trockiego należącym. Postanowiłem sobie stale w przyszłych układach uporeczywie stanąć przy tém aby podług planty P. Potockiego, o której już nadmienilem, podziału każdej prowincyi na dziesięć województw, a województwa na trzy powiaty — Kowno było nadal stolicą jednego województwa, co łatwo by się uczynić dało z województw Wileńskiego i Trockiego w dawnym składzie mających wielkich powiatów dziewięć, a w nowym ostatniego sejmu trzynaście — formując na przyszłość cztery pod nomenklaturami naprzykład Wileńskiego, Grodzieńskiego, Oszmiańskiego i Kowieńskiego.

Radbyłbym być bardzo mieć przed oczyma historią domu Jezuickiego w Kownie, bo bym

w niej znalazł pewnie coś o miasta tego początkach i w jakim ono zostawało kwiecie, kiedy kupcy z Memla przyjeżdżali tu, i ze składów tu-tejszych kupując zboże i inne produkta, sami je ztąd własnym już kosztem do portów morskich Niemnem spławiali. Nie była wtedy ta część Litwy, która po nad rzekami do Wilii i Niemna wpadającemi się rozciąga, na dyskretyci jak dziś rządu pruskiego... ale trudno też odmienić skład rzeczy jaki jest, nie obalając potencyi pruskiej, a miasto próżnego życzenia tego co Polak sam bez cudu Opatrzności dokonać nie potrafi — dość mi będzie przydać jeszcze jedną uwagę. Kowno leży w pozycyi szczęśliwej, w żyznym i zagospodarowanym kraju, w węgle dwóch rzek Wilii i Niemna — gdy więc wedle nowej planty jest pomysł ustanowienia tylu wojewodów ile województw i tylu kasztelanów ile powiatów, potrzebaby aby w prawie zamieszczono obowiązek koniecznego mieszkania wojewodów w stołecznym mieście generału. To by na ziemię powoli gromadziło do miast obywateli, i miasta podnieśćby się cokolwiek mogły.

Wybija godzina dwunasta, trąbka zwołuje

nas do pojazdów, kończę więc list, chcąc być ile życie potrwa twym przyjacielem i t. d.

X Z Kiejdan dnia 20 października.

Trudno było wyjechawszy o południu i dwakroć się przewożąc, bo w Kownie przez Wiliją, a pod Kiejdanami przez Niewiażę, więcej mil sześciu ujechać, zwłaszcza przy dniu krótkim i drodze już coraz gorszej w tych stronach, od natury co do pożytków i produktów ziemi mniej uposażonych, uboższych niż powiat Grodzieński. Przydać jednak winienem, że cały ranek strawili mi rzemieślnicy.

Na przewozie przez Wiliją w samym Kownie nad spodzianie spotkaliśmy JMP. Gedroicia generała, a dawniejszego vice-brygadiera w brygadzie Kowieńskiej z żoną i synem jadącego do Wilna. W Babłach zaś, stacyi ufundowanej w starostwie do domu Prozorów dożywotnie należącym, a złożonym z jednego miasteczka, które z nowego prawa wolnego rzeczypospolitej miast przywilej otrzymało, blisko dworu i majątku dziedzicznego Prozorów sytuowanego, o mil trzy od Kowna, znaleźliśmy podróżnych jadących z Petersburga wcale nam nieznajomych. Ci, lubo żonie mojej, jako damie usta-

pili miejsca najpoważniejszego, w głębi pokoju, a sami się koło pieca ulokowali, takie jednak zachowali incognito, cicho między sobą rozmawiając, żeśmy ani od nich, ani od ludzi zkadby byli rodem dowiedzieć się nie mogli. My między sobą umyślnie to po polsku, to po francuzku, to po niemiecku rozmawialiśmy, dodając im ochoty, aby się ze swym językiem wydali, ale próżne były starania nasze! Żałowałem że nie miał włocha i anglika z sobą, bobym ja sam z pierwszym, a syn z drugim wiodąc rozmowę, przerwali może niemotę tych, których już za Włochów lub Brytańczyków poczytywaliśmy... Konieczność obrachowania się z pocztmajstrową przymusiła wreszcie najlepiej ubranego, chociaż po podróznemu i w pantoflach do otwarcia ust, ale kilka słów wymówionych po rusku zostawiły nas w pierwszej niepewności... już nawet i pokusa nam była odeszła do wiadywania się z kim hazard nas pod jednym dachem połączył, gdy nad spodzianie pantoflowy nieznajomski przybliżywszy się do nas, przemówił po francuzku dla pochlubienia się podarunkiem cesarzowej JMci w soliterze najmniej kilka karatów wagi mającym, a dwakroć tylko rzniętym... Rad z podziwienia naszego

i pochwał, z wrażenia, jakie podarunek uczynił na umysłach, oświadczył prośbę nieznaną, abym go JM. panu Kobentzel ambassadorowi wiedeńskiemu w Petersburgu przypomniał. Naturalnie wynikło z tego, że go spytać musiał od kogo jestem o to obligowanym, ale nie dopuszczając interogatoryjów doniósł mi sam o sobie cudzoziemiec, iż był hrabią Stahrenbergiem wysłanym od cesarza Franciszka II-go z Frankfurtu do Petersburga z oznajmieniem o lekcyi i koronacyi jego.

Domyślać się możesz przyjacielu, że spotkanie to ile było wprzód zabawném, gdyśmy się bezskutecznie mordowali, chcąc odgadnąć podróżnego, tak się stało później miłem, kiedyśmy się zbliżyli. Na zapytanie moje jeśliby należał do tego Stahrenberga, który był posłem Franciszka I. przy dworze warszawskim za Augusta III. gdy przydał, że jest synem jego i sam był naówczas z ojcem w Warszawie, wiadomość ta ucieszyła mnie, gdyż ojcowie nasi w dobrej z sobą żyli przyjaźni i chciałem już przedłużyć rozmowę, ale trąbka pocztowa do dalszej nas powołała podróżny.... Pożegnał się poseł cesarski z delegatem rzeczypospolitej i każdy w swoją ruszył stronę.

Mil ztąd trzy jechaliśmy godzin cztery, a przewóz w nocy przez Niewiażę całą godzinę zajął. Stanęliśmy w pocztowym domu o dziesiątej wieczorem, bryki zaś niedoczekaliśmy się aż w godzinę później. Z tego powodu i żeśmy nazajutrz mszy świętej słuchać chcieli, dróg coraz gorszych w księstwie Żmudzkiem do którego w Kiejdanach wjechaliśmy, obawiając się—markotnych nas wstrzymało. Na jutro niespodziewamy się większego pośpiechu, ale wprzągłszy się w jarzmo, dźwigać je należy.

IX. Z Besajgoły, 21 października.

Niepróżne było przecucie, gdyż dla piekielnej, mogę powiedzieć drogi, od ósmej z rana do północy po błotach i bagnach tłukąc się, zaledwie na noc ściągnęliśmy w to miejsce od Kiejdan mil sześć odległe, późna pora niedozwalała mi się rozszerzać, donoszę tylko że z Kiejdan przebywszy mil trzy, przemieniliśmy konie w Montwidowie, dobrach dziedzicznych p. Grużewskiego starosty Spigłowskiego kalwina. Pocztmajstrowa tutejsza Wyżykowska z mężem także kalwini, a przy nich znaleźliśmy mieszkającego stryja Kossakowskiego tejże wiary, który lat już 82 sobie licząc, jednego włosa niema

Mogily.

siwego na głowie; tenże przed laty 30 był w Inflantach i w Krasławiu, zostawał u szambelana Zaremby, przyjął nas rad i zabawiał przez trzy godziny oczekiwania na konie. Wyjechałszy z Montwidowa około piątej zmierzchno nam zupełnie o mil dwie od noclegu, a straciliśmy więc dwóch godzin przed karczmą o półtoręj mili od Bejsagoły leżącą, nim brykę za grzęzłą w błocie z narażonemi końmi wydobyć przyszło.

Jeszcze nie masz bryki, lubo już godzina pierwsza i dwa wybiły kwadrans wie, Bóg co się stanie, i czy tu cały dzień nieprzypdzie bawić, jeżeli się co połamało, jutro więc spodziewam się mieć czas do ukończenia listu tego.

dnia 22 października.

Już słońce znacznie podeszło do góry, dziewiąta bije, a my najniżej nie mamy wiadomości o bryce, lubo konie pocztowe, które nas przywiozły posłaliśmy jej w pomoc, korzystam więc z tego, aby coś napisać o Kiejdanach miejscu z którego piszę, dla wypełnienia Djarjusza.

Kiedy miasto dziedziczne Radziwiłłowskie, dawniej dosyć znane ze zboru i szkoły kalwin-

skiej, ufundowanej i dobrym opatrzonej funduszem przez Bogusława i syna jego Janusza Radziwiłłów, którzy tu jako założyciele od blisko półtora wieku w grobach zboru spoczywają. Tych to Radziwiłłów kalwinów, darem być muszą znaczne w Niemczech fundusze z pomocą których młodzież polska wyznania reformowanego, znajduje w niektórych akademiach tamtych krajów, nie tylko wszelką do nauki sposobność, ale i na opędzenie swych potrzeb corocznie wypłacaną pensją. W Kiejdanach, zaś tak opatrzona jest szkoła, że nawet w niej rzymsko-katolickiej religii młodzież szlachecka bierze wychowanie. W czasach dawniejszych, kiedy cnotą było prawie prześladować dyssydentów, szkoła kiejdańska pewnie uciepieć musiała i myślę nie bez przyczyny, że rektor szkoły przyjmował do niej katolików, aby tą powolnością zapewnić sobie protekcję. Co do miasta, gruzy wskazują, że musiało być porządne i przy rezydencji dziedziców, dziś w ciasnych spoczywających trumnach, kwitnące, mając rzekę do handlu na wiosnę sposobną, w żywnem leżąc kraju i dla bliskości od Kowna łatwość dostarczania wszystkiego. Dzisiaj nawet Kiejdany podźwignąćby się mogły łatwo

gdyby dziedzic mieszkając bliżej, doglądał sam i pilnował gospodarstwa, ale z rąk do rąk pod skapstwem zastawników przechodząc, nie w górę ale w dół idzie. Całąbym wypisać musiał litaniją, gdybym chciał wszystkich zastawników wymienić, którzy jeden po drugim trzymali Kiejdańszczyznę z miastem. Dosyć będzie gdy od lat tylko kilkunastu wyliczę wedle powieści pocztmajstra. Trzymał ją naprzód Szczyt którego francuzem zwano, bo w służbie francuskiej blisko dwadzieścia lat zostawał, był po nim zastawnikiem szwagier jego Syroć, kasztelan witebski, po nim Zabiello dzisiejszy marszałek w summie trzechkroć sto tysięcy z górą, a dziś Chrapowicki exinstygator lit. stary, dla bliskości od Datnowa dóbr dziedzicznych. Kiejdańszczyzna zawiera miasto więcej sześćset osady, mające i dwieście chłopów w pięciu czy sześciu folwarkach, za co Radziwiłłom dał zastawą sumę czterekroć kilkadziesiąt tysięcy złotych, od której niezawodnie ma więcej pięćdziesięciu tysięcy procentu.

Bejsagoła o sześć mil jakim już powiedział od Kiejdan odległa, jest attinenecją dzisiaj od starostwa Wileńskiego należącą, a w possessyi JMCP. generałowej Poniatowskiej, pierwszego

łoża z domu Kińskiej, matki księcia Józefa synowca królewskiego, od którego zaś czasu Bejsagoła do Wielony przyłączona została, niewiem. Na początku wieku teraźniejszego Naruszewiczówna z domu, naprzód Chodkiewiczowa potem Pacowa, nakoniec Kazanowska za osobnemi przywilejami Bejsagołę i Wielonę trzymała, a przytém starostwo Dangeliskie, o czém z papierów do tego ostatniego funduszu mam pewną wiadomość. Próznobym podobno sobie i panu zabierał czas, nad dobrocią i gatunkiem gruntów tutejszych się zastanawiając, dość powiedzieć, że Bejsagoła leży na Zmudzi, ukrai nie litewskiej, i jabym téj mitręgi jaką doświadcza nie miał gdybym po piaseczkach jechał. Wiele też marudztwa uprzykrzonym przypisać należy pocztmajstrom, którzy koni swoich nie trzymając, podróżnych ze wsi pozbieranemi szczurami wyprawiają, a te niezwykle do pociągu znarawiają się łatwo....

Przerwał pisanie moje IMP. rotmistrz Saccken w służbie rossyjskiej, w regimencie dragon-skim pskowskim zostający i tu konsystujący, przystojny i pięknym wzrostem i twarzą męzczyzna; na którego licu uczciwość i prawość się malują jak najwydatniej. Oficer ten był tak

grzeczny, jak mi doniósł pan porucznik Plater socyzus podróży mojej, że oddawszy nam wizytę, jak się tylko o zagrzechlęj bryce dowiedział, posłał zaraz żołdatów, kowala i stelmach, aby ją skutecznie ratować. Od tego oficera dowiedziałem się, że konsystujący w Kownie brygadyer Mamonów, jego dotąd pułkownik, ma być zmieniony na JMP. Soltykowa, któremu regiment pskowski został oddany. Mamonów na generała postąpił, a regiment, któren porzuca z pietnastu szwadronów złożony i do pięciu tysięcy ludzi zawiera. Znaczna to liczba, lecz komplet nie największy, kiedy czasu wojny tureckiej były regimenta po trzydzięści liczące, których pod najwyższą komendą księcia Potemkina, szefami byli synowcowie jego. — Różnie to tłumaczono, a nawet ambicyą i skrytemi księcia zamiarami, ale mi się zdaje że ta liczba jedynie dla zbogacenia dowódców, tak była podniesioną, gdyż w kraju własnym eskadron każdy, przynosi z gospodarnego zarządu kieszeni szefa, tysiąc i półtora tysiąca rubli, a w kraju obcym dwa razy oprócz niezwykajnych korzyści wojennych.

Przybyły z pocztą uspokaja mnie doniesieniem, że bryka lubo nocowała w błocie, nie się

w niej jednak nie popsulo, a konie, które nas przyciągnęły i ją tu przywożą. Już więc nadzieja pewna, że w Bejsagole nocować nie będziemy, i list ten kończę resz tę do przyszłego odkładając.

XI. Z Radziwiłszek, d. 22 października.

Mamże się panu mojemu przyznać, że pocztą jadąc, zaledwie dziś mil cztery ubiegłem? nie wszakże pewniejszego nad to, kiedy nocujemy w Radziwiłszkach.. aleśmy wyruszyli po przybyciu bryki o pierwszej z południa, z zamiarem wczesnego zanocowania, aby nazajutrz snadniej nam było przededniem wyjechać.

Co się stanie dowiesz się z listu następującego, teraz zaś donoszę, że ujechawszy mil dwie stanęliśmy w Szadowie, dziedzictwie X. Stanisława Poniatowskiego, przeszłego podskarbiego w ks. lit. Sejm roku 1775 ze starostwa dobra te w dziedziczne zamienił i nadał mu w nagrodę kosztów przez ojca tego i X. Kazimierza ex podkoniuszego koronnego, brata królewskiego, poniesionych na sztyftowanie nowej gwardyi koronnej. To nowe dziedzictwo z królewszczyny, dostało się do rąk ojca a potem syna, po śmierci Fleminga pierwój podskarbie-

go, a w końcu wojewody pomorskiego, nie jest zaś dziś jak dawniej zupełnem. Za dwa miliony przeszło odprzedał ziemi z niego, osiadłej X. Stanisław, Karpiowi chorążemu Upitskiemu, Münstarowi jak zwykle w Kurlandyi od dóbr nazywać zwykli i Krowickiemu, obu bogaczom tego kąta Żmudzi, i innym graniczącym z Szadowem. Reszta z miasteczkiem dziś w possessyi dzierżawnój JMP. Puzyny starosty Michaliskiego, blisko z nami przez matkę Brzostowską synowicę rodzoną babki mojej, spokrewnionego.

Przybył JM. pan Puzyna do domu pocztowego wraz z plebanem miejscowym X. Poniatowskim kanonikiem płockim, podczas przepręgu koni i lubo usilnie zapraszał, abysmy u niego przenocowali, wymówiliśmy się potrzebą pośpiechu, a przez kwadrans czasu, rozmową nas zabawiał o okolicznościach dzisiejszych, dzierżawca Szadowa okazując się wiernym konstytucyi przyjacielem, a akcesu do konfederacyi i recessu od sejmu przeciwnikiem, ubolewając przytem nad exorbitancjami wojsk, furazami i wszelkiego rodzaju dla nich dostarczeniami.

Z Szadowa mil tylko dwie do tego miejsca przebyliśmy, nocując w domu pocztowym mu-

rowanym fundacyi niegdys podskarbiego Tyzenhauza, pod którego despotyzmem równie z ekonomią tutejszą Litwa cała jęczała.. Byłem ciekawy dla czego attynencja ekonomii Szawelskiej, która przed Zygmuntem III. była starostwem, nazwaną została od imienia Radziwiłłowskiego, alem nikogo tak mądrego nie znalazł, coby ciekawości mojej dogodził. Domyslać mi się chce, że Radziwiłłowski jeden z folwarków ekonomii Szawelskiej, musiał być erygowanym za possessyi Radziwiłłowskiej, bo w domu tym Szawelszczyzna była zastawą, a nie wprzód jak na konwokacyi po śmierci Augusta III. wydobyta została, na fundamencie, że bez woli sejmu królowie polscy dóbr stołowych alienować nie mogą, szczególnie, że to było w chwili gdy dekret konfederacyi z 1764 roku księcia Karola od urzędu województwa wileńskiego odsądził: pro *hoste patriae* go deklarując. Obiecując nam ta, że do granicy Kurlandyi Szawelszczyznę pojedziemy, a zatem dłużej o tém jutro.

XIII. Z Janiszek dnia 23 października.

Wprawdzie gust angielski po Europie rochodzący się, porządku w nieładzie szukać ka-

że, ale co się tycze rachunku, najlepiej jednak po staremu się kalkulować, i expens stosując do percepty zgubnego unikać deficitu. Dokąd zmierzam? spytasz, oto abym się pochwalił, że dla złej drogi i powybieranych wszędzie koni, doświadczywszy, iż dnia najlepiej i najbezpieczniej używać należy, a tego licząc zorzę i zmierzch ledwie mamy godzin dwanaście, postanowiliśmy tylko tej percepty światłości używać i doświadczenie okazało już, że dziś z noclegu o godzinie szóstej przed wschodem wyruszywszy, a dla obiadu nie straciwszy nad godzinę, ubiegliśmy przecie mil ośm, pierwsza przemiana koni była w Szawlach, o mil trzy od Radziwilliszek, druga w Mieszkuciach, o pół-trzeciej od Szawel, zkąd po obiedzie jeszcze do Janiszek tyleż przebiegliśmy.

Przez cały dzień dobrami Szawelskimi jechaliśmy, które są wszędzie urodzajne, bo albo czarnoziem i glina, albo (w mniejszej części) zwirowate mi się zdały. Szawle, stolica ekonomij są dość ludne, a co do budynków, jedna ulica pokątniejsza, którą z murowanemi frontami Tyzenhauzowi winno miasteczko. W czasie przemiany koni Rosenbaum pocztmajster uskarżał się przed nami na hetmana Kossako-

wskiego, który mu za dwadzieścia sześć koni nie dał tylko dziesięć rubli, to jest ledwie sześćdziesiąt złotych, zamiast stu trzydziestu; które dać był powinien. Jeżeli ten postępek godny jest jakiego kapitana, nie przystoi panu hetmanowi; lecz kto zna dawniejszego w konfederacyi Barskiej zagorzałca, co całą Litwę na Rosyą pobudzał, kto śledził życie jego prywatne we wszystkich przemianach, dziwować się pewnie nie będzie wyrządzonej ubogiemu pocztmistrzowi krzywdzie. Całej brygady Kowieńską, dawniej i Cesarską zwaną, a dziś Pancerną, sztab stoi w Szawlach, a przeto w czasie mego przyjazdu znalazłem tu brygadjera Sulistrowskiego i vice-brygadjera Wawrzeckiego. Możeby ta brygada na dawnym swym stanowisku w Kownie pozostała, gdyby Zabiello dziś już generał-lejtnant był jej dowódcą, a że prywatne u nas potrzeby publicznemi rządzą, nie dziwuję się przemianie konsystencyi dziś w Szawlach umieszczonej, gdy vice-brygadjer Wawrzecki bratem jest przeszłego chorążego litewskiego, wszystkiemi ekonomjami litewskimi zarządzającego w imieniu księcia Stanisława, który je ma puszczone kilkunastuletnim dzierżawy kontraktem, a drugi brat tychże

dóbr jest vice-administratorem i wraz z bratem ex-chorążym sześć kluczków trzymają na wspólną. W Mieszkuciach nie tylko porządną znaleźliśmy stację, ale tak grzecznych i ochotczych do posługi pocztmajstrów, że nam przybyłym zaraz wódkę dobrą i konfitury prezentowali. Spytano nas, czybyśmy obiadu nie chcieli, i w pół godziny z największym pośpiechem i serca otwartością tyle nam potraw zastawili, że nie tylko nasza kareciana kompanija z osób sześciu złożona, ale i ludzie się wszyscy nasycili, nie wymagając za to wszystko więcej nad czerwony złoty, co ledwie po półtora złotego wypadło na osobę. Podobnej wygody w całej drodze nie doznaliśmy, a uczynność Mieszkucińskich pocztmajstrów była nam powodem przypomnienia nieludzkości tryumfeminetu w Balbierzyskach.

Z noclegu w Janiskach jeszcze o niczem innem donieść nie mogę, tylko że pozór stacyj nieodpowiada popsutego lepszemu gustowi — jednak mimo z pozoru obrukanego domu, pocztmajstrowie muszą być dobrzy i ludzie, kiedy matkę staruszkę przy sobie trzymają i szanują, co podeszła już kobieta paraliżem ruszona, żonie mojej sama opowiadała.

Żalem nas potem przejął wszystkich. Czyż (tak się słicznie zowie pocztmajster) uskarżając się ze łzami na nieludzką i krwawą krzywdę wyrządzoną przez Kossakowskiego, który nie tylko na stacyi tutejszej jak w Szawlach, dziesięć rubli zapłacił, ale nadto nie zastawszy koni na następnej — biciem przymusił pocztylionów, aby do Mitawy mil cztery jeszcze go wieźli; w drodze zaś tak pędził bez odpoczynku, że dwa konie ledwie nazad wróciły a trzeciego dnia na zawsze okaleczały. — Dla pozorów zaś, że nie darmo dalej ich użył, rzucił pocztylionom z łaski swej nieograniczonej rublów szesnaście.

Pomyślisz przyjacielu że na tego ptaszka zęb mam ostry, i prawda, niechciałbym jednak żeby o tém wiedział, bo mi w stolicy potrzebnym będzie dla przyjaźni jakąś ma z Zubowem i Markowem dwoma matadorami... Za przyjazdem na miejsce posłyszysz o tém więcej przyjacielu, a dziś krwi sobie psuć nie chcąc, przestaję na życzeniu dobrej nocy.

Z Würtawy d. 24 października.

Już nie z brudnego pocztowego domu, ale z książęcej udzielną Rezydencyi piszę, dziś

wygodnie nocować mając, chociaż, jak to zwykle bywa, więcej worka naszego daremna tu gościnność kosztować będzie, niżeli płatna gdzieindziej... Ażebym od końca relacji nie poczynął, powracam nazad do Janiszek...

Równo ze dniem ruszyliśmy z noclegu, gdzie przydać muszę iż podług relacji matki pocztmajstra staruszki, familja tego Czyża znajoma dobrze w Warszawie. — Był jęj tenże majorem w jednej z brygad polskich i dla absolutnego postępowania z pewną cywilno-wojskową komissyją służbę i rangę utracił: zdaje mi się że ten sam o którym ona powiada że od lat dwudziestu niewie co się z nim stało. Imie miał Wiktora, a więc łatwo panu skonfrontować będzie; czy ten który suponuje. —

Po przebyciu don rychło mil dwóch stanęliśmy w Kalwii prawie na samej granicy Litwy i Kurlandyi, bo w pocztowym domu mieszka pisarz celny, którego miejsce bardzo korzystne być musi, jak sami świadkami byliśmy, gdyż niema momentu, aby kto bądź przejeżdżający do Mitawy lub Rygi cła nieopłacał, a przytém pewnie i kozubalce się dokłada dla zaskarwienia grzeczności.

Sądziłem że tu zastanę konie podesłane

przez ks. Kurlandzkiego, jak mi tego nadzieje uczynił w Warszawie p. Manteufel, rezydujący przy królu plenipotencyaryusz książęcy, który o wyjeździe moim i zamiarze wstąpienia do Würtzawy przez sztafety był doniósł — a ludom się w nadziei omylił, niechciałem wszakże zmieniać przyrzeczenia i postanowiłem w Kalwii z żoną, synem i socyuszami podróży, przebrać się dla uczczenia gospodarza. Te stroje i obiad zmarudziły nas do drugiej po południu, a wyjeżdżającym z popasu oświadczył p. Czyż, który do Kalwii nas przeprowadzał, iż gdyby wiedział o zamiarze popasania, koni swych byłby dalej użyczył, co nam też bardzo by miłym było, albowiem przez cały trakt Kowieński i Zmudzki tak dobrych i rośłych jak z Janiszek niemieliśmy, a zaprzężone nam były drobne i mdłe bo chłopskie... Ale zapóźno się z tém oświadczył p. Czyż bo je od godziny odesłał. Lubo więc noga za nogą prawie dla rozbitej gliny na drodze świeżo sypanej, dopełzliśmy przecie do Würtzau o szóstą godzinie wieczorną, a wysiadłszy z karety jużśmy w trzecim pokoju byli, kiedy lokaj co nas przeprowadzał oznajmił że ani księcia ani księżnej nie zastaliśmy, co nas tak zmartwiło że-

śmy zaraz nazad do poczty zabrać się i do austeryi udać na noc albo do Mitawy jechać postanowili, i bylibyśmy ten zamiar do skutku doprowadzili, gdyby żonie mojej na myśl nie przyszło spytać o księżniczki. Gdy nam powiedziano że są, zdało się nam przyzwolitęm zaprezentować się im i oświadczyć ubolewanie żeśmy książąt nie zastali w domu.

Dano im znać o przybyciu gości, i wyszły zaraz na przeciw nas trzy księżniczki, Wilhelmina dwunastoletnia, średnia Paulina, w jedynastym i najmłodsza Jeanetta w dziewiątym roku, z guwernantką panną Forster, córką socyusza niegdyś sławnego wędrownika kapitana Cook i komentora relacyi jego podróży i odkryć, a siostrą tego Forstera, który był czas niejaki professorem historyi naturalnej w akademii Wileńskiej, i ztąd wysłany został przez rząd rossyjski w nową podróż odkryć kosztem Cesarzowej Katarzyny II, chociaż ta do skutku nie przysła.

Po pierwszej zwykłych grzeczności wymianie, zjawił się słuszny mężczyzna, którego jako majora komenderującego batalionem przedstawiła nam panna Forster, a JM. P. Drysen, (tak się zwał) ponowiwszy nam imieniem księ-

cia zmartwienie jakiego dozna z powodu że go niebytność w domu wizyty naszej pozbawiła, zapytał czy pozwolimy dać znać księstwu o przyjeździe naszym? Czemu gdy trudno się było sprzeciwić, zaraz księżniczka Wilhelmina pobiegła napisać bileciki do ojca i matki, a pan Drysen z niemi dwóch wysłał umysłnych w różne strony, gdyż księstwo w dwóch miejscach oddzielnie się znajdowali.

Przed wieczera którą podług wprowadzonej miejscowej godziny ósmej zastawiano, zjawił się i drugi oficer, którego nam jako pana Nolden prezentowano. Ten czasu wieczery rozdając supę z wazy, najpierwszy talerz sam księżniczce Wilhelminie podał, po kolacyi i nie długim dyskursie między żoną moją, guwernantką, księżniczkami i synem naszym Kazimierzem, już między mną a mężczyznami, odprowadzili nas pp. Drysen i Nolden do wyznaczonych apartamentów na drugiem piętrze pałacu.

Na tém się wprawdzie zakończył dzień, ale relacyj jego niemogę dokończyć, nie wzmiankując, że od chwili jakeśmy wjechali w Kurlandya, tuż około stacyj Kalwiskiej gdzie granica jest sucha i niczém nie odznaczona, wszędzie

po stronach widzieliśmy dwory szlacheckie porządne i ziemię dobrze uprawioną, wyrobioną, zasianą, rowami gęsto bitymi osuszoną. Na polach Würtzauskich, na których samą pszenicę, do kilkuset puirów wysianych było, ile od oka miarkować mogłem, rozległe obszary najlepiej znać zagospodarowano. Pałac Würtzauski z trzech tylko boków zamurowany nad samym gościńcem położony, i od niego ogrodem oddzielony, z tyłu ma dziedzińce, a nadto kilka jakoby kamienic dla wygody domowej i przyjeżdżających z obu stron jego stojących, dają mu pozór miasteczka zdaleka. Würtzau z dawniej do stołu książęcego lennych, za Augusta III allodjowane, jest wdowim księżnie przez męża zapisanym majątkiem, dziś zaś najulubieńszą obojga rezydencją, z powodu bliskości Mitawy, gdzie od zgorzenia zamku bardzo rzadko przebywają.

XV. Z Würtzau. d. 25 Października,

Upewniano nas że JMksiążę Piotr Biron panujący Kurlandzki i Semigalski książę, zwykł był wstawać rano, o czém nas sam przekonał gdy z folwarku o mil trzy odległego, dokąd od dwóch dni się był udał, około godziny wpół

do dziesiątej przybył tu konno. Godziną pierwszą oznajmił nam o tém w imieniu księżniczek p. Drysen, a punktualność ta zmusiła pośpieszyć z ubraniem, zwłaszcza że gdzie obiad o dwunastą, a wieczera regularnie o dziewiątą się zastawia, marudztwo warszawskie nie może mieć miejsca. O wpół do jedenastej, po przebraniu się, książę gospodarz raczył nas w naszym mieszkaniu nawiedzić, pomimo wieku, gdyż sześćdziesiąt ośm lat sobie rachuje, dość jeszcze czerstwy i rześki. Po wspólnych grzecznościach, a ze strony księcia oświadczonej wdzięczności za prace i starania moje na sejmie zeszłym w sprawach Kurlandzkich mianowicie w rzeczy sporów między księciem a szlachtą, dobrze panu wiadomych; z mojej, zaś strony po zapewnieniu stałej chęci służenia mu jeszcze w Petersburgu, po prezentacji wreszcie nieznanym jeszcze księciu żony mojej i syna, z których pierwsza w Mitawie, a drugi na świecie nie był jeszcze, w czasie ostatniej mojej tu przed laty więcej czteremnastu bytności, odbytych wstępnych ceremoniach, zeszliśmy na dół na pokoje.

O jedenastej prawie, posłaniec od księżnej powrócił z oznajmieniem iż zaraz po obiedzie

przybędzie, jeżelibyśmy przez dzień dzisiejszy zatrzymali się w Würtzau, a jeżeliby pośpiech nie dozwolił nam zabawić w Mitawie u siostry chce się widzieć z nami. Spytany przez księcia jaką mam myśl, musiałem oświadczyć że pragnąc złożyć uszanowanie naszej księżnej pani przez cały dzień zabawić postanowiliśmy, za co szczerą objawiwszy wdzięczność, posłanca zaraz książę odesłał, z rezolucją. W czasie obiadu punktualnie o godzinie dwunastej zastawionego, w następnym znajdowaliśmy się towarzystwie: książę, nas dwoje, trzy księżniczki, guwernantka, syn nasz i dwaj socyusze pp. Kohl i porucznik Plater, marszałek dworu księcia Klopmann, kamerjunker Fireks, major Drisen, porucznik Nolden i hrabia Truchses, oraz oficer od strzelców książęcych.

Przez cały czas przed obiadem i po obiedzie do godziny piątej, żona moja bawiła z księżniczkami, ja zaś z księciem, który był wcale w dobrym humorze i po wjazdach odbytych przed kilku laty, daleko go grzeczniejszym znalazłem niż przed laty. Po przybyciu księżnej o piątą z południa, na którą z kawą, herbatą i czekoladą oczekiwano, bo razem te wszystko zastawiono na dwóch stolikach pod szafar-

stwem panny Vittinghofownej damy honorowej i p. Forster, — kontynuowaliśmy dyskurs do wieczery, a potem tylko do dziesiątej. Rozmowa tak przeplatana była, że już my z sobą to panie, to ja z księżną, a książę z moją żoną, zabawialiśmy się bardzo ochoczo, i byłoby się to dłużej przeciągnęło, bo księżna marudzić lubi do późna, ale podróży sfatygowana pełne snu miała oczy.

Zamiarem naszym było pożegnać książąt i jak świt wyjechawszy jednym dniem stanąć w Rydze, ale trudno było odmówić uczynionej propozycji abyśmy dopiero po śniadaniu wyruszyli z Würtzau, zwłaszcza że pocztą jadąc, byliśmy na łasce i dyskrety księcia, po odejściu wczora kalwińskich koni.

Rozmów naszych z księciem, oprócz tyczących się gospodarstwa, o którym najuczeniiej mówić może, (łącznie teorię z praktyką, co mu wielkie dało bogactwa) — przedmiotem były sprawy publiczne, a mianowicie tyczące się dzisiejszej księcia pozycyi, tak co do sporu ze szlachtą lubo na sejmie przeszłym rozstrzygniętego, lecz przez konfederacją podniesionego, jak co do protekcyi przez Rosyą danej księżnie Karolowej Bironowej z domu Ponin-

skiej, tudzież co do tak nazwanego Adama, który przedsięwziął podróż do Petersburga dla rehabilitacyi na czci i urzędzie. Oznajmił mi o nim książę że przed Petersburgiem zatrzymany został, nie otrzymawszy pozwolenia wjazdu do stolicy, póki by interessa polskie zaspokojone nie były, z radą aby się póty Adam w Kurlandyi zatrzymał, póki się to nie ukończy. Więcej wskórała siostra jego księżna Karolowa Biron za pomocą cesarzowej, wymógłszy dwanaście tysięcy dukatów, które jęj rocznie na wychowanie dzieci, księciu opłacać kazano. Synowie jęj mają się wychowywać w Rydze. Wyplakała sobie list od kanclerza Ostermana, aby oprócz wymienionęj pensyi dla dzieci i dla nięj téż była opłacaną osobna. Ciekawy byłem z jakowego obrotu rzeczy wynikła protekcyja wysoka okazana przed rokiem dla starszego syna księcia Karola, od urodzenia nazwanego Kalixtem a dziś przerobionego na Gustawa; i dla drugiego młodszego Piotra, ktorzy się zrzekli sukcesyi po dziś panującym księciu, chociaż ten dzieci płci męzkiey niema. Książę zainformował mnie, że to się stało od czasu gdy osnuto projekt aby syn drugi księcia Karola zaręczył się z ks. Wilhelminą. Ja zaś

następną w myśli uczynilem kombinacyą, że gdy z jednéj strony ani Rossya Prusakowi, ani ten jęj nie zechce dopuścić owładania Kurlandya, a Rossya do dzisiejszėj interesów przemiany mogła się lękać przewagi pruskiey na sejmie w posłach wielu o inkorporacyi Kurlandyi do Polski myślących, nie ufając księciu Karolowi przez Ponińskę wspartemu Wielkopolanami, któryby za pieniądze renuncyować mógł Kurlandya na ręce pruskie, z pożytkiem i sukcesyą ewentualną dla męża Wilhelminy Kurlandzkiey—nie było więc polityczniejszego sposobu dla Rossyi jak wysłuchać prośby o protekcyą księżnėj Karolowej, pod warunkiem renuncyacyi przyszlėj sukcesyi przez ojca, syna biorąc na wychowanie zaradzić szkodliwemu wpływowi pruskiemu w Kurlandyi i zarazem starszego po myśli swęj wyedukować i t. d.

Z powodu tejże polityki wynikła pewnie protekcyja przez Rossyą obiecana lubo w wyrazach ogólnych szlachcie kurlandzkiey, uskarżającęj się na księcia w materyi, w któręj lękałbym się cokolwiek bądź przepowiadać, aby miłość własna stronniczego nie dyktowała zdania, że jednak z panem jako przyjacielem rozmawiam, i pewien jestem że rzecz i słowa ważysz, a nie powody któ-

rych kombinacya może czasem omylić—bez bo-
jaźni więc zakończę ten list już nieco przeciągly
tém rozumowaniem, co do zajścia w Kurlandyi
między księciem a szlachtą. Rossya niema poli-
tyczniejszego sposobu do zapobieżenia wszelkie-
mu wpływowi pruskiemu, jak utrzymując pra-
wa zwierzchnictwa polskiego, którém sama kie-
ruje — zapobiegać skuteczniej nie może wszel-
kim szkodliwym nowościom, jak utrzymując
rząd paktami i decyzjami komisarскими któ-
re moc praw kardynalnych mają — ustanowio-
ny; a idąc za temi prawidłami w końcu powin-
na Rossya przystać na wyrok sejmu zeszłego
co do istoty lubo w innych słowach dziś wy-
rażony i utwierdzić w Kurlandyi księcia, już
protegując tego którego następcę edukować
przedsięwzięła, już zaradzając wcześniej aby
arystokracya góry nie brała, i nie ważyła się
budzić dawnych wspomnień rycerstwa mieczo-
wego, któreby nasienie rokoszu do Infant ros-
syjskich wrzucić mogły.

Szkoda że przy swych bogactwach książę
panujący tak jest skąpy, iż często przypomina
przysłowie dwakroć na tém tracąc. Tę to
skrętności a razem nieumiejętności użycia bo-
gactw dla zjednania sobie protektorów, przy-

pisać powinien że każdy użyty do interessów
kurlandzkich kończy na udarciu go nie dla
tego że winien zapłacić, ale że ma z czego dać,
mnie wszakże nie chciej w tej liczbie mieścić,
przyjacielu, bo choć już cokolwiek z księcia zy-
skałem i mam nadzieję większych pożytków,
nikt mi nie zarzuci, abym na to nie zasłużył
szczerze usiłując pracować dla księcia i dla
kraju który jest moim rodzinnym.—

XVI. Allej. d. 26 Października.

Regularność wprowadzona i zachowywana
w domu księcia i dziś ani na minutę nie zmie-
niła się, gdy punktualnie o dziesiątej zasta-
wiono śniadanie, do którego i księstwo przez
grzeczność zasiedli, lubo się od tego dyspenso-
wać mogli. Przed śniadaniem sam książę dla
informacyi mojej doniósł, że lubo na funda-
mencie dawniejszych wiadomości lękał się aby
wysłany przezeń do Petersburga dla spraw je-
go JMP. Brinck nie wyjechał przed mojem do
stolicy przybyciem, dziś rano jednak doszła go
depesza od tego plenipotencyaryusza oznajmują-
ca że podkanclerzy hrabia Osterman, zatrzymać
się p. Brinckowi radził, co dla biednego księcia
stało się balsamem nadziei pomyślniejszych, lu-

bo Altesti przyjaciel Heykinga jednego z zagorzałych, sekretarzem będący u hr. Zubowa może być zawsze na niebezpiecznej przeprawie. —

Po śniadaniu już pojazdy nasze księcia końmi zaprzężone stanęły przed gankiem, a tak około godziny jedenastej, z winną z naszej strony wdzięcznością za przyjęcie, a ze strony księstwa najmiłą uprzejmością, pożegnawszy się dopiero o wpół do pierwszej, ściągnęliśmy do Mitawy, gdzie wysiadłszy wprost do domu JM. Pani de Reck siostry księżnej kurlandzkiej z jednego ojca a innej matki, tu obiadowaliśmy, póki zamiana koni nie nastąpiła.

W domu JM. pani Szambelanowej Reckowej zastaliśmy ojca JM. pana Mantenfel Szambelana i delegowanego księżęcego w Warszawie, miłego staruszka, z którym żona moja przyjemną w czasie obiadu prowadziła rozmowę, niemniej JMP. Medem bliskiego krewnego księżnej, któregośmy w Warszawie byli poznali — Ten przeciwnie doniósł nam że słyszał jakoby Adam w Petersburgu był i tabakierą bogatą udarowany został. — Relacją o tém uczynić mu miał JM. p. Rückman, minister rosyjski — Ten pan Medem odprowadził nas

aż na przewóz przez Musę rzekę albo inaczéj Bulderau, pod Mitawą płynącą.

O milę najdalej za miastem ku Rydze, drugi raz przewozić się nam przyszło przez mniejszą rzekę do Mussy wpadającą Eilau nazwaną, a od obudwu przewozów nieśmy nie zapłacili dla prawa jakie mają Kurlandczycy wolnego bez opłaty przejazdu przez wszystkie rzeki. Przed samą stacją pocztową w której nocujemy gdyśmy do kraju już rosyjskiego wjechali, na granicy przy forpoczcie zatrzymanemi zostały wprzód bryka a potem i nasza karetka dla zaplombowania kufrów i skrzynek oprócz pościeli, i przydania nam anioła stróża w Standrejterze (tak się zowie rewizor konny) który nas miał konwojować aż do Rygi dla ostrożności aby nic w kraj nie było wprowadzone, co by zakazaném było lub odecloném być powinno. Największa baczność na to jest obrócona aby ani assygnacye bankowe, ani moneta rosyjska nie były do kraju przywożone, a to niesłusznie, bo chociaż ten zakaz ma na celu ostrożność dla fałszowanych bankocetli, ale zarazem wstrzymuje obieg ich i powrót kruszcowej do kraju monety.

Pocztmajster tutejszy utwierdził mnie w tém iż na stacji jednej zjeżdżali się Adam z siostrą

swą księżną Karolową z Rygi przybyłą, co utwierdza w przekonaniu że Adam nie musiał być wpuszczonym do Petersburga, boby to nie było potrzebném, gdyby brat z siostrą krótko pierwój widzieli się z sobą w stolicy.

Jutro nie myślę więcej ujechać nad te werst dwadzieścia pięć, które mi tu każą płacić, lubo ich niema wymienionych nad dwadzieścia jedna. Z Rygi spodziewam się pisać z domu gubernatora Barona Pahlen'a, dawnego mego przyjaciela...

XVII. Z Rygi. d. 27 Października.

Ostatni to podobno list mój będzie z kolei dni jak są w kalendarzu datowane, co dla pośpiechu postanowiliśmy przez jedną noc biedz pocztą bez przerwy, a drugą, na stacyi dla spoczynku przebywać na przemiany.

Przybyliśmy do Rygi około godziny jedenaśtej, prosto udając się do rezydencji Generała Pahlena, już w nadziei że nam kąta użyczy do przepędzenia reszty dnia i nocy, już aby powagą jego zasłonić się od rewizyj... co oboje otrzymaliśmy. Dla żony mojej nie mniej przyjemném się stało, że generałową Pahlenową z domu Szepingownę a z matki Budbergownę krewnę swoją, tak przyjazną znalazła, jaką by-

ła przed kilką laty, i w czasie trzechletniej rezydencji ich z pułkiem w Krasławiu.

Nietylko obiad i wieczerza nie nas tu nie kosztowały, ale nadto mnie pięćdziesiąt w wista, a żonie mojej dziesięć rublów w bostona udało się wygrać, chociaż nie bardzośmy grzecznie postąpili ogrywając gospodarzy, zwłaszcza, że państwo Pahlenowie dla dotrzymania nam kompanii odmówili sami wieczerzę u hrabiny Mengden, i niektórych innych od niej oderwali, jako JM. p. Hurkę prokuratora, i Galtuchina sowieтника. W czasie kiedym się rozmową z gubernatorem bawił, przybiegł kurier od p. Strekałowa z uwiadomieniem, że księżniczki Badeńskie, (dla towarzyszenia, którym hrabina Szuwałow wdowa z p. Strekałow wysłanemi przez cesarzową JMC.), na poniedziałek a najpóźniej wtorek staną w Rydze. Po przeczytaniu ekspedycyi dodał p. Pahlen, iż ma rozkaz spotkania księżniczek w Allej na granicy i przeprowadzenia do granicy Rewelskiej gubernii, z kąd dalej gubernator rewelski konwojować je będzie do Narwy, gdzie syn starszy W. księcia, Aleksander dla spotkania ich destynowany. Honory te wszystkie rozkazane dla uczczenia przeszłej wnuki cesarskiej, albowiem z tych

księżniczek starszej trzynastoletniej, lub młodszej jedenastoletniej, jedną W. X. Aleksander ma wybrać na przyszłą żonę.

Zapytał mnie też Gubernator czym nie spotkał księcia Ponińskiego, u nas w Polsce tylko Adamem zwanego, i czy mu wolno order polski nosić, z którymi u niego był w powrocie z Petersburga, lubo tam jadąc miał tylko wstęgę orderu maltańskiego. Zapytałem na odwrót czy aktualnie był przyjętym w Petersburgu, bo doszła mnie wiadomość, że na ostatniej stacyi kazano mu się zatrzymać i do konkluzyi interessów polskich nieznajdować się w granicach rosyjskich. Na to moje zagadnienie, obojętna nastąpiła odpowiedź. — Może był, może nie był i pomiarkowałem z niej, że nie dyskretyą byłoby dalsze z mojej strony pytanie. Podobnie więc odpowiedziałem tajemniczo gubernatorowi, że może otrzymał pozwolenie noszenia orderów od dworu rosyjskiego, który tego mógł żądać od rządu polskiego. Zadziwił mnie nie pomału sekret w tak obojętnej materii, a dalej rozmawiając z gubernatorem, który mało osobistego szacunku dla Adama okazywał, odezwał się, że niegodziło się go odsądzać przynajmniej od marszałkowstwa sejmu 1775 r. . . .

Zginęła mi noc jedna i dla tego na trzecim dniu po ostatnim liście piszę niniejszy o werst sto sześć od Rygi, które po siedm licząc na milę czynią piętnaście jazdy, wprawdzie ciąglej, ale w dwudziestu czterech godzinach w lepszej porze roku około stu sześćdziesięciu zrobić bylibyśmy powinni.

Wyjechawszy z Rygi po obiedzie, a za dnia w niedzielę nie ubiegłszy nad wiorst jednaście do pierwszej stacyi w poniedziałek, zaś dzisiaj przez cały dzień do godziny czwartej po południowej, niepotrafiwszy zrobić nad sześćdziesiąt, od stacyi Roap nazwanej do miasteczka Wolmaru, w którym nocujemy resztą między Neuermühlen a Roapem nocą przebiegliśmy. Nie mogę więc jako obserwator ludzi i obyczajów ani o gatunku ziemi, ani o gospodarstwie tutejszém uczynić relacyi, dobrze że przynajmniej wypiszę panu marszrutę na przypadek, gdybyś do Petersburga kiedy jechał.. Zresztą com z powozu, kraj przebiegając, natrzymał, tém się ochotnie dzielę.

Do Neuermühlen na gruncie dziedzicznym barona Pahlen krewnego gubernatora, piaskami prawie ciągle jechać potrzeba i powoli, a téj

samą niewygody doświadczyć musi podróżny od Neuerhmühlen do Nöthensfahr przez werst piętnaście, i z tej ostatniej stacyi do Engelhardtshaffen, dziewiętnaście; na dziedzicznych zaś ziemiach grafa Manteuffla i barona Nelmers, osadzonych stacyach do czwartej od Rygi Roap zwaną, na dziedzictwie grafa Solms stojącą, twardszym lecz górzystszym jedzie się gruntem, i podobnie z Roap do Lentzenhaffu i Wolmaru. Lentzenhaff należy do Campenhausena. Wolmar miasteczko dziś skarbowe, dla Wolmershaffu dziedzicznego majątku Loevensterna pod same miasteczko przypierające, musiało jak mi się zdaje, za czasu Hermistrzów być rezydencją biskupa Wendeńskiego, a za czasów polskich starostwem nakształt Düneburga, Rzeczycy, albo Lucyna, po zawojowaniu zaś Inflant szwedzkich przez Piotra W. oddzielone zostało pewnie miasteczko Wolmar od Wolmarsshlossu i wsi do niego należących, jak za naszych czasów Düneburg, Lucyn i Rzeczyca od starostw tegoż nazwiska. Szkoda, że historyi Inflant nie mam przed sobą, bo krew moich współziomków i krewnych pod tym miasteczkiem wytoczona, dałaby mi więcej materyi do ukraszenia tej relacyi.

W braku więc przedmiotu to tylko przydam, że dowiedziawszy się w Rydze o konsystencyi pułku karabinierów moskiewskiego w Wolmarze, w którym podpułkownikiem jest JMP. Grubecki urodzony z X. Dołhorukownej dobrze nam z Połocka i Krasławia znajomy, rotmistrem zaś Polak Zawierski, który przez pół roku w Krasławiu konsystował, zaprosiliśmy ich do siebie na stacyą pocztową. Przy herbatce przez podpułkownika przywiezionej, cały wieczór do dziesiątej przepędziliśmy wesoło.

Postanowiliśmy po spokojnym noclegu, wyruszywszy ztąd całych trzydzieści sześć godzin przepędzić na jeździe, poświęcając na nią dzień wtorkowy i środkowy, oraz noc całą je dzielającą. Lękamy się tylko aby zaproszenie podpułkownika na herbatę nie zmitrężyło nam jutrzejszego ranka, o czém już w następnym liście.

XIX. Z Torma, d. 31 października.

Dobrze jest biedz bez przerwy pocztą dniem i nocą, bo w porze jesienną nie mogąc mieć użytku z dnia zbyt krótkiego, śpiąc prawie, człowiek się zdaje przeniesiony, nie wiedząc jak daleko... ale dla obserwatora, straconem jest

wszystko co nocna pora przed oczyma mu ukrywa i z tego powodu mało co o téj części podróży powiedzieć ci potrafię. Niesprawdziła się szczęściem obawa nasza, względem mitregi u podpułkownika, z powodu których opieszałości stał się kłamcą, bo zapewniał, że o szóstéj zawsze już bywa ubranym.

Przejechawszy Wolmar miasteczko dosyć dobrze zabudowane, brukowane istolicą jednego z dziewięciu powiatów gubernii rygskiej będące, ubieглиśmy w trzech godzinach wiorst dwadzieścia kilka i zmieniawszy konie w Hachel na pierwszą godzinę z południa stanęliśmy w Galben, znowu o dwadzieścia z górą wiorst odległym, pierwsze z tych miejsc było majątkiem szlachty Inflandzkiej, a dziś koronnym, drugie dziedzictwem barona Wrangel. Wiedzieć zaś masz przyjacielu, że przemiana dziedzictwa rycerskiego na cesarskie, równie innych dóbr jak tych, nastąpiła przed laty blisko dziesięciu gdy nowa rządu ustawa (Uczrezdenje) i do Inflant zastosowane zostało. Mocą jęj ponieważ Izba Cywilna ustanowioną została i pensye sędziom ze skarbu monarszego wyznaczone, sąd zaś dawny appellacyjny pod tytułem Land-hohe-Gerichte złożony z Landrathów stał się niepo-

trzebnym, przeto i te dobra które na pensyą landrathom ukazem Piotra W. były wyznaczone, powróciły we władanie skarbu. Możeby Katarzyna II, zostawiła była dobra te na zawsze przy szlachcie, gdyby Inflandczycy nie byli się przez lat kilka opierali wprowadzeniu nowego rządu, i nie dopraszali gwałtownie o zostawienie tych majątności w ich ręku.

Mając noc całą przebyć w karecie dla pospiechu, postanowiliśmy jeszcze stacyą ubiedź do obiadu, a tak o czwartęj do Tejlitz przybyliśmy, nie zastanawiając się w miasteczku Walcke, połowie prawie drogi między temi stacyami położoném, lubo mieliśmy pokusę widzieć się z oficerami regimentu moskiewskiego, z któremi poznaliśmy się w Krasławiu. Przed samą stacyą przejechaliśmy po moście pływającym przez rzekę Embach, która odgranicza Estonią od Infant, to była druga od wyjazdu z Rygi przeprawa, albowiem za Hilchensfahr mieliśmy Alę, po rusku Gawią zwaną, szerokości takiej, jak Niemen pod Kownem.

Tejlitz z papierów domu już mi był znajomym, jako jeden z czterech majątków dawnych Platerowskich w Infantach. Smutno mi było dowiedzieć się od pocztmajstra o okoliczno-

ściach bankructwa Platera dzisiejszego marszałka Dorpackiego, który z dziedzica dóbr Felsch, Kiema, Wegsensee, Tejlitz, Paenhaff i innych kilku najmniej do 14,000 rubli intraty przynoszących, przy niczém teraz pozostał, straciwszy te dobra za pół darmo, bo za 145,000 rubli długu. W czasie najpierwszej mojej jazdy do Petersburga w 1773 r., zaznałem był tego Platera młodym i tylko co z opieki wychodzącym, później nieco widziałem go w Rydze już żonatego z J.M.p. de Rosen ładną panią... Wczesne i za młodu objęcie fortuny znacznej, używanie życia swobodnego z żoną przystojną, pasya do myśliwstwa, musiały się stać przyczyną nieszczęścia biednego Platera, dla licznej rodziny prawdziwie nieszczęśliwego, bo ma dziewięcioro dzieci: pięciu synów i cztery córki. Po lekkim obiedzie porzuciliśmy prędko stacyą Tejlitz, nie daleko od dworu ex-potioritate na konto JMp. Rennekampfa za 35,000 rubli spadłego, lubo 3,000 rubli dochodu przynoszącego, sytuowaną. — Po przebyciu wiorst z górą dwudziestu, o godzinie dziewiątej stanęliśmy w Rujbatz, na dziedzictwie p. Löwensterna położonej, który graniczący z sobą Platerowski majątek Rönenschloss osiągnął w 28,000 ru-

blach, lubo sam przed lat kilką 42,000 zań ofiarował. Przed przybyciem na stacyą spotkałiśmy sześć pojazdów poszóstnych z paziami cesarskimi i kuchnią, oraz kredensem, które dla wygody księżniczek badeńskich szły na przeciw nich. O dwadzieścia kilka wiorst od Rujbatz jest stacya pocztowa na gruncie JMp. Henninga ufundowana, zwana Uddern, od której do Dorpatu 25 wiorst miasta o samym brzasku dziś dosięgliśmy.

Dorpat, miasto już tylko powiatowe z wojewódzkiego, jakim było za polskich czasów, dosyć dobrze zabudowane i w domy murowane o dwóch piętrach obfitujące: starych murów, oprócz zameczyska Krzyżackiego zrujnowanego nie zawiera w sobie, co jest dowodem klęsk poniesionych. Embach tak szeroka jak Wilija, płynie środkiem i ma dwa mosty niedaleko od siebie, jeden kamienny, drugi drewniany o jednej arkadzie — murowany, przez który przejeżdżaliśmy, ma zwód z podwójną na środku mostu wystawioną bramą granitową, jak cała ta budowa, miasto rozłożone na spadzistych z obu stron brzegach Embachu, najpiękniejszy daje widok mieszkającemu tuż pod Dorpatem JMp. Liphartowi, jednemu z największych w In-

flantach bogaczów, zięciowi hrab. Stackelberga, ambasadora w Polsce.

Dla dogodności socyusza naszego pana porucznika Platera, który żądał zasięgnąć wiadomości o bracie swoim majorze i widzieć się z stryjcznym marszałkiem Dorpackim, bogaczem owym, a dziś bankrutem, zatrzymaliśmy się do godziny dziewiątej, co z marudztwem obiadowym na pierwszej stacyi, sprawiło żeśmy do Iggafer o wiorst 23, na pierwszą dopiero po południu ścignęli, a na to miejsce zaledwie o siódmą stanęli, lubo tyleż od Iggafer tylko co i od Dorpatu odległe.

Pierwsza z tych stacyj jest na dziedzictwie grafa Stackelberga, lecz nie ambasadora, dziś przy dworze Stokolmskim przebywającego, ale tego który ma za sobą pannę Manteufel, siostrę milionowego w Inflantach bogacza. Torma zaś sytuowana na ziemi p. Liphardta, który pod Dorpatem mieszka, a po śmierci ojca, jest, jak mi mówiono w Rydze panem substancyi milion rubli wartającej, której pewnie nie straci dla skąpstwa, przyczyny największej podobno złego pożycia z żoną.

Kraj inflancki, który dotąd przebiegliśmy po większej części piaszczysty i żwirowaty, rzadko

gdzie gliniasty, z tego powodu pszenicy mało się rodzi, ale żyta dosyć, lasu jest nad potrzebę, w którym zwierz wieloraki się znajduje, bo są nawet jelenie, ryb zaś pewnie mało być musi, kiedy w przeciągu mil 40, oprócz rzeki Aa i Embachu, nad kilka jezior, nie widziałem wód innych.

Przybycie księcia Dołhorukiego przerywa mi pisanie, którego dalszy ciąg odkładam do następnego listu.

XX. Z Narwy. 2 Listopada.

Lubo byłem pewien że książę Dołhoruki jadący z Wilna nie nadto wiele nowości wieść musi, dla grzeczności jednak znajdując się z nim pod jednym dachem poszedłem na drugą stronę pocztowego domu, gdzie książę wysiadł na chwilę dla zjedzenia na prędce lekkiej wieszczy. Po przywitaniu się przyjacielskiem zwłaszcza że nie miał okazji widzenia się z nim w Warszawie kiedy po kampanii na czas jakiś był przyjechał, dowiedziałem się z przyjemnością, iż od dworu dla nas delegowanych w Petersburgu wyznaczone są domy. Chwała Bogu że choć tym wydatkiem mniej będzie, gdy z innych wyrobić się trudno. Gdy odjazd

księcia w dalszą do Petersburga drogę i nam ułatwił udanie się na spoczynek, według zwyczaju wczoraj równo z brzaskiem wyjechaliśmy i dwadzieścia kilka werst ubiegłszy, a raczej upelnawszy po piaskach koło jeziora Pejpus ledwie po dwunastej znaleźliśmy się w Nemał, stacyi ufundowanej w dobrach skarbowych.

Pejpus przez Rosryan Czuchoniskiem jeziorem nazwane, ma blisko dwóchset wiorst w kierunku z północy na południe długości, a na pięćdziesiąt na północy jest szerokie, wiele rzek doń wpada, a jednem korytem, to jest Narwą do morza Bałtyckiego uchodzi. Zdawna był granicą naturalną między Inflantami a Rosyją, dziś oddziela gubernię Rygską i Rewelską od Petersburgskiej, Nowogrodzkiej i Pskowskiej. O siedm wiorst od Nemał, gościniec pocztowy, pod wsią zwaną Czerneja sloboda do brzegów jeziora tak się przybliża, że kto chce dla uniknienia piasku, może miałkim jechać brzegiem, oko zaś tak jest oszukane widokiem płaszczyzny wodnej z horyzontem się stykającej, że jezioro morzem mu się wydaje, i słuszniejby morzem Esońskim lub Pskowskim od Pskowa nazwać się mogło, niżeli jak na dawnych mappach mare Lubanicum. Miło mi było wi-

dzieć teraz brzegi jego od strony Inflant, gdym po dwakroć w latach 1773 i 1785 drugie od Rosyi w przejazdach do Petersburga i nazad, traktem na Ostrów i Psków oglądał. Życzyłbym sobie wszakże tak wspaniałym cieszyć się widokiem w lecie, przy wschodzie słońca, i poniekąd byłem kontent, opuszczając brzegi, a z niemi nieznosne piaski, przy stacyi Rannapurgern, gdzie je już lasy zasłaniają.

Rannapurgern w czuchońskim języku nazwana stacya oznacza Ostrów brzegowy, dla położenia między jeziorem i dwiema rzekami przed nią i za nią do Pejpus wpadającemi, odległa od Nemał wiorst kilkanaście, równie jak następna Kleinapungern, dwadzieścia kilka od niej odsuniona, obie na ziemi dziedzicznej hrabiego Stackelberga, dawniej w Polsce, dziś w Szwecyi ambassadora, który tak mało był ciekawy nadbrzeżnego swego dziedzictwa, że po ośmna-stoletniem w Warszawie przebywaniu, gdy przed trzema blisko laty powracał do Petersburga, przenocował jak w karczmie w domu własnym i dalej wyruszył. Dziwił się temu pocztmajster, który mi otém opowiadał, jabym zaś sądził, że niedobre pożycie z żoną, Felkers-

bowną z domu było przyczyną tak krótkiego zatrzymania się.

Do Jewe z Kleinapungern w odległości wiorst dwudziestu ledwieśmy o samém świtanu przybyli, straciwszy noc prawie całą na wiorst czterdzieści cztery, wśród śloty i śniegu mokrego, który tak znacznie pokrył ziemię że nam się nagle zima zrobiła. Po przemianie koni w Jewe w dalsza puściliśmy się podróż do Schudlejgh na dziedzictwie konsyliarza de Schwecks. Tu znaleźliśmy majora Bisinga zięcia p. Klingenberga od prezydencyi departamentu pierwszego sądów wyższych ziemiańskich gubernii połockiej nie dawno wraz z assesorami odsądzanego za parcyalne i marudne sądzenie sprawy Jorewicza patrona i Szantyra ojacobójcy. Major niepokieszył nas wcale relacją najprzykrzejszej w świecie drogi z Jamburga do stolicy, a doniesienie jego że pojazd swój zupełnie połamał, stało się dla nas już drugą przestrogą, albowiem dawniej nieco już powracający hrabia Geslaer mówił na jednej stacyi że mu resory popękały.

Z Schudlejgh stacyi wystawionej na dziedzictwie sławnej księżnej de Kingston, która w Anglii ojczyźnie swę znieść musiała w sądzie pa-

rów angielskich oskarżenie, jakoby nie żoną ale metressą była księcia Kingston, najpierwszego w swoim czasie bogacza — która później w Polsce miliony chciała pożyczyć księciu Radziwiłłowi dla wykupna dóbr jego zastawionych, a nareszcie w Rossyi skończyła kupieniem majątności nie bardzo znacznej ale upodobanej dla nadbrzeża morskiego... Z Schudlejgh ujechawszy kilkanaście wiorst a z tych kilka brzegiem morza Bałtyckiego, któremu się przypatrzyć ślota i mgła nie dozwoliła, przybyliśmy do Wojwora około zachodu słońca, a nie długo bawiąc na miejscu do hrabiego Siewersa należącém, zaledwie na ósmą zdążyliśmy do Narwy.

O kilka wiorst przed Narwą napotkaliśmy w trzech kibitkach porządnych jadących pocztą z Petersburga jakichś podróżnych. Ze średniej gdy się nam dało słyszeć — a czy nie pan Plater jedzie? wstrzymaliśmy się przez ciekawość, i wyskoczył Polak który nam powiedział że się nazywa..... a wraca do Grodna do Konfederacyi w towarzystwie p. Kochowskiego syna generała en chef w Polsce komenderującego. Ten oznajmił mi że wszyscy delegowani czekają na mnie jednego z utęsknie-

niem, i z tego powodu zmieniliśmy zamiar nocowania i chcieliśmy jechać dalej, gdy pocztmajster nas uwiadomił, że w Jamburgu niespodzianie most kra złamała. Pomimo więc silnego postanowienia pośpiechu, aby koledzy w Petersburgu nie tęsknili i rząd opieszłości mojej nie wziął za złe, a ztąd żebym na interesach moich nie szkodował, nie mogąc się po nocy narażać na niebezpieczną przeprawę, musieliśmy radzi nie radzi nocować. Mam więc czas jeszcze tu cokolwiek mimo przedłużonego już listu, dodać o Narwi.

Narwa miasto ufortyfikowane, było zawsze kluczem Inflant od granic rossyjskich a mianowicie księstwa Nowogrodzkiego, klinem między Estonją a Karelją do Narwy przypierającego. Udało się Inflanńczykom wpadać i zdobyć sobie szukać w krajach ościennych, póki Iwan Wasilewicz, pierwszy mocarstwa rossyjskiego twórcy, przez połączenie wszystkich księstw ruskich w jedno ciało,—nie wystawił twierdzy Iwangorod na brzegu swoim, i nie zagroził nim Narwie. Ucierpiało zaś najwięcej to miasto, gdy Piotr Wielki zdobywszy na szwedzie Ingrią, Karelią i Inflanty sam osobą swoją dobył Narwy. Rudera znaczne w tém miej-

scu dziś jeszcze są świadkami wojennych klęsk, jakim miasto uległo. Wieczorem przejeżdżając miasto nie mogłem się przypatrzeć ani jego wielkości ani ludności, spodziewać się jednak należy, że musi być w dobrym stanie; gdy wpadająca tu do morza rzeka Narwa do handlu daje sposobność. Katarakta na téj rzece obudza podróżnego ciekawość.

Niebyliśmy wprowadzić tą razą dla widzenia jej bo i pora spóźniona i pośpiech niedozwalał zwłaszcza że o kilka wiorst z drogi zjeżdżać by potrzeba, ale opuścić nie mogę, abym niepomieścił tu relacyi tego, com przed laty dziewiętnastu oglądał własnymi oczyma; kiedym nie w ambasadzie jak dziś, ale w deputacyi od zabranych części Polski dla złożenia hołdu nowemu rządowi był wysłany z kilkunastu kolegami. Może spad rzeki całej w swój szerokości zdawał mi się wówczas nierównie gwałtowniejszy, w stosunku do stanu mojego umysłu,—ale mi się na ówczas potężnie wydała rzeka spadająca na sześć przynajmniej sążni przez próg kamienny, jakby dwadzieścia sążni długi. Doznałem tamże stojąc na moście wysokim a niżej katarakty o dwieście przynajmniej sążni wystawionym takiego skutku z rozbitej spad-

kiem na najdrobniejsze pyłki wody, że wczasie pogodnym, a mniej niż w kwadrans czasu, suknie na mnie całkiem zmoczone zostały, jak w lecie od bujno osiadającej mgły, słyszałem wreszcie z czynionych mi relacyj, że pod kataraktę przechodzić można i ryby na powietrzu przed spadnieniem łowione być mogą. Nakoniec dla lepszego przedstawienia jak nagły jest spadek Narwy dość będzie przydać, co mi o dwie mile przed Narwą w powozie opowiadano, iż gdy wypadkiem statek zatrzymać się niepotrafi w porę, trudno mu już w ciągu mil dwóch ratować się jakimkolwiek sposobem i ginąć musi z ludźmi i towarem. Drzewo splawione nie tylko w tratwy ale w najmniejsze gąski niemożę być wiązane, a towar ten nie inaczej się tedy dostaje do miasta, a ztamtąd na morze, jak pojedynczemi sztukami na impet wód rzucony, a niżej katarakty łapany: jeśli go upadek nie podruzgocze.

Zastanawiając się nad pozycją jeziora Pejpus, brzegu ziemi tak Infantckiej jako też Estońskiej i gubernii Pskowskiej, oraz Nowogrodzkiej, z górą 350 wiorst mającego, i wpadłem do niego rzek wielu z głębi kraju pod panowaniem rossyjskiem będących, a od Dźwiny

oddalonych, którym ta katarakta na zupełnej jest zawadzie do transportu produktów, dziwno mi bardzo, że dotąd obywatelska składka nieobmyśliła funduszu na wykopanie kanału z jeziora Pejpus do koryta Narwy niżej katarakty, podobnie jak za Piotra W. wybitym kanałem Ładogę z Nową połączono. Być może iż grunt skalisty stanął na zawadzie temu przedsięwzięciu.

XXI. Z Jamburga 3 Listopada.

Jak bez najmniejszego zastanowienia komisarz Narwieński byłby nas wyprawił nocą na najokropniejszą przeprawę, tak dziś rano, wolny od wszelkich trosków o to co się z nami stanie, wziął swoje progony (tak zowią w Rosyi pieniądze za konie przez pasażerów płacone) i bez informacyi co mamy czynić z sobą i jak począć, puścił nas na los szczęścia. Odjechawszy od Narwy wiorst dwadzieścia kilka do wsi Piątnica zwaną, dowiedzieliśmy się od mieszkańców, że zwyczajnóm miejscem gdzie przewóz i most przez rzekę ułatwia przeprawę, dziś przejechać niepodobna, że zatem musimy jak Kazna cesarska (pieniądze skarbowe) wpław ją przebywać o pięć wiorst wyżej.

Wielce to z początku zmartwiło żonę moją, lecz gdy albo na kilkodniowe we wsi siedzenie albo na tę wpław przeprawę musieliśmy się zdecydować, znużeni już i tak do zbytku przeciągnioną drogą, troskliwi nadto, aby na nas w Petersburgu nie narzekano, musieliśmy kędy kassa skarbowa przechodziła i byłibyśmy wpław pojechali, gdyby rozsądny i dobrych chęci chłop jakis nie ostrzegł, że naprzód przeprawienia się téj kassy czekać trzeba... Zaprosił nas tymczasem do swego domu, gdzie w przeciągu trzech godzin tysiąceśmy od niego doznali grzeszności, póki posłany kamerdyner dla obejrzenia jak się kassa przeprawiać będzie, niewrócił z doniesieniem, że czas ruszyć, i na brzegu pięćdziesięciu ludzi zebranych dla pomocy ekwipażów nas oczekuje.

Miedzy innemi gospodarza przysługami była i ta, że gdy pocztylioni chcieli wypręgać konie do Narwy, porzuciwszy nas powracać, zamknął bramę od dziedzińca, przymusił starszego do rozmówienia się ze mną o powiększenie płacy za pięć wiorst drogi, i ofiarował się za małą cenę dać siana dla popasu. Oprócz tego ryby, piwa, jaj, co miał w domu za mierną cenę nam dostarczył sam przypominając, co

nam potrzebném być rozumiał i udzielając skutecznych przestróg dotyczących się bezpieczeństwa na przeprawie.

Cały prawie zysk раннего wyruszenia z Narwy zginął, gdy o drugiej po południu ledwie kamerdyner przybył, donosząc, że po przeprawie kassy nie było dla nas żadnej przeszkody, a tak przeżegnawszy się, pełni ufności w Opatrzność Bożą, ruszyliśmy drogą nigdy nie praktykowaną, przez ługi i kilka ruczajów je przerzynających, w których pewnie byśmy ugrzęźli, gdyby po śniegu spadłym dość bujnym, mróz w nocy z pierwszego na drugi listopada nie był chwycił tak mocny, że ziemię całkiem wstrzymał, i ciężkie nawet powozy na niej bardzo nie zapadały. Nad rzeką samą stanawszy, można było życzyć cudownej laski Mojżeszowej do ułatwienia jak niegdyś przez morze Czerwone przeprawy...

Rzeka Ług początek swój ma pod miastem Ługiem w gubernii Nowogrodzkiej, wpada zaś, jak mi mówiono do Narwy, korytem skalistym pod Jamburgiem, a tam gdzie ją przejeżdżać przyszło płynie także po kamieniu. Dno i boki są jakby ręką ludzką w nim wyżłobione, podobnie do starożytnych owych aqueduktów;

musi więc być bystrą w swym biegu tak dla kamiennego chropowatego dna, jako też dla boków skalistych, które rzekę ściskają. Spuszczając się inaczej w tę otchłań rozpienionej wody nie można było jak raptownie w nią z końmi wpadając, tak że przód pojazdów prawie się całkiem zanurzał i zdawało się, że z pieca na łeb zlatując, pogruchotać się musi, gdyby go ludzie sznurami nie strzymywali. Wydobyć się z przeciwniej strony na wysoki brzeg byłoby niepodobieństwem, gdyby od strony Jamburga próg ten nie był daleko niższy. W przebywaniu na koniec rzeki dosyć szerokiej i bystrzej, w której konie po brzuchy prawie brodziły, przechylać się co chwila powozu z powodu dna najeżonego skałami, czyniło przeprawę przykrą i niebezpieczną.

Wystawisz sobie pan, jak wiele strachu i przykrości doznałby musiała żona moja... ale go uspokoić muszę, żeśmy przez czas przeprawy w powozach się nie znajdowali i w inny lubo nie mniej niebezpieczny sposób Ług przebywać musieliśmy. Od owiej wioski Piątница grzeczny chłop ofiarował nam sanki i konika swojego, w których żona moja, ja, syn i kamerdyner do brzegu dojechawszy, pod Jambur-

giem, gdzie most na trzy części przez kry był przełamany, a woda pozamarzała, choć ze drzeniem po lodzie jeszcze pod nogami trzeszczącym przejść byliśmy zmuszeni, i jak niepyszni piechotą do pocztowego domu przydybaliśmy. Tu ja z czasu profitując piszę list dzisiejszy, i postrzegając już nadchodzące pojazdy z ludźmi, przerywam ciąg dalszy rad, że już do Petersburga podobnych nie będzie przepraw. Ta dzięki Bogu, workowi tylko memu stała się szkodliwą, wyciągnąwszy z niego do dziesiątka rubli, co nie wiele jest jeszcze na dwa pojazdy, kiedy tu jakiś książę ruski z żoną i czworgiem dzieci, z Paryża wracający od dwóch dni razem prawie z nami jadący od jednego powozu, dziesięć rubli musiał zapłacić.

XXI. Ze Strelnej, dnia 4 Listopada.

Po całonocnej jeździe w mróz jak może być najęźniejszy w jesieni, bo nam się do dwudziestu stopni na naszej skórze dochodzić zdawał, korzystam znowu z chwili, której kucharz potrzebuje na sporządzenie nam prędkiego obiadku dla oznajmienia żem o siedemnaście wiorst od stolicy o szóstą wieczorną — i pewien jestem przybycia do niej jeszcze w dniu dzisiejszym,

przed północą. Piszę zaś tém szczęśliwszy, że nie tak złą drogę miałem jak mi ją byli odmawiali, lubo w domach pocztowych najmniejszej nie znalazłem wygody. Najpierwsza stacya była Opolska za Jamburgiem na ziemi grafa Gołowina, ztąd przodem dla opalenia i przygotowywania stancyi posłałem kamerdynera aż do Petersburga. Z Opolskiej stacyi do Czerkowiej na dziedzictwie jenerała porucznika Me... sytuowanėj, upełziliśmy w godzinach sześciu wiorst dwadzieścia kilka, a ztamtąd nim do następnej na gruntach Sackena tajnego sowietnika i vice-guwnerna wielkich książąt przybyliśmy, nocne ciemności rozproszyło wchodzące słońce.

Na téj ostatniej stacyi znaleźliśmy nieboraka księcia, o którym z Jamburga donosiłem, na trzy godziny przed nami przybyłego, który nie tylko doczekać się nie mógł koni, aleśmy go tam zostawili, marznącego w chłodnej izbie na stacyi, z perspektywą przebycia na nią całej nocy.

Następne stacye Koskowo i Kiepin, ostatnia zwłaszcza nie nadto dobrze brzmią w języku naszym, i warte są jak najobrzydliwszego nazwania dla niewygody jaką tu podróżni pono-

sić muszą. Radzę ci kochany przyjacielu, abyś na tych dwóch stacyach niewysiadł nigdy przed odmianą, która już jest w projekcie, bo z doświadczenia wiem jak to tu dobrze...

Strelna albo Strelna myza zkad piszę, leży w dobrach koronnych, a z okna widzę obszerny pałac cesarski opuszczony, fundacyi Piotra W., który tu zwykł był jeździć na polowanie i dla tego się miejsce Strelną nazywa. Droga do téj stacyi od przedostatniej ma być w jesieni i na wiosnę najbrzydsza, co poznać mogliśmy z grudy i kamieni, które się nam uprzykrzyły; lubo z rozkazu rządu mnóstwo chłopskich podwód sypało piasek dla uładzenia drogi księżniczkom badeńskim za nami do Petersburga jadącym. Rzecz dziwna, której przyczyny dociec nie mogliśmy, że wszyscy z Kiepen do Strelny rachują 29 wiorst, a płaci się tylko za 25. Za lat kilka ma być ukończoną droga, którą robią z Petersburga na Strelnę, Peterhoff, Oranienbaum, aż do Czerkowie wprost, której próbkę już w majątku p. Łazarew widzieliśmy; będzie to grobla na faszynach wywyższona, z obu stron fossami osuszona, i kanały te kamieniem mają być ocembrowane, a sama droga najmniej pół łokcia głębo-

ko kamieniem tłuczonym nasypa. Niewiem czy ekspensem monarszym czy własnym kosztem pana Łazerewa, który może ponieść ten wydatek, bo ma 18,000 dusz pod stolicą i znaczne intraty, zrobi się ten tak wspaniały gościniec.

Pod dworem p. Łazarewa napotkał mnie kurjer od p. hetmana Kossakowskiego wysłany chociażby do Rygi pędzący za mną, dla dowiedzenia się co się zemną stało, albowiem rozsła się była pogłoska jakobym miał odmienić zamiar jechania do Petersburga. Tu zaś znalazłem assessora sądu kapitańskiego od dwóch tygodni wyczekującego na mnie, i wiadomość że pod najpierwszą bramą petersburską czeka kurjer od p. podkanclerzego Ostermana wysłany dla konwojowania mnie do domu wyznaczonego mi od dworu. Muszę więc chcąc nie chcąc dążyć już na miejsce, dwadzieścia kilka tylko wiorst mając przed sobą. Nie kończę listu tego, abyś zarazem i o przybyciu naszym, do stolicy, został zawiadomiony.

Z Petersburga. 5 Listopada z rana.

Przybyłem na to miejsce wczoraj o godzinie dziesiątej w nocy, przeprowadzony przez kurje-

ra kolegium spraw zagranicznych, do domu generała Borozdyna, a w nim u drzwi przyjęty przez sowietnika nadwornego, który ma rangę podpółkownika, i imieniem podkanclerzego Ostermana oraz grafa Bezborodki dwóch mate-dor dyplomatycznych, szczęśliwego przybycia powinszowawszy mi, oświadczył zarazem że z woli Najjaśniejszej Pani, dom w którym wysiadłem, wyznaczonym mi został na cały czas urzędowania mojego.

Niedługo bawił sowietnik okazawszy wszystkie wygody wyznaczonego mieszkania, a jak tylko posłano nam na prędcę łóżka, domyślasz się, że zapraszać nas do nich i kołysać do snu nie było potrzeba.

Dzień dzisiejszy pewnie cały na rozlokowaniu się przejdzie, a że troskliwy być możesz otrzymać wiadomość o przybyciu mojem, nie będę czekał zebrania się w Petersburgu kolegów i nowin politycznych, co do dalszych odkładam listów, kończąc relacją podróży. Tu tylko dodam, że od 11 do 27 października dni szesnaście w podróży do Rygi przebywszy, a odtrąciwszy półtora dnia w Siedlcach i półtora prawie w Würtzau i Mitawie, gdy przez dni 13, a w każdym z nich po 12 godzin najmniej ra-

chując, przez godzin 156 zaledwieśmy 102 mil choć pocztą ubiedz mogli, wypada na milę więcej półtóry godziny czasu. Ta marudna jazda jeszcze się pośpiechem nazwać może w proporcję czasu od Rygi do stolicy spotrzebowanego, gdy przez dni siedm i nocy cztery, a godzin 140 jazdy, nie zrobiliśmy nad 567 wiorst, to jest po siedem na milę rachując, 81 mil, po dwie godziny na milę.

Była wprawdzie przyczyna téj tak długiej jazdy, w popsutych jesieniami deszczami drogach, i lichych koniach na pocztach przepędzanych, z przyczyny niedostatku których najczęściej nas chłopskimi szczurami wyprawiano, ale się wiele i urządzenie poczt w cesarstwie do opóźnienia nas przyczyniło. W gubernii rygskiej szlachta utrzymuje poczty, przystawia na każdą stacyą furaże potrzebne, ma staranie o koniach aby się w liczbie naznaczonej znajdowały, i cały expens dźwigając, nietylko pocztmajstrów do wyrachowywania się z progonów w proporcji 2 kopijek na wiorstę od konia, co czyni na milę groszy 28, zobowiązuje, ale nadto domy pocztowe arenduje pocztkomissarzom. Ten układ od granicy kurlandzkiej ciągnie się do Rannepangern exclusive

przed którą stacyą gubernija rewelska się poczyna; w Estonii która dziś jest gubernią Rewelską aż do ostatniej stacyi przed Narwą, ciało szlachty ma podobnie dozór stacyi przygotowując jednak sam tylko furaż w owsie i sianie a wreszcie arendy nie biorąc od pocztmistrzów i kalkulacyi z progonów niewymagając.

Od Narwy do Petersburga układ poczty jest taki jak w całej Białej Rusi, gdzie co rok na każdą stacya ze skarbu monarszego dają pieniądze furażowe i funduszowe tak na konie jak na powózki w proporcji 400 rubli na 11 koni, a na takowy expens perceptą jest podatek pocztowy na majątki nałożony po kopijek 15 z duszy, i gdzie przy takiem ułożeniu, osobliwie że i furgony dla pocztmajstrów zostają, byłoby najwygodniej dla trzymających poczty, gdyby darmo listy, sztafety i wszystkie koronne expedycye, z obowiązku wożone, nie wymagały koni na to osobnych.

XXIII. Petersburg. 7 Listopada.

Dziś odbyliśmy pierwszy ceremonial audyencyi u JMPP. Ostermana i Bezborodki grafów, z których jeden jakoby ministra, drugi

podkanclerzego zajmują posady; chociaż po Woroncowie niegdyś kanclerzu nie ma już tego stopnia i graf Panin spełniał kanclerskie obowiązki przy nadanym sobie tytule feldmarszałkowskim, a graf Osterman podkanclerzem jest z rangą aktualnego tajnego sowietnika: to jest w cywilnej klasie generała en chef. . Graf Bezborodko drugim liczy się po Ostermanie w kolegium interesów zagranicznych w równie co do tytułu proeminencji jak hrabia Ostermann.

P. ambassador wiedeński Kobentzel przed swoją audyencją u Monarchini, nie był obłożony do ceremoniału który nam zaleconym został. Poprzedzić powinno było od nas, udanie się do pierwszego ministra i podkanclerzego z doniesieniem o przybyciu naszym, żądaniem oraz wyznaczeniu dnia w którymbyśmy ceremonialną im wizytę oddali, końcem złożenia prośby aby audyencją u monarchini wyrobili, oraz komunikowaniem im kopii już credentialium, przygotowanych na audyencją publiczną mów do Imperatorowej i wielkich książąt, jako też do ich synów i córek starszych — a to udanie się w braku kawalerów ambassady których nam niedano, dopełnione

było przez wybranych z pomiędzy nas kolegów Wielohórskiego i Mira, którzy obwieścili że pierwszy minister i podkanclerzy srodę do odebrania od nas wizyty determinował. Zjechaliliśmy się więc wszyscy w komplecie dziecięciu, do mieszkania Rzewuskiego hetmana, a zamtąd w następnym porządku ruszyliśmy.

Zaszła naprzód dworska karetą podwójną sześcią końmi zaprzężona i do niej wsiadł sowietnik nadworny rangę podpółkownika mający, na ten raz do reprezentowania ceremonienmajstra wyznaczony, który paradny pochód otwierał; za nim zaś trzy karety dworskie paradne czteromiejscowe, cugami zaprzężone jedna po drugiej następowały, w których tym porządkiem siedzieliśmy: w najpierwszej Brannicki i Rzewuski w tyle, na przodzie Sapieha i Mir, w drugiej po tej Kossakowski i ja wtyle po przodzie Granowski i Kossakowski wojewodzie, w trzeciej na koniec i ostatniej Potocki i Wielohorski tylko wtyle. Spotkał nas udrzwi karety jedna po drugiej wjeżdżających pod pałac przez grafa Ostermana wyznaczony z konsyliarzów podobno kolegium zagranicznych interesów jeden, a u wschodów aż do ostatniego gabinetu przechodziliśmy wzdłuż sieni i kilku pokojów pomiędzy liberyą, kamerdy-

nerami, kassyerami, kopiistami, subalternami, sekretarzmi kollegium zagranicznych interesów, ławą po obu stronach uszykowanemi. Gdyśmy zaś dochodzili do najgłębszego gabinetu przed nim zgromadzonych w kopiec ujrzelśmy kawalerów krzyża ś. Włodzimierza do dyplomacyi zapewne należących. Drzwi zaś tak gwałtownie otworzyły się od gabinetu w którym sam graf Ostermann znajdował się że jako cudowny obraz po spuszczeniu zasłony zabłysnął oczom naszym.

Po wpuszczeniu nas wszystkich dziesięciu do gabinetu i drzwiach za nami zamkniętych, tak iż z grafem Ostermanem byliśmy tylko w jedenaście osób, oświadczył Branicki jako primus inter pares komplement, że wysłani od narodów koronnego i litewskiego skonfederowanych, przybyliśmy dla złożenia hołdu wdzięczności wybawicielom polaków z pod więzów despotyzmu i upraszamy JW. grafa jako pierwszego ministra wielkiej Katarzyny aby nam i honor i dzień audyencyi przez niego był wyrobionym, na co graf Ostermann odpowiedział iż oświadczy chęć naszą monarchini, i nieprzepomni starania o przyspieszenie żądania naszego, obligował nas potem wszystkich abyśmy

kanapę i stolki przygotowane zasiedli, sam prawą stronę kanapy zajmawszy, gdy po lewej Branicki usiadł, my wszyscy w półcyrkuł na krzesłach od téjże lewej strony ją otaczających zabraliśmy miejsca. Po kilku chwilach takiej sesyi siedzącej, nasz primus inter pares kopią credencialium i mów które mieć będzie podał, a po oświadczeniu przez grafa, że się spodziewa, iż osoby nasze i wyrazy z któremiśmy przybyli będą mile przyjętemi od monarchini pragnącej szczęścia wolnego narodu, ruszyliśmy z gabinetu na próg, za który nie wyszedł graf, i wsiadłszy do powozów w tym samym porządku udaliśmy się do pałacu grafa Bezborodki.

Spotkanie nas przez wybranego urzędnika u drzwi pałacu, osadzenie wschodów, sieni i pokojów liberyą liczną, furyerami, oficianami i mnóstwem osób w jednakowych cywilnych mundurach, takie prawie było jak u grafa Ostermana, oprócz że liberya JW. Bezborodki daleko się nam bogatszą wydała, a gospodarz domu nie zamknięty ruszył się przeciw nam do drugiego pokoju, i na kanapie na którą zaraz Branickiego zaprosił, dał mu prawą rękę, sam pierwój obok niego nie usiadłszy, pókiśmy

wszyscy miejsc nie zajęli. Wreszcie na oświadczony sobie komplement przez Branickiego podobny do tego który grafowi Ostermanowi był przygotowany, odpowiedział grzecznie, i za ruszeniem się naszym odprowadził nas do miejsca w którym był przyjął.

Powracaliśmy już po pierwszej do domu Rzewuskiego temiż samemi pojazdami, a wedle zwyczaju liberyi dano po sto rubli na każdą karete, podkoniuszemu prezent, a masztalerzowi jego dziesięć rubli. Ni mniej ni więcej w téj mierze, nie można było uczynić, gdyż taka jest etykieta, której się tu ślepo trzymać potrzeba. Pomimo starania niewiem czyli się będziemy mogli wymówić od przyjęcia pewnej kwoty rublów na każdego na miesiąc, które nam gwałtem chce graf Ostermann zaliczać dla tego, jak twierdzi, że taki jest zwyczaj dawny. Lecz o tém potem gdy z porządku zdarzeń, przyjdzie mi o naszą ambasadzie i jej przyjęciu mówić obszerniej. Są między nami tacy co nieznajdując w etykiecie dla Kobentzela ułożonej obowiązku oddawania pompatycznej wizyty u pierwszego ministra i podkanclerzego przed audjencyą u monarchii, rozumieją to być uposledzeniem dla nas, żeśmy do niej zmuszeni zo-

stali, ale nie mam nad czém głowy łamać gdyż się po czasie rezonuje, i powinniśmy przyjąć pro rato et grato co nam podyktowano. Niewiedzę wcale coby nas uposledzało że karetami dworskimi byliśmy wprzód u tych bez których audjencyi otrzymać trudno. Zresztą taie nie można żeśmy delegatami nie od kraju całego, ale od mniejszej części skonfederowanych obywateli. Więcej podobno i słuszniej by się dziwować potrzeba, że monarchini kontentuje się credentialibus od marszałków konfederacyi danemi, z zamilczeniem króla, który po uczynionym akcesie, ominionym być nie powinien. Przyznam się nawet przyjacielu, że gdybym wyraźnej o to nie miał od króla rekwizycyi abym o credentiales od niego nie nalegał, stanąłbym śmiało przy tém aby potąd audjencya spóźnioną została, póki by ich nie nadesłano. Teraz równie w tém jak w wielu innych rzeczach milczeć postanowiłem, kontent że ambicya Branickiego wszystko na swój kark bierze, i że z przymusu prawie delegowany, nie jako senator ale jako Plater konsyliarz reprezentuje skonfederowane narody; wreszcie to mnie zupełnie uspokaja, iż będąc dobrze dla kraju z naszej na to miejsce wędrowni i gromadnej

na wzór Kirgisów reprezentacyi, znają w Polsce jaką kto z pomiędzy nas ma zdatność, i wdzięczność narodowa pożytek nie jednemu Branickiemu przypisze; a będzieli zaś złe, czego Boże chowaj, splami się tylko ten, co się między równemi gwałtem wszędzie chce pierwszym czynić i w tém rady dać sobie nieumie jak wydało się już w odbytym ceremoniale czasu którego Branicki z Rzewuskim dla jednej chęci przodkowania do pierwszej siedli karety, a wszędzie najpierw wysiadłszy, na kolegów innych czekać musieli pod wschodami, zamiast cobyśmy my na nich czekali, gdyby się tak niewysforowali.

Wybacz przyjacielu, że ci jeszcze tą razą nie o matedorach politycznych nie piszę, ani o złych lub dobrych nadziejach, negocyacye nasze czasu potrzebują, a więcćj jeszcze poznanie ludzi wymaga. Ażebym nie chybił i kombinacye moje mnie samego nie złudziły, ponieważ pierwszym progiem jest odbycie audjencyi publicznej, do trzeciego listu zachowuję co cię jak obywatela kraju najwięćj zajmować może; kończąc ten list doniesieniem że nie w niedzielę, ale we środę mamy przed monarchinią ceremonialnie stanać.

XXIV. ostatni (urywek).

Z Petersburga, d. 14 Listopada.

Po audjencyi dzisiaj publicznej, i po wieczornym danym nam po niej spektaklu w Ermitarzu, zaledwie wróciwszy, rzucam się zaraz do pióra, abym ci opisał wszystko póki pamięć świeża. Dzień dzisiejszy nie jest zwykłym do audjencyi publicznych, a że ta wyznaczona nam została, opinia jest wielu że i w tém cesarzowa dystynkcyę uczynić chciała dla nas i kraju, który reprezentujemy. W prawdzie w niedzielę przesłała niebyło wielkich książąt, lecz mogli byli na drugą zjechać, jak zjechali na środę, a tak niechcąc o tém sądzić, zostawuję opinii twojej, czyli ma jakie znaczenie lub niedeterminacya dnia tego.

Ceremoniał ułożony i komunikowany nam wcześniej zapewnił o wszystkim jak być ma, jedno tylko miejsce zkąd w paradzie wyjeżdżać mieliśmy do naszej było zostawione woli. Przez dwadzieścia cztery godzin zdawało się, jakoby się wszyscy zgodzili na to aby z mojego domu wyruszyć, lecz późniejsza reflexyja przedstawiając obawę, aby buławy na tém nie ucierpiały na prerogatywie lubo uzurpowanej, — wskazała dom Rzewuskiego hetmana; zkądśmy

i paradę do ministrów odbyli przed tygodniem, Tam tedy zatrzymaliśmy się przed jedenastą. o w pół do dwunastej przybyły ekwipaże dworskie i w jednych z nich ceremonienmajster książę Kolców Massalski z uwiadomieniem że czas jechać. Po przyjęciu go ruszyliśmy się następującym porządkiem.

Dwunastu lokajów cesarskich przy szpadach otwierali paradę, za niemi karetą czteromiejscową sześciokonnym cugiem założoną, wiozła obu hetmanów koronnych Branickiego i Rzewuskiego siedzących w tyle, a ceremonienmajster na przodzie, u drzwi karaty po obu bokach szli po jednym hajducy bogato poubierani w kaszkietach z piórami, i podkoniuszy rangi sztaboficerskiej konno u boku assystował, mając za sobą jednego masztalerza. Po tej pierwszej następowała druga karetą, w której w tyle Kosakowski hetman ze mną siedział, w trzeciej potem wojewoda Kijowski z Granowskim, w czwartej książę Sapieha i wojewodzie Kossakowski, w piątej nakoniec i ostatniej Wielohorski i Mir siedzieli. Wszystkie karety czteromiejscowe były cugami zaprzężone i koło kadej po dwóch hajduków szli piechotą.

Wszystkie powozy jeden po drugim przez

część ulicy Milionną zwaną, na której dano dom Rzewuskiemu, powoli noga za nogą szły z nami środkiem ludu zgromadzonego i karet z obu stron spektatorami napełnionych, aż do głównego wjazdu, do którego przez dziedziniec i koło hauptwachu gwardyi przejeżdżać potrzeba. U drzwi sieni spotkali nas furjerowie, w górze zaś wschodów kamerjunker na to wyznaczony, a w najpierwszym przedpokoju generał ceremonienmajster Kasztaliński, wreszcie w przedpokoju drugim marszałek dworu książę Boratyński, który tu nas zatrzymał u wejścia do czwartej sali, dopókiby ceremonienmajster nie obwieści N. Pani o przybyciu naszym.

(Reszty listów braknie).





1051/62 22. vi 62. 45

821.162.1
Kraszewski
Mojity

32721